

A photograph of a woman lying on her back on a light-colored tiled floor. She is wearing a white lace-trimmed bra and a dark, possibly black, dress. Her hair is styled in a braid. The floor is covered with numerous splatters of bright red blood, particularly concentrated around her head and arms. The overall scene is grim and suggests a crime scene.

Pierre
Lemaitre

Ślubna suknia

lesiojot

Pierre Lemaitre

Ślubna suknia

przełożyła
Joanna Polachowska

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA

Dla Pascaline, oczywiście,
bo bez niej nic by...

SOPHIE

Siedzi na podłodze pod ścianą, zanosząc się spazmatycznym płaczem.

Obok, z głową na jej udach, leży nieruchomo Leo. Sophie jedną ręką gładzi go po włosach, drugą próbuje otrzeć łzy, lecz jej ruchom brakuje koordynacji. Płacze. Niekiedy jej szloch przechodzi w krzyk, kołysząc głową, zaczyna zawodzić lamentem dobywającym się prosto z trzewi. Czasami jej rozpacz osiąga takie natężenie, że wali tyłem głowy o ścianę. Ból trochę ją uspokaja, lecz zaraz z powrotem wszystko w niej się załamuje. Leo jest bardzo grzeczny, nie rusza się. Sophie opuszcza wzrok, patrzy na niego, przyciska jego głowę do brzucha i płacze. Wprost trudno sobie wyobrazić, jak bardzo jest nieszczęśliwa.

1

Tego ranka, jak w wiele innych poranków, Sophie obudziła się z płaczem i ze ściśniętym gardłem, choć nie ma żadnego powodu, żeby się bać. W jej życiu łzy nie są niczym wyjątkowym; od kiedy straciła rozum, co noc płacze. Gdyby nie mokre policzki, mogłaby nawet myśleć, że nocami śpi snem głębokim i spokojnym. Rano twarz skąpana we łzach i zaciśnięte gardło są tylko zwykłą informacją. Od kiedy tak się dzieje? Od wypadku Vincenta? Od jego śmierci?

Od tej pierwszej, dużo wcześniej, śmierci?

Podpiera się na łokciu, siada prosto. Ociera oczy prześcieradłem, po omacku szuka papierosów, nie znajduje, i wtedy nagle dociera do niej, gdzie jest. Wszystko do niej wraca, wydarzenia z poprzedniego dnia, z wczorajszego wieczoru...

Momentalnie przypomina sobie, że powinna wyjść, opuścić ten dom.

Wstać i wyjść, ale dalej siedzi jak przykuta do łóżka, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. Wykończona.

Dziś rano, kiedy wreszcie udało jej się zwlec z łóżka i dojść do salonu, pani Gervais spokojnie siedziała na kanapie, stukając w klawiaturę.

- W porządku? Wypoczęta?

- W porządku. Wypoczęta.

- Nietęgą ma pani minę.

- Rano zawsze tak wyglądam.

Pani Gervais sejuje dokument i zatrząskuje wieko laptopa.

- Leo jeszcze śpi - mówi, podchodząc do wieszaka na płaszcze. - Nie zaglądałam do niego, bo bałam się, że go obudzę. Dziś nie ma lekcji, więc niech sobie pośpi i pozwoli pani trochę odetchnąć...

Dziś nie ma lekcji, jak przez mgłę przypomina sobie Sophie. Z powodu zebrania nauczycieli. Pani Gervais, już w płaszczu, stoi przy drzwiach.

- Muszę iść...

Sophie czuje, że nie będzie miała odwagi powiadomić jej o swojej decyzji. Zresztą nawet gdyby miała, i tak by nie zdążyła. Pani Gervais zamknęła już za sobą drzwi.

Powie dziś wieczorem...

Sophie słyszy jej kroki na schodach. Christine Gervais nigdy nie korzysta z windy.

Zapadła cisza. Po raz pierwszy, od kiedy tu pracuje, zapala w salonie papierosa i zaczyna chodzić tam i z powrotem. Przypomina osobę ocalałą z katastrofy, ma wrażenie, że wszystko, na co spojrzy, nie ma sensu. Musi odejść.

Teraz, kiedy została sama, kiedy jest na nogach i trzyma w palcach papierosa, nie czuje już takiego pośpiechu. Ale wie, że z powodu Leo musi odejść. Chcąc mieć trochę czasu, odzyskać jasność myślenia, idzie do kuchni i nastawia elektryczny czajnik.

Leo. Sześć lat.

Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, wydał jej się prześliczny. Działo się to cztery miesiące temu, w tym samym salonie na rue Moliere. Wbiegł do pokoju, na jej widok zatrzymał się i uważnie na nią popatrzył, lekko pochylając głowę, co było u niego oznaką intensywnego namysłu. Jego matka powiedziała:

- Leo, to właśnie jest Sophie, o której ci mówiłam.

Chłopczyk przez dłuższą chwilę przyglądał się jej. A potem rzucił krótko:

„Zgoda”, podszedł i ją pocałował.

Leo jest dzieckiem grzecznym, trochę kapryśnym, inteligentnym i niesamowicie żywym. Praca Sophie polega na odprowadzaniu go rano do szkoły, odbieraniu w południe, a potem wieczorem i zajmowaniu się nim do tej trudnej do przewidzenia godziny, kiedy pani Gervais lub jej mąż wreszcie wrócą do domu. Tak więc pora, kiedy od nich wychodzi, waha się od piątej po południu do drugiej nad ranem. Właśnie dzięki swojej dyspozycyjności dostała tę pracę: od pierwszej rozmowy było jasne, że Sophie nie ma żadnego życia prywatnego. Wprawdzie pani Gervais starała się tej dyspozycyjności nie nadużywać, lecz proza życia bierze zwykle górę nad zasadami; nie minęły dwa miesiące i Sophie w życiu ich rodziny stała się niezbędna. Ponieważ zawsze jest pod ręką, zawsze gotowa, zawsze chętna do pomocy.

Ojciec chłopca, wysoki, chudy i oschły czterdziestolatek, jest dyrektorem departamentu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Jego żona, postawna elegancka kobieta o niezwykle ujmującym uśmiechu, próbuje pogodzić wymogi pracy w firmie audytowej z wymogami macierzyństwa oraz pozycją małżonki przysięgłego sekretarza stanu. Oboje świetnie zarabiają. Sophie była na tyle rozsądna, by nie wykorzystać tego faktu przy ustalaniu wynagrodzenia. Prawdę mówiąc, nawet o tym nie pomyślała, bo suma, jaką jej zaproponowano, w zupełności wystarczała na jej potrzeby. Pod koniec drugiego miesiąca pani Gervais podwyższyła jej stawkę.

A Leo przepada za Sophie. Wydaje się, że tylko ona jest w stanie bez trudu wygzekwować od chłopca to, co jego matce

zająłoby całe godziny. Leo nie jest, czego mogłaby obawiać się Sophie, rozpuszczonym bachorem i małym tyranem, tylko spokojnym dzieckiem umiejącym słuchać. Miewa oczywiście humory, ale Sophie zajmuje wysokie miejsce w jego hierarchii. Na samym szczycie.

Każdego popołudnia około osiemnastej Christine Gervais dzwoni, żeby się dowiedzieć, co słysząc, podać z lekkim zakłopotaniem godzinę swojego powrotu. Przez telefon rozmawia kilka minut z synkiem, a potem z Sophie, próbując wprowadzić do ich rozmowy akcent bardziej osobisty.

Jej starania spotykają się z niewielkim odzewem; Sophie, choć w sposób nie całkiem zamierzony, poprzestaje na zwyczajowych ogólnikach, w których najczęściej miejsca zajmuje relacja z minionego dnia.

Punktualnie o godzinie dwudziestej Leo idzie spać. To bardzo ważne.

Sophie nie ma własnych dzieci, ale ma zasady. Czyta małemu bajkę, a potem na resztę wieczoru zasiada przed ogromnym ekranem plazmowego telewizora, na którym można obejrzeć niemal wszystko, co oferują kanały satelitarne. Jest to ukryty podarunek, który w drugim miesiącu pracy sprezentowała jej pani Gervais, stwierdziwszy, że niezależnie, o której godzinie wróci, widzi Sophie przed telewizorem. Nieraz ją dziwiło, że młoda trzydziestoletnia kobieta, ewidentnie wykształcona, zadowala się tak skromną rozrywką; że całymi wieczorami tkwi przed małym ekranem, nawet jeśli teraz jest już duży. Podczas wstępnej rozmowy Sophie powiedziała, że studiowała marketing. A ponieważ pani Gervais chciała dowiedzieć się czegoś więcej, młoda kobieta wspomniała o uniwersyteckim dyplomie, o pracy dla pewnej brytyjskiej firmy - nie precyzując jednak na jakim stanowisku, o tym, że była mężatką, ale już nie jest. Christine Gervais wystarczyły te informacje. Sophie została jej polecona przez jedną z przyjaciółek z dzieciństwa, obecnie szefową agencji pośrednictwa pracy, która podczas rozmowy kwalifikacyjnej uznała Sophie, nie wiedzieć czemu, za miłą i sympatyczną. Poza tym sprawa była pilna: dotychczasowa niania Leo zniecka i bez uprzedzenia odeszła.

Spokojna, poważna twarz Sophie wzbudzała zaufanie.

W pierwszych tygodniach pani Gervais podjęła kilka prób dowiedzenia się czegoś więcej o życiu nowej opiekunki. Taktownie jednak z nich zrezygnowała, z odpowiedzi młodej kobiety wnioskując, że życie jej musiało zniszczyć jakaś „straszna, lecz cicha tragedia” - resztką romantyzmu, jaki spotkać można wszędzie, nawet w kręgach bogatej burżuazji.

Kiedy czajnik się wyłącza, Sophie jak zwykle błądzi myślami gdzie indziej. Jest to stan, który potrafi trwać bardzo długo. Rodzaj duchowej nieobecności. W takich chwilach jej umysł zastyga na jednej sprawie, na jednym obrazie, wokół których jej myśli krążą powoli i uporczywie, traci poczucie czasu. A potem, jak pod wpływem siły ciężkości, nagle z powrotem ląduje w czasie terazniejszym. I na nowo podejmuje normalne życie w punkcie, w którym je opuściła. Schemat jest zawsze ten sam.

Tym razem, co ciekawe, pojawiła się przed nią twarz doktora Breveta. Już od bardzo dawna o nim nie myślała. Przez telefon wyobrażała go sobie inaczej, jako mężczyznę wysokiego, władczego; w rzeczywistości okazał się niepozornym człowieczkiem, przywodzącym na myśl drobnego urzędnika w kancelarii notarialnej, przejętego, że pozwolono mu przyjmować mniej ważnych klientów. Pod ścianą biblioteka zastawiona bibelotami. Sophie nie chciała położyć się na kozetce, od razu po wejściu zaznaczyła, że woli siedzieć. Doktor Brevet machnął ręką na znak, że nie musi. „Tutaj nie trzeba”, dodał. Sophie próbowała wytłumaczyć, co ją sprowadza. W końcu lekarz zadecydował:

„Zeszyt”. Sophie ma wszystkie swoje czynności notować. Być może te zaniki pamięci wyolbrzymia. Trzeba spróbować spojrzeć na sprawę obiektywnie, powiedział doktor Brevet; dzięki temu „będzie dokładnie wiadomo, o czym konkretnie pani zapomniała, co pani zgubiła”. Więc Sophie zaczęła wszystko zapisywać. Robiła to prawie przez trzy tygodnie... Do następnej wizyty. A ile rzeczy w tym czasie zgubiła! O ilu

spotkaniach zapomniała! Na dwie godziny przed wizytą u doktora Breveta zorientowała się, że zapodziała nawet swój zeszyt. Nigdzie go nie mogła odszukać. Chociaż przetrząsnęła całe mieszkanie.

Czy to nie właśnie wtedy znalazła prezent urodzinowy dla Vincenta? Ten, którego w żaden sposób nie mogła znaleźć w momencie, kiedy chciała mu go wręczyć. Wszystko się miesza, jej życie to jeden wielki chaos...

Nalewa wodę do kubka i dopala papierosa. Piątek. Dziś Leo nie ma lekcji.

Zwykle Sophie zajmuje się nim przez cały dzień tylko w środy i czasami w weekendy. Chodzą wtedy w różne miejsca, zależnie od ochoty i okazji. Dotąd całkiem nieźle się bawili; często się też sprzeczali. Zatem wszystko układa się dobrze.

A przynajmniej tak było do chwili, kiedy zaczęła odczuwać niejasny niepokój, a potem irytację. Emocje, które próbowała bagatelizować, odpędzać jak dokuczliwą muchę, ale które uporczywie wracały. Odbiło się to na jej stosunku do dziecka. Z początku nie było w tym nic niepokojącego; jedynie jakies podskórne, ciche napięcie. Coś sekretne, co dotyczyło ich dwojga.

Aż w końcu wczoraj na skwerze Dantremonta nagle uświadomiła sobie prawdę.

W ostatnich dniach maja pogoda w Paryżu była piękna. Leo poprosił o loda. Sophie usiadła na ławce, nie czuła się dobrze. Z początku przypisała tę niedyspozycję faktowi, że jest na skwerze, w miejscu, którego serdecznie nie znosi, bo nieustannie musi opędzać się od gadatliwych matek innych dzieci.

Udało jej się już ukrócić ciągle zakusy stałych bywalczyń, które trzymają się teraz od niej z daleka, ale wciąż pozostaje problem z osobami nowymi, przygodnymi, z przechodniami, nie mówiąc już o emerytkach. Sophie nie cierpi skweru.

Przegląda właśnie z roztargnieniem jakies pismo, kiedy staje przed nią Leo. Chłopczyk liżąc loda, wlepia w nią wzrok. Sophie

odwzajemnia jego spojrzenie. I w tym momencie dociera do niej, że już dłużej nie jest w stanie ukrywać przed sobą prawdy: z niewiadomych powodów zaczęła nie znosić tego dziecka. Leo nie spuszcza z niej oczu, ona zaś z przerażeniem stwierdza, jak bardzo nie cierpi tej jego twarzy aniołka, jego zachłannych ust, jego kretyńskiego uśmiechu, jego idiotycznych ubrań.

„Wracamy”, rzuca takim tonem, jakby chciała powiedzieć: „Wracam”.

Mechanizm jej mózgu - z jego zanikami pamięci, lukami, defektami - z powrotem zaczyna pracować. Sophie rusza szybkim krokiem w stronę domu (Leo skarży się, że nie może nadążyć), a przed jej oczami kłębią się chaotyczne obrazy: samochód Vincenta roztrzaskany na drzewie, migotanie policyjnego koguta w ciemnościach, eleganckie puzderko z zegarkiem dla Vincenta, ciało pani Duguet spadające po schodach, alarm w ich domu wyjący w środku nocy...

Obrazy przesuwają się w jedną stronę, potem w drugą, pojawiają się inne, dawniejsze. Diabelski młyn znowu zaczyna się obracać.

Sophie sama już nie wie, od ilu lat trwa jej obłąd. Wszystko zaczęło się tak dawno temu... Ma wrażenie, że jej czas upływał dwa razy szybciej. Najpierw łagodny stok, a potem, z upływem miesięcy, narastające wrażenie, że znajduje się na torze lodowym, z zawrotną szybkością pędzi w dół. To było w okresie, kiedy Sophie wyszła za mąż. Działo się przed... przed tym wszystkim. Vincent był człowiekiem niezwykle cierpliwym. Kiedy Sophie o nim myśli, widzi go zawsze w tym samym ciągu przenikających się kadrów filmowych: na wspomnienie Vincenta młodego, uśmiechniętego, niezmiennie opanowanego nakłada się jego obraz z ostatnich miesięcy życia: wymizerowanej twarzy, pożółkłej skóry, szklistych oczu. Na początku ich małżeństwa (Sophie dokładnie pamięta, jak wyglądało ich mieszkanie - jak to możliwe, żeby w jednej głowie mogło współistnieć tyle wspomnień i tyle luk?) chodziło tylko o roztargnienie.

Mówiło się: „Sophie jest roztargniona”, pocieszała się jednak, że zawsze taka była. Potem jej roztargnienie stało się

dziwactwem. A później, w ciągu kilku miesięcy, nastąpiło gwałtowne pogorszenie... Zapominała o spotkaniach, rzeczach, ludziach, gubiła przedmioty, klucze, dokumenty, które tydzień później znajdowała w różnych najdziwniejszych miejscach. Mimo całego opanowania Vincent zaczął się irytować. Trudno mu się dziwić. No bo... żeby zapomnieć o pigułce antykoncepcyjnej, zapodziać prezenty urodzinowe, ozdoby na choinkę...

Coś takiego może zdenerwować nawet najbardziej zahartowanych. Więc Sophie zaczęła wszystko zapisywać ze skrupulatnością narkomanki na odwyku. Ale gubiła zeszyty. Zgubiła swój samochód, straciła przyjaciół, aresztowano ją za kradzież; zakłócenia powoli obejmowały wszystkie dziedziny jej życia, a wtedy zaczęła, jak alkoholiczka, ukrywać swoje wpadki, oszukiwać, maskować się, żeby Vincent ani inni niczego nie zauważyli. Terapeuta proponował jej pobyt w szpitalu. Odmawiała, aż w końcu w jej szaleństwo wkroczyła śmierć.

Nie zwalniając kroku, Sophie otwiera torebkę, wyjmuje papierosa, zapala go drżącą ręką, głęboko się zaciąga. Zamyka oczy. Mimo szumu w głowie, mimo trawiącej ją choroby zauważa, że Leo zniknął. Odwraca się i daleko w tyle dostrzega chłopczyka, który założywszy ręce, ze stanowczą miną stoi na chodniku, nie zamierzając ruszyć się o krok. Widok tego nadąsanego bachora, stojącego jak słup na środku chodnika, budzi w niej nagle straszliwy gniew.

Sophie zawraca, podchodzi do niego i wymierza mu siarczasty policzek.

I dopiero na odgłos tego policzka przytomnieje. Jest jej wstyd, rozgląda się, czy nikt nie widział. Ale nie ma nikogo, ulica jest cicha i tylko jezdnią na ich wysokości powoli przejeżdża jakiś motocykl. Sophie patrzy na dziecko, które pocierając ręką policzek, nie płacząc, odwzajemnia jej spojrzenie, jakby niejasno czuło, że tak naprawdę wcale nie o nie tu chodzi.

Oстрыm tonem Sophie mówi: „Wracamy”.

I to wszystko.

Przez cały wieczór nie zamienili z sobą słowa. Każde miało własne powody. Sophie zastanawiała się, czy ten fatalny policzek nie przysporzy jej problemów z panią Gervais, jednocześnie mając świadomość, że jest jej wszystko jedno. Teraz powinna odejść, było tak, jakby już odeszła.

Jakby umyślnie tego właśnie wieczoru Christine Gervais wróciła późno.

Sophie spała na kanapie przed ekranem, na którym przy wtórze głośnych krzyków i owacji dalej trwał mecz koszykówki. Obudziła ją dopiero cisza, kiedy pani Gervais wyłączyła telewizor, tonem usprawiedliwienia dodając:

- Jest późno...

Sophie popatrzyła na stojącą przed nią postać w płaszczu. Wymamrotała niewyraźne zaprzeczenie.

- Chce pani tu przenocować?

Kiedy pani Gervais wraca późno, zawsze proponuje, żeby Sophie została na noc, ta odmawia i wtedy pani Gervais daje jej na taksówkę.

W jednej krótkiej chwili Sophie przypomniało się zakończenie tego dnia, milczący wieczór, umykające spojrzenia, Leo, który z powagą wysłuchał wieczornej bajki, wyraźnie nieobecny myślą. I który przyjął od niej pocałunek na dobranoc z tak widocznym poczuciem winy, że ku własnemu zaskoczeniu powiedziała:

- Nic takiego się nie stało, aniołku, naprawdę nic. Przepraszam cię...

Leo skinął główką na znak, że rozumie. Tak jakby do jego świata nagle wdarło się dorosłe życie, tak jakby on również był zmęczony. Chwilę potem zasnął.

Tym razem Sophie była tak przygnębiona, że zgodziła się zostać.

Teraz ściska w dłoniach kubek z wystygłą herbatą, nie zwracając uwagi na łyżki, które ciężko kapią na parkiet. Przez moment znów pojawia się przed nią obraz kota, przybitego do

drewnianej bramy. Czarnobiałego kota. Potem inne obrazy. Jakże wiele zgonów. Jej historia obfituje w trupy.

Już czas. Spogląda na ścienny zegar w kuchni: dziewięta dwadzieścia.

Nawet nie wie, kiedy zdążyła zapalić następnego papierosa; nerwowo go gasi.

- Leo!

Aż podskakuje na dźwięk własnego głosu; sama nie wie, dlaczego słyszy w nim lęk.

- Leo?

Szybko idzie do pokoju dziecka. Pościel na łóżku jest skłębiona, przypomina mały kopczyk. Sophie oddycha z ulgą, a nawet lekko się uśmiecha.

Ustąpienie lęku wywołuje w niej mimowolny odruch wdzięczności i czułości.

Podchodzi do łóżka ze słowami:

- Zaraz, zaraz, gdzie podziewa się ten chłopczyk? Odwraca się.

Kątem oka obserwując łóżko, lekko stuka drzwiami szafy.

- Nie, w szafie go nie ma. To może w szufladach...? Wyciąga i wsuwa szufladę raz, drugi, trzeci, mówiąc:

- W tej szufladzie nie... W tej też nie... Nie ma go... Gdzie on może być?

Podchodzi do drzwi i już głośniejszym głosem rzuca:

- No cóż, skoro go nie ma, to sobie idę...

Zamyka głośno drzwi, ale nie wychodzi z pokoju, obserwuje wybrzuszenie pościeli na łóżku. Czeką na jakiś ruch. I czuje, jak ogarnia ją lęk, ściskają w żołądku. Ten kształt na łóżku jest niesamowity. Sophie stoi bez ruchu, do oczu znów napływają jej łzy, ale nie takie jak przed chwilą; te dawne łzy, te, które roniła na zakrwawione ciało mężczyzny na kierownicy samochodu, te, które towarzyszyły jej dłoniom na plecach starej kobiety zepchniętej ze schodów.

Krokiem robota podchodzi do łóżka i gwałtownie ściąga pościel.

Leo faktycznie leży na łóżku, ale nie śpi. Jest nagi, skulony, nadgarstki ma przywiązane do kostek, głową dotyka kolan.

Jego widziana z profilu twarz ma makabryczny odcień. Jest skrepowany własną piżamą. Sznurowadło na jego szyi zostało zaciśnięte z taką siłą, że głęboką bruzdą wpiło się w ciało.

Sophie przygryza dłoń, ale nie może powstrzymać wymiotów. Pochyla się naprzód, w ostatniej chwili unika oparcia się o zwłoki dziecka, ale i tak musi oprzeć się o łóżko. A wtedy małe ciało przesuwa się w jej stronę i główka Leo uderza o jej kolana. Sophie chwytą go i przyciska do siebie z taką siłą, że w końcu oboje się przewracają.

I oto siedzi teraz na podłodze plecami oparta o ścianę, a obok niej leży ciało chłopca, zimne i bezwładne... Jej własne krzyki są dla niej takim wstrząsem, jakby słyszała lament kogoś innego. Opuszcza wzrok na dziecko.

Mimo przesłaniających jej oczy zasłon łez, dociera do niej ogrom katastrofy.

Mechanicznie głaszcze Leo po włosach. Twarz dziecka, zsiniała i pożyłkowana, zwrócona jest w jej stronę, ale jego nieruchome oczy utkwione są w pustkę.

2

Ile czasu minęło? Nie wie. Z powrotem otwiera oczy. Pierwsze, co do niej dociera, to smród wymiocin na jej Tshircie.

Wciąż siedzi na ziemi plecami oparta o ścianę, z uporem wpatrując się w podłogę, jakby pragnęła, by już nic - ani jej głowa, ani ręce, ani myśli - się nie poruszyło. Jakby pragnęła trwać tak bez ruchu, wtopić się w ścianę. Ale ten zapach znów wywołuje w niej mdłości. Lekko porusza głową. Nieznaczny ruch w prawo, w stronę drzwi. Która jest godzina? Nieznaczny ruch w przeciwną stronę, w lewo. W jej polu widzenia pojawia się noga łóżka. To tak jak w puzzlach: wystarczy jeden fragment, by w myślach odtworzyć całość. Lekko porusza palcami, wyczuwa pod nimi włosy, jak pływaczka powoli wynurza się na powierzchnię, gdzie czeka na nią horror, ale nagle zastyga jak rażona prądem: zaczyna dzwonić telefon.

Tym razem natychmiast odwraca głowę w stronę drzwi. To

stamtąd dobiega dzwonek, z najbliższego aparatu stojącego w korytarzu na czereśniowym stoliku. Na moment spogląda w dół i znów przeżywa wstrząs na widok ciała dziecka: Leo leży na boku z głową na jej kolanach, swoją nieruchomością przywodząc na myśl obraz.

Na obrazie jest spoczywające obok niej martwe dziecko, telefon, który nie przestaje dzwonić, i ona opiekująca się tym dzieckiem, zwykle odbierająca telefony Sophie, która siedzi teraz pod ścianą z głową chwiejącą się na obie strony, wdychając woń własnych wymiotów. Kręci jej się w głowie, znów robi jej się słabo, jeszcze chwila i zemdleje. Rozpaczliwym gestem rozbitka wyciąga rękę. To pewnie skutek paniki, ale wydaje jej się, że telefon zaczął dzwonić o ton głośniejsze. Teraz słyszy już tylko dźwięk tego dzwonka, który przeszywa jej mózg, który wnika w nią i paraliżuje. Próbuje wymacać jakieś oparcie, z prawej strony natrafia w końcu na coś twardego, coś, czego będzie się mogła przytrzymać, żeby uchronić się przed całkowitą utratą przytomności. I ten dzwonek, ciągły, niekończący się... Chwyta dłonią róg szafki, na której stoi nocna lampka chłopca, z całych sił zaciska na nim palce i ten wysiłek mięśni sprawia, że jej słabość na moment ustępuje. A telefon przestaje dzwonić. Mijają długie sekundy. Sophie wstrzymuje oddech, w duchu powoli liczy... cztery, pięć, sześć... dzwonek umilkł.

Wsuwa ramię pod ciało chłopczyka. Jest lekki jak piórko. Kładzie jego głowę na podłodze i z niewyobrażalnym trudem kłęka. Cisza, która znów powróciła, jest niemal namacalna. Sophie ma urywany oddech, jak kobieta, która rodzi. Z kącika jej ust spływa długa strużka śliny. Nie odwracając głowy, spogląda przed siebie, szuka czyjejs obecności. Myśli: w mieszkaniu ktoś jest.

Ktoś, kto zabił Leo, ktoś, kto mnie też zabije.

W tym momencie telefon znowu zaczyna dzwonić. Kolejny wstrząs, który jak prąd przeszywa jej ciało od stóp do głów. Rozgląda się; znaleźć coś, jak najszybciej... Lampka nocna. Chwyta ją, pociąga gwałtownie, wrywa sznur z kontaktu. I rusza przez pokój, powoli kroczy w stronę telefonu, trzymając

lampkę niczym pochodnię, niczym broń, nie bacząc na śmieszność sytuacji. Ale jak usłyszeć czyjąś obecność przy tym dzwonku, który jednostajnym tonem hałasuje i skrzeczy, który mechanicznie i obsesyjnie przesywa przestrzeń. Jest już blisko drzwi, kiedy raptem zapada cisza. I nagle, nie wiadomo czemu, Sophie nabiera pewności, że w mieszkaniu nie ma nikogo, że jest w nim sama.

Bez zastanowienia, bez wahania, dzierżąc lampę jak berło, wlokąc za sobą korytarzem jej sznur, zaczyna sprawdzać inne pokoje. Potem wraca do salonu, na moment zagląda do kuchni, otwiera drzwi, wszystkie drzwi.

Nie ma nikogo.

Opada na kanapę i nareszcie wypuszcza lampę z ręki. Wymiociny na jej podkoszulku wyglądają jak świeżo powstałe. Znowu robi jej się niedobrze.

Jednym ruchem zdejmuje podkoszulek, rzuca go na ziemię, zaraz podrywa się z powrotem i idzie do pokoju dziecka. I stoi teraz, oparta o futrynę, z ramionami skrzyżowanymi na nagich piersiach, patrząc na małe martwe ciało i cicho płacząc... Powinna zadzwonić. Nic to nie zmieni, ale powinna zadzwonić. Na policję, na pogotowie, do strażaków? Do pani Gervais? Do kogo się w takich razach dzwoni? Paraliżuje ją strach.

Chciałaby się ruszyć, coś zrobić, ale nie może. Na Boga, Sophie, w jaką znowu kabałę się wkopałaś? Jakby ci jeszcze tamtego było za mało... Musisz natychmiast wyjść, teraz, zanim telefon ponownie zacznie dzwonić, nim zaniepokojona matka nie przyjedzie tu taksówką, niepotrzebne ci jej krzyki, jej łzy, policja, pytania, przesłuchania.

Sama już nie wie, co robić. Zadzwonić? Wyjść? Ma do wyboru dwa fatalne rozwiązania. Tak wygląda całe jej życie.

W końcu prostuje się. Coś w niej podjęło decyzję. I Sophie zaczyna biegać po mieszkaniu z pokoju do pokoju, lecz jej ruchy są chaotyczne, miota się bez celu, słyszy swój głos płaczący jak głos dziecka. Powtarza sobie: „Skup się, Sophie. Weź głęboki oddech i spróbuj pomyśleć. Musisz się ubrać, obmyć twarz, zabrać swoje rzeczy. Jak najszybciej. I wyjść. Pozbieraj swoje rzeczy, wrzuć je do torebki, pospiesz się”. Tak

długo krążyła po mieszkaniu, że straciła orientację. Mijając pokój Leo, nie może się powstrzymać, by nie przystanąć. A wtedy pierwszą rzeczą, jaką dostrzega, nie jest zastygła i woskowa twarz dziecka, lecz jego szyja i zaciśnięte na niej brązowe sznurowadło, którego skrzyżowany koniec leży na podłodze. Poznaje je. To sznurowadło z jej sportowych butów.

3

Są w tym dniu rzeczy, których już nie pamięta. Następne, co widzi, to zegar na kościele św. Elżbiety wskazujący jedenastą piętnaście.

Na dworze oślepiająco świeci słońce, krew pulsuje jej w skroniach jak oszalała. I to okropne wyczerpanie... Nagle znów powraca do niej obraz ciała chłopczyka. Tak jakby się po raz drugi przebudziła. Próbuje się czegoś przytrzymać... Jej dłoń napotyka jakąś szybę. Butik. Szkło jest zimne. Czuje spływające jej pod pachami kropelki potu. Lodowate.

Co tutaj robi? A przede wszystkim, gdzie jest? Chce sprawdzić godzinę, ale nie ma już zegarka. A przecież jest pewna, że go miała... Nie, może i nie miała. Już nie pamięta. Rue du Temple. Dobry Boże, to dojdzie tutaj zajęło jej aż półtorej godziny? Co przez ten czas robiła? Dokąd poszła? Ale przede wszystkim, Sophie, dokąd teraz idziesz? Doszłaś na piechotę z rue Moliere aż tutaj? Przyjechałaś metrem?

Czarna dziura. Wie, że zwariowała. Nie, nie zwariowała, tylko potrzebuje czasu, to wszystko, trochę czasu, żeby móc zebrać myśli. Otóż to, musiała przyjechać tu metrem. Nie czuje już własnego ciała, tylko pot spływający pod pachami, jego krople, które ociera, przyciskając łokcie do torsu. W co jest ubrana? Czy wygląda na wariatkę? Kołowrotek myśli w głowie, chaotyczne obrazy. Zastanowić się, zrobić coś. Ale co?

W szybie wystawowej napotyka wzrokiem swoją postać i sama się nie poznaje. Jej pierwszą myślą jest, że to nie ona. Ale tak, to naprawdę ona, tyle że jest w niej coś innego... Coś innego, ale co?

Spogląda na ciągnącą się przed nią aleję.

Musi iść i próbować pomyśleć. Ale nogi odmawiają jej posłuszeństwa.

Funkcjonuje jeszcze tylko jej głowa, a w niej kalejdoskop obrazów i słów, które stara się uciszyć, nabierając powietrza w płuca. Ale klatka piersiowa jest jak ściśnięta imadłem. Opierając się ręką o witrynę, usiłuje zebrać myśli.

Uciekłaś. Otóż to, bałaś się i uciekłaś. Kiedy znajdą martwego Leo, będą cię szukali. Oskarżą cię o... Jak to się określa? O coś, co ma związek ze „współnictwem”... Skup się.

Właściwie to proste. Byłaś opiekunką dziecka, ktoś przyszedł i je zabił.

Leo...

Ale już tego, że gdy uciekła z mieszkania, drzwi były zamknięte na klucz, co więcej, przekręcony dwa razy, nie potrafi sobie wytłumaczyć. Później znajdzie wyjaśnienie.

Unosi wzrok. Zna to miejsce. Jest niedaleko swojego domu. No jasne, uciekłaś i wróciłaś do siebie.

Przyjście tutaj to czyste szaleństwo. Gdyby była w pełni poczytalna, nigdy by tu nie wróciła. Będą jej szukali. Już jej szukają. Dopada ją kolejna fala zmęczenia. Obok, po prawej, jest kafejka. Wchodzi.

Siada przy stoliku w głębi sali. Intensywnie myśli. Najpierw powinna rozeznać się w terenie. Nerwowo wpatruje się w twarz podchodzącego kelnera, szybkim spojrzeniem ogarnia salę, sprawdzając, którędy będzie mogła wymknąć się na ulicę, gdyby... ale nic się nie dzieje. Kelner o nic nie pyta, tylko patrzy na nią zblazowanym wzrokiem. Sophie zamawia kawę. Kelner zmęczonym krokiem odchodzi w stronę kontuaru.

Tak, najpierw musi ustalić, gdzie jest.

Rue du Temple. Znajduje się trzy, nie, cztery przystanki metra od swojego mieszkania. Tak, cztery stacje: Temple, Republique, przesiadka i potem... Na Boga, jaka jest czwarta stacja? Codziennie na niej wysiada, jeździła tą linią setki razy. Wyraźnie pamięta wejście, schody z żelaznymi poręczami, i zaraz obok kiosk z gazetami z tym facetem, który zawsze mówi: „Ja pieprzę, ale pogoda, co?”... Cholera!

Kelner przynosi kawę, obok filiżanki kładzie rachunek: euro i dziesięć centów. Co zrobiłam z pieniędzmi? Torebkę postawiła na stoliku. Nawet nie zauważyła, że ją z sobą wzięła.

Działa, nie pamiętając, co robi, automatycznie, z pustką w głowie, bezwiednie. Tak właśnie się to stało. I z tego właśnie powodu uciekła.

Skoncentrować się. Jak do cholery nazywa się ta stacja? To, że tutaj przyszła, jej torebka, jej zegarek... Coś się z nią dzieje, jakby istniały w niej dwie Sophie. Jedna trzęsie się ze strachu nad stygnącą kawą i druga, która przebyła długą trasę z rue Moliere aż tutaj, która złapała swoją torebkę, która zapomniała zabrać zegarek i która wraca teraz do siebie jakby nigdy nic.

Obejmuje rękami głowę i do oczu napływają jej łzy. Kelner, nie przerywając wycierania kieliszków, zerka na nią ze sztucznie obojętną miną.

Jestem wariatką i to po mnie widać... Powinam wyjść. Wstać i wyjść.

I nagle czuje przypływ adrenaliny: skoro jestem wariatką, być może wszystkie te obrazy są nieprawdziwe. Może to tylko zły sen...? Znalazłam się po drugiej stronie lustra. Tak, to z pewnością nic innego jak zły sen. Marzyłam, żeby zabić to dziecko. A że dziś rano przeraziłam się i uciekłam? Przeraziłam się własnego snu, to wszystko.

BonneNouvelle! Czwarta stacja metra to BonneNouvelle! Nie, przed nią jest jeszcze inna. Ale tym razem od razu sobie przypomina: StrasbourgSaintDenis.

A stacja, na której zawsze wysiada, to BonneNouvelle. Jest tego całkowicie pewna, świetnie ją pamięta.

Kelner dziwnie na nią patrzy. Sophie głośno się roześmiała. Płacze, a potem nagle wybucha śmiechem.

Czy to wszystko dzieje się naprawdę? Musi się dowiedzieć. Wyjaśnić to.

Zadzwoń. Jaki dziś dzień? Piątek... Leo nie ma lekcji. Jest w domu. Leo musi być w domu.

Sam.

Uciekłam i dziecko zostało samo. Musi zadzwonić.

Chwyta torebkę, gwałtownie ją otwiera. Grzebie w środku.

Telefon państwa Gervais jest w menu kontaktów. Ociera oczy, żeby wyraźniej widzieć przesuwające się numery. Dzwoni. Jeden sygnał, drugi, trzeci... Nikt nie odbiera. Leo nie ma lekcji, jest sam w mieszkaniu, telefon dzwoni i nikt nie podnosi słuchawki... Sophie znów oblewa się potem, tym razem na plecach.

„Odbierz, do cholery!” Odruchowo zaczyna liczyć sygnały, cztery, pięć, sześć.

Kliknięcie, potem cisza i wreszcie głos, którego nie spodziewała się usłyszeć.

Chciała, żeby odebrał Leo, a odzywa się jego matka: „Dzień dobry, tu mieszkanie Christine i Alaina Gervais...”. Na dźwięk tego spokojnego, zdecydowanego głosu od stóp do głów przechodzi ją lodowaty dreszcz. Na co czeka, dlaczego nie przerywa połączenia? Każde kolejne słowo przygważdza ją do krzesła. „Nie ma nas teraz w domu...” Sophie z całej siły naciska klawisz kończący połączenie.

4

To niesamowite, ile wysiłku kosztuje ją sformułowanie bodaj dwóch sensownych myśli... Próba przeanalizowania. Zrozumienia. Leo potrafi odebrać telefon, dla niego to wręcz frajda, kiedy może uprzedzić innych, podnieść słuchawkę, odpowiedzieć, zapytać, kto dzwoni. To proste: jeśli Leo jest w domu, musi odebrać; jeśli nie odbierze, to znaczy że go nie ma.

Do cholery, gdzie może być ten mały gówniarz?! Sam nie otworzy drzwi; jego matka kazała zainstalować specjalny zamek, kiedy zaczął się wszędzie szwendać, a ona bała się, że może nie wiadomo co zmalować. Nie odbiera, nie mógł wyjść - istna kwadratura koła. Gdzie się ten szczeniak podziewa!

Zastanowić się. Która to godzina? Jedenasta trzydzieści.

Na stoliku leżą przedmioty, które wypadły z jej torebki. Jest wśród nich nawet tampon Nett. Co ona najlepszego wyprawia? Przy ladzie kelner rozmawia z jakimiś dwoma facetami. Prawdopodobnie stali klienci. Na pewno gadają o niej.

Spojrzenia spod oka, ostrożne, ukradkowe. Nie może tu zostać. Musi wyjść. Jednym ruchem zbiera ze stolika rozrzucone przedmioty, wrzuca do torebki i biegnie do wyjścia.

- Proszę pani!

Odwraca się. Mężczyźni dziwnie na nią patrzą. Sięga do torebki, z wielkim trudem wygrzebuje dwie monety, kładzie je na ladzie i wychodzi.

Pogoda jest nadal piękna. Sophie odruchowo rejestruje uliczny ruch, spieszących przechodniów, przejeżdżające samochody, motory ruszające z miejsca. Iść. Iść i intensywnie myśleć. Tym razem z całą wyrazistością pojawia się przed nią obraz Leo; widzi wszystko, w najdrobniejszych szczegółach. To nie żaden zły sen. Dziecko nie żyje, a ona uciekła.

W południe przychodzi sprzątaczką. Nie ma żadnego powodu, by ktokolwiek zjawił się w mieszkaniu wcześniej. W południe zwłoki dziecka zostaną odkryte.

Dlatego musi wyjechać. Zachować czujność. Niebezpieczeństwo może nadejść z każdej strony, w każdej chwili. Nie może tkwić w miejscu, musi się ruszać, działać. Spakować swoje rzeczy i uciekać, szybko, zanim ją dopadną.

Oddalić się, żeby mieć czas do namysłu. Do zrozumienia. Kiedy znajdzie się w jakimś spokojnym miejscu, będzie mogła się nad tym zastanowić. A wtedy wróci i wszystko wyjaśni. Ale teraz musi uciekać. Tylko dokąd?

Zatrzymuje się tak nagle, że idąca z tyłu osoba na nią wpada. Sophie mamrocze przeprosiny. Stoi na środku chodnika, rozgląda się dookoła. Na bulwarze panuje ożywiony ruch. I niesamowicie grzeje słońce. Życie wydaje się nieco bardziej normalne.

Oto kwiaciarnia, salon wnętrzarski. Musi działać szybko. Na zegarze w sklepie z meblami dostrzega godzinę; jedenasta trzydzieści pięć. Wpada do hallu swojego budynku, grzebie w torebce, wyjmuje klucz. W skrzynce pocztowej jakaś korespondencja. Nie tracić czasu. Trzecie piętro. Klucze do zamka i do zasuw. Trzęsą jej się ręce, kładzie torebkę na ziemi, stara się wyrównać oddech, za drugim podejściem klucz się obraca.

Staje w progu szeroko otwartych drzwi; nawet przez moment nie pomyślała, że mogła źle skalkulować czas. Że mogą już na nią czekać... Na podeście panuje cisza. Swojskie światło jej mieszkania dociera do jej stóp. Stoi jak skamieniała, ale jedyne, co słyszy, to bicie własnego serca Nagle aż podskakuje: obrót klucza w drzwiach. Na podeście, po prawej. Sąsiadka. Bez namysłu wpada do swojego mieszkania. Zatrząskuje drzwi, nim tamta zdążyła ją zobaczyć. Stoi i słucha. Pustka, tak często przyprawiająca ją o rozpacz, tym razem ją uspokaja. Powoli wchodzi do pustego pokoju. Rzut oka na budzik: jedenasta czterdzieści. Plus minus; ten budzik nigdy nie chodził jak należy. Ale czy spieszył się, czy późnił? O ile pamięta, spieszył. Ale nie jest pewna.

A potem wszystko robi jednocześnie. Wyciąga z garderoby walizkę, otwiera szuflady komody, wrzuca jak leci ciuchy do walizki, biegnie do łazienki, zbiera wszystko z blatu umywalki i wrzuca do torby. Szybki rzut oka wkoło. Dokumenty! W sekreterze: paszport i pieniądze. Ile tego jest? Dwieście euro. Książeczka czekowa! Gdzie jest ta pieprzona książeczka czekowa? W mojej torebce. Sprawdza, czy na pewno. Znowu się rozgląda. Kurtka. Torebka.

Zdjęcia! Wraca, otwiera górną szufladę komody, łapie album. Na blacie komody dostrzega ramkę ze swoją fotografią ślubną. Wrzuca jedno i drugie do walizki, zamyka ją.

W napięciu przykłada ucho do drzwi, nasłuchuje, ale znów słyszy tylko bicie własnego serca. Opiera płasko obie dłonie na drzwiach, próbuje się skupić.

Nie słyszy żadnego hałasu. Chwyta walizkę, z rozmachem otwiera drzwi, podest jest pusty, zatrząskuje za sobą drzwi, nie zadając sobie trudu zamknięcia ich na klucz. Zbiega ze schodów. Przejeżdża taksówka. Zatrzymuje ją. Kierowca chce schować walizkę do bagażnika. Nie ma na to czasu! Sophie wrzuca ją na tylne siedzenie, wsiada.

Kierowca pyta:

- Dokąd jedziemy?

Sophie nie wie. Przez moment się waha, po czym rzuca:

- Gare de Lyon.

Kiedy taksówka rusza, odwraca się i spogląda przez tylną szybę. Nic szczególnego, przechodnie, kilka samochodów. Oddycha z ulgą. Musi wyglądać na wariatkę. Kierowca podejrzliwie jej się przygląda w lusterku wstecznym.

To niesamowite, jak w nagłych sytuacjach pomysły nasuwają się niemal samorzutnie. Sophie zawołała: - Stop!

Zaskoczony poleceniem taksówkarz gwałtownie zahamował. Nie przejechali jeszcze nawet stu metrów. Nim zdążył się odwrócić, Sophie już wysiadła.

- Zaraz wracam. Niech pan zaczeka!

- No, nie bardzo mi to na rękę... - zaczyna taksówkarz.

Spogląda na walizkę na tylnym siedzeniu. Ani walizka, ani pasażerka nie budzą w nim większego zaufania. Sophie się waha. Jest jej potrzebny, no i wszystko się teraz tak pokomplikowało... Wyjmuje z torebki pięćdziesiąt euro i podaje mu banknot.

- Tak będzie dobrze?

Taksówkarz spogląda na banknot, ale go nie bierze.

- No dobrze, niech pani idzie - mówi - tylko proszę się pospieszyć...

Sophie przebiega przez ulicę i wpada do agencji banku. W środku jest prawie pusto. Za biurkiem kobieta, nie zna jej, ale tak rzadko tu bywa...

Wyjmuje z torebki i kładzie przed nią książeczkę czekową.

- Chciałabym sprawdzić stan konta...

Urzędniczka spogląda ostentacyjnie na zegar ścienny, bierze książeczkę czekową, stuka w klawiaturę i kiedy drukarka zaczyna drukować, patrzy na swoje paznokcie. Na paznokcie i na zegarek. Drukarka mozoli się, jakby wykonywała jakąś nieopisanie trudną pracę, i dopiero po minucie wypływa dziesięć linijek tekstu i liczb. Jedyna liczba, która interesuje Sophie, znajduje się na samym końcu.

- A na mojej książeczce oszczędnościowej? Urzędniczka wzdycha.

- Ma pani numer?

- Nie, przykro mi, ale nie pamiętam...

Wygląda na szczerze zmartwioną. I jest zmartwiona. Zegar

wskazuje jedenastą pięćdziesiąt sześć. Jest teraz jedyną klientką. Drugi pracownik agencji, wysoki mężczyzna, wstał i zaczyna spuszczać żaluzje w oknach. Stopniowo pomieszczenie wypełnia się sztucznym, klinicznym światłem, a wraz z tym rozproszonym, wilgotnym światłem zapada pełna napięcia, głucha cisza. Sophie źle się czuje. Bardzo źle. Drukarka znowu zaczyna stukać. Sophie spogląda na obie liczby.

- Wezmę sześćset euro z rachunku bieżącego i... może... pięć tysięcy z książeczki...?

Zakończyła to zdanie tonem pytania, jakby oczekując na pozwolenie.

Uwaga. Więcej pewności siebie. Za biurkiem lekki powiew paniki.

- Chce pani zlikwidować rachunki? - pyta urzędniczka.

- Och, nie... (Uważaj, jesteś klientką, to ty decydujesz). Nie, po prostu potrzebna mi gotówka. (Tak jest dobrze, słowo „gotówka” brzmi poważnie, dorośle).

- Ale...

Urzędniczka spogląda kolejno na Sophie, na książeczkę czekową w jej rękę, na zegar ścienny, którego wskazówka zbliża się do dwunastej, na kolegę, który zamyka już przeszklone drzwi na klucz, opuszcza ostatnią roletę i patrzy teraz na nie obie z ledwie skrywaną niecierpliwością. Sophie waha się, jaką linię postępowania obrać.

Sytuacja wygląda na znacznie bardziej skomplikowaną, niż sądziła.

Agencja zamknięta, jest południe, taksówkarz musiał widzieć opuszczane rolety...

Z bladym uśmiechem mówi:

- Rzecz w tym, że mnie również się spieszy...

- Chwileczkę, pójdę sprawdzić...

Nim Sophie zdążyła ją powstrzymać, już pchnęła niską barierkę przy biurku i puka do drzwi gabinetu naprzeciwko. Z tyłu Sophie czuje spojrzenie mężczyzny, który zamykał drzwi i który wyraźnie wolałby siedzieć teraz nie tu, tylko przy obiadowym stoliku. Nieprzyjemnie jest czuć tak czyjąś obecność za plecami. Ale w tej sytuacji wszystko jest

nieprzyjemne, a zwłaszcza facet, który zbliża się w asyście urzędniczki bankowej.

Jego akurat zna, nie pamięta nazwiska, ale właśnie on załatwiał ją tego dnia, kiedy otworzyła tu konto. Masywny trzydziestolatek o prostackiej twarzy, z rodzaju tych, którzy jeżdżą z całą rodziną na wakacje, grają w kule, wygadując różne idiotyzmy, noszą skarpetki do sandałów, przytyją pięć kilo w ciągu najbliższych pięciu lat, spotykają się z kochanką w przerwie obiadowej, opowiadają o tym kolegom; typ uwodzicielskiego dyrektora agencji bankowej, który nosi żółte koszule i który znacząco zagląda klientkom w oczy. Typ kretyna.

Kretyn do niej podchodzi. Przy nim urzędniczka wydaje się jakby mniejsza. Efekt władzy. Sophie domyśla się, co to za rodzaj faceta. Wpakowała się w niezłą pułapkę.

- Jak słyszę, życzy sobie pani podjąć... (tu pochyła się nad ekranem komputera, jakby dowiadywał się tego dopiero teraz) prawie całą swoją gotówkę.

- To zabronione? - pyta Sophie i od razu orientuje się, że obrała niewłaściwą strategię. Konfrontacja z takim człowiekiem oznacza otwartą wojnę.

- Nie, nie jest zabronione, ale...

Dyrektor odwraca się, posyła ojcowskie spojrzenie urzędniczce stojącej obok wieszaka na płaszcze i mówi:

- Może pani już iść, Juliette, ja zamknę.

Obdarzonej tak niepasującym do niej imieniem kobiecie nie trzeba tego powtarzać dwa razy.

- Czyżby nie była pani zadowolona z usług naszej agencji, pani Duguet?

Na zapleczu rozlega się odgłos zamykanych drzwi i cisza staje się jeszcze cięższa. Sophie szybko się zastanawia...

- Och, nie... Tyle tylko, że... wybieram się w podróż. I potrzebuję gotówki.

Słowo „gotówka” nie brzmi już tak dobrze jak przed chwilą, słychać w nim ton nagłości, pośpiechu, czegoś podejrzanego, pachnącego przekretem.

- Potrzebuje pani gotówki... - powtarza mężczyzna. - Problem

w tym, że zwykle przy podejmowaniu znacznych sum wolimy umawiać się z naszymi klientami na spotkanie. W godzinach działania agencji... Względy bezpieczeństwa, rozumie pani...

Podtekst jest tak wyraźny, tak typowy dla tego rodzaju osobnika, że najchętniej zdzieliłaby go w twarz. Sophie chwytą się kurczowo myśli, że potrzebuje, absolutnie potrzebuje tych pieniędzy, że taksówkarz nie będzie przez cały dzień na nią czekał, że musi wyjść, musi jakoś to rozegrać.

- Decyzja o moim wyjeździe zapadła nagle. Bardzo nagle. Koniecznie muszę wyjechać. I koniecznie potrzebuję tej sumy.

Patrzy na faceta i coś w niej, jakaś część jej godności, pęka; wzdycha, zrobi, co powinna, czuje obrzydzenie do siebie, jakkolwiek niewielkie.

- Dobrze rozumiem pana kłopot, panie Musain. (Nazwisko faceta przypomniało jej się nagle, drobna oznaka, że odzyskuje pewność siebie).

Gdybym miała czas zadzwonić, uprzedzić pana, zrobiłabym to. Gdybym mogła wybrać godzinę wyjazdu, nie zjawiłabym się w porze zamknięcia agencji.

Gdybym nie potrzebowała tych pieniędzy, nie kłopotałabym pana. Ale potrzebuję ich. Całej sumy. Od razu.

Musain posyła jej szeroki, chełpliwy uśmiech. Sophie czuje, że jest na dobrej drodze.

- Powstaje też pytanie, czy posiadamy taką kwotę w gotówce... Sophie oblewa się zimnym potem.

- Ale sprawdzę... - mówi Musain.

Powiedziawszy to, znikł za drzwiami gabinetu. Żeby zadzwonić? Po co zamknął się w swoim biurze, skoro chce tylko sprawdzić, ile ma w sejfie?

Sophie spogląda z rozpaczą na spuszczone rolety, na drzwi w głębi lokalu, którymi urzędnicy wyszli na obiad i które zatrzasnęły się z metalicznym stukiem drzwi pancernych. Znów zapada cisza, jeszcze bardziej gnuśna, jeszcze bardziej złowieszcza. Facet dzwoni, to pewne. Do kogo? Ale oto już wraca.

Podchodzi z uwodzicielskim uśmiechem i staje nie jak przedtem, za biurkiem, tylko obok niej. Staje naprawdę bardzo,

ale to bardzo blisko Sophie.

- Myślę, że uda nam się to załatwić, pani Duguet - oznajmia. Sophie zmusza się do uśmiechu. Facet nie rusza się; patrzy jej w twarz i uśmiecha się.

Ona również się nie rusza i nadal uśmiecha. O to chodziło. O uśmiech.

Odpowiedź na popyt. Facet odwraca się i odchodzi.

Znów zostaje sama. Sześć minut po dwunastej. Szybko podchodzi do spuszczonej rolety, rozsuwa kilka listewek. Taksówka wciąż czeka. Ale musi działać szybko. Bardzo szybko.

Kiedy facet wychodzi ze swojego kantorka, Sophie siedzi z powrotem w pozie klientki, z rękami złożonymi na blacie. Tym razem Musain zostaje po drugiej stronie biurka, odlicza pięć tysięcy sześćset euro. Potem siada na miejscu urzędniczki, stuka w klawiaturę komputera. Drukarka zaczyna mozolnie pracować, Musain zaś spogląda z uśmiechem na Sophie, która czuje się jak naga. W końcu kwituje odbiór.

Musain wkłada pieniądze do koperty z papieru pakowego i z zadowoloną miną wręcza ją Sophie.

- Taka młoda, delikatna kobieta jak pani, na ulicy z taką sumą pieniędzy, nie powinienem na to pozwolić... To bardzo nieostrożne...

„Delikatna jak pani!” Nie wierzę własnym uszom!

Odbiera od niego kopertę. Jest bardzo gruba. Nie wie, co z nią zrobić, i w końcu wsuwa ją do wewnętrznej kieszeni bluzy. Musain przygląda się temu ze sceptyczną miną.

- Taksówka na mnie czeka - bąka Sophie. - Potem ją schowam...

- Oczywiście - mówi Musain. Sophie rusza do wyjścia.

- Chwileczkę!

Odwraca się, gotowa na wszystko, gotowa mu przyłożyć, ale widzi, że on się uśmiecha.

- Po zamknięciu wychodzi się tędy. I wskazuje drzwi na zapleczu.

Sophie rusza za nim. Wąski korytarz, na jego końcu wyjście. Musain manipuluje przy zamkach, pancerne drzwi uchylają się, lecz nie otwierają do końca. Facet prawie bez reszty je sobą

wypełnia.

- Tak więc... - mówi.

- Bardzo panu dziękuję...

Nie wie, co powinna zrobić. Facet tkwi w drzwiach, uśmiecha się.

- A dokąd się pani wybiera?... Jeśli wolno spytać.

Szybko coś wymyśleć, obojętnie co. Czuje, że zastanawia się zbyt długo, że powinna mieć gotową odpowiedź, lecz nic jej nie przychodzi do głowy.

- Na południe...

Sophie ma rozchyłoną bluzę; schowawszy banknoty, zaciągnęła zamek tylko do połowy. Musain wgapia się w jej szyję, z jego twarzy nie znika uśmiech.

- Na południe... Wspaniała rzecz, południe...

Wyciąga rękę i dyskretnym ruchem wsuwa głębiej kopertę z pieniędzmi, której róg wystaje w rozchyleniu bluzy. Jego dłoń przez moment muska jej pierś. Nic nie mówi, lecz nie od razu ją cofa. Tak bardzo chciałaby mu dać w gębę, lecz coś ostatecznego, coś przerażającego ją powstrzymuje. Strach. Przez głowę przemyka jej myśl, że równie dobrze mógłby ją obmacać, a ona, sparaliżowana tym strachem, nawet by nie zareagowała. Potrzebuje tych pieniędzy. Czy to aż tak widoczne?

- Taaak... - ciągnie Musain. - Południe jest naprawdę wspaniałe... Cofnął już rękę i teraz powoli gładzi klapę jej bluzy.

- Spieszę się...

Robi ruch w prawo w kierunku drzwi.

- Rozumiem - mówi Musain, usuwając się nieco na bok. Sophie przemyka się do wyjścia.

- A zatem szczęśliwej podróży, pani Duguet. I do zobaczenia... wkrótce?

Długo ściska jej dłoń.

- Dziękuję - mówi Sophie, wybiegając na ulicę.

Strach z powodu utkwienia tam, niemożności wyjścia, bycia zdaną na łaskę tego bankowego kretyna sprawia, że zalewają ją fala zimnej nienawiści.

Teraz, kiedy jest już po wszystkim, kiedy znalazła się na zewnątrz, najchętniej roztrzaskałaby mu łeb. Biegając do taksówki, czuje jeszcze dotyk jego ręki i niemal namacalną ulgę, jaką sprawiłoby jej złapanie go za uszy i rozwalenie mu czaszki o mur. Bo najbardziej nienawidzi łba tego kretyna! Wszystko to doprowadziło ją do takiej furii... No więc chwyta go za uszy i wali jego głową o mur. Słysząc straszny odgłos, głuchy i głęboki, facet patrzy na nią, jakby uświadamiając sobie raptem całą niedorzeczność świata, ale potem jego twarz wykrzywia grymas bólu, Sophie wali jego głową o mur trzy, cztery, pięć, dziesięć razy, i stopniowo grymas bólu ustępuje miejsca znieruchomieniu, zastygnięciu, a szkliste oczy wpatrują się w pustkę. Sophie z ulgą przerywa masakrę, jej dłonie ociekają krwią z jego rozwalonej czaszki. Mężczyzna ma oczy nieruchome jak trupy na filmach.

I wtedy Sophie przypomina sobie twarz Leo i jego oczy, naprawdę martwe. Nie jak na filmach.

Ogarnia ją zawrót głowy.

5

- To co robimy?

Sophie podnosi wzrok. Stoi przed taksówką jak skamieniała.

- Coś nie tak...? Chyba mi się tu pani nie rozchoruje?

Nie, nie rozchoruję się, wsiadaj, Sophie, do taksówki i uciekaj, gdzie pieprz rośnie. Jest dobrze, musisz się tylko uspokoić. Wszystkiemu jest winne zmęczenie, to była ciężka przeprawa, będzie dobrze, skoncentruj się.

W czasie jazdy kierowca coraz to zerka na nią w lusterku wstecznym.

Sophie próbuje dodać sobie otuchy, wyglądając przez okno, patrząc na miejsca, które tak dobrze zna, plac Republiki, bulwary nad Sekwaną, w oddali most Austerlitz. Zaczyna normalnie oddychać. Rytm jej serca nieco zwalnia. Nade wszystko musi się uspokoić, nabrać dystansu, pomyśleć.

Taksówka podjechała na Gare de Lyon. Kiedy Sophie, stojąc

obok przednich drzwi, płaci za przejazd, kierowca znów jej się przygląda, zaniepokojony, zaintrygowany, przestraszony, sam już nie wie, wszystkiego po trochu. A także z ulgą. Bierze banknoty i odjeżdża. Sophie podnosi walizkę i rusza w kierunku tablicy z rozkładem jazdy pociągów.

Ma ochotę zapalić. Gorączkowo przetrząsa kieszenie. Ochotę tak wielką, że nie ma czasu szukać. W kiosku stoją przed nią trzy osoby. W końcu prosi o paczkę, nie, dwie, dziewczyna odwraca się, kładzie dwie paczki na ladzie.

- Nie, trzy.

- To w końcu jak, jedna, dwie czy trzy?

- Karton.

- Na pewno?

- Niech mnie pani nie wkurza! I zapalniczkę.

- Którą?

- Nieważne, obojętnie którą!

Łapie niecierpliwie karton, wyjmując z kieszeni pieniądze, ale tak się trzęsie, że wszystkie wypadają jej na stos gazet przed ladą. Rozglądając się nerwowo dookoła, zbiera banknoty po pięćdziesiąt euro i wpycha je do kieszeni, naprawdę wszystko idzie nie tak, zupełnie nie tak. Jakaś para jej się przygląda.

Gruby chłopak obok, wyraźnie skrepowany, udaje, że patrzy gdzie indziej.

Sophie wychodzi z kiosku z kartonem papierosów. Jej spojrzenie napotyka planszę z wydrukowanym na czerwono ostrzeżeniem dla podróżnych, żeby uważali na złodziei kieszonek... Co teraz? Najchętniej usiadłaby i zawyla, ale co ciekawe, w tym samym momencie czuje coś, czego w późniejszym czasie będzie często doświadczała, ma dziwne, niemal kojące wrażenie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę - jak u dzieci, w których sercach pośród strachów i lęków wyrasta krucha, lecz absolutna pewność, że mimo strachu gdzieś, w jakimś miejscu istnieje oparcie, że coś nieznanego nas chroni... Przez moment pojawia się przed nią obraz jej ojca i zaraz znika.

Magiczny błysk.

W głębi duszy Sophie dobrze wie, że to tylko bardzo

dziecinny sposób dodania sobie otuchy.

Teraz musi znaleźć toaletę, uczesać się, na nowo skoncentrować, schować jak należy pieniądze, zdecydować, dokąd jedzie, opracować plan - oto co powinna zrobić. I zapalić papierosa, natychmiast.

Rozdziera celofan, trzy paczki wypadają z kartonu na ziemię. Podnosi je, odkłada karton i bluzę na walizkę. Otwiera paczkę, wyjmując papierosa, zapala i zalewa ją fala dojmującej błogości. Pierwsza od wieków sekunda szczęścia.

Lecz prawie zaraz potem dym uderza jej do głowy. Zamyka oczy, żeby dojść do siebie, i za chwilę czuje się już lepiej. Nie otwierając oczu, przez dwie czy trzy minuty pali, delectuje się papierosem jak na nowo odzyskanym spokojem.

Potem go gasi, chowa karton do walizki i rusza do kafejki naprzeciwko peronów, z których odjeżdżają pociągi.

Mija restaurację Train Bleu z jej szerokimi ruchomymi schodami, przeszklonymi drzwiami, salonami o zawrotnie wysokich sufitach, białymi stolikami, zgiełkiem baru, srebrnymi sztućcami i pompatycznymi malowidłami na ścianach. Któregoś wieczoru, dawno temu, Vincent ją tam zabrał. To wszystko jest bardzo odległe.

Na zadaszonym tarasie dostrzega wolny stolik. Siada, zamawia kawę, pyta o toaletę. Nie chce zostawiać walizki. A z kolei zabranie jej do toalety...

Rozgląda się dookoła. Z prawej strony kobieta, z lewej strony druga. Do tego lepsze są kobiety. Ta z prawej wygląda na osobę mniej więcej w jej wieku; przegląda jakieś pismo, paląc papierosa. Sophie wybiera tę z lewej, starszą, tęszą, pewniejszą siebie; ruchem ręki wskazuje na swoją walizkę, nie jest jednak pewna, czyjej gest został dobrze zrozumiany. Lecz spojrzenie tamtej zdaje się mówić: „Niech pani idzie, jestem tu i przypilnuję”. Niewyraźny uśmiech, pierwszy od wieków. W uśmiechaniu się kobiety też są lepsze. Sophie zostawia zamówioną kawę. Schodzi po schodach, stara się nie patrzeć na swoje odbicie w lustrach, wchodzi prosto do kabiny, zamyka drzwi, spuszcza spodnie i majtki, siada na sedesie, opiera łokcie na kolanach i wybucha płaczem.

Po wyjściu z kabiny widzi w lustrze swoją twarz. Ruina. Niewiarygodne, jak okropnie stara i wypluta się czuje. Myje ręce, zwilża czoło. To okropne zmęczenie... Wróci teraz na górę, napije się kawy, zapali papierosa i pomyśli.

Nie wolno jej już panikować, powinna działać z rozwagą, wszystko dokładnie analizować. Łatwo powiedzieć.

Wchodzi po schodach, a kiedy jest już na tarasie, momentalnie dostrzega, co się stało. Jej walizka zniknęła. Kobieta też. Krzyczy: „cholera!” i zaczyna z furią walić pięścią w stół. Filizanka z kawą spada, rozbija się, spojrzenia ludzi zwracają się w jej stronę. Sophie odwraca się do drugiej kobiety, tej ze stolika po prawej. I w tej samej chwili, prawie z niczego, z cienia w jej spojrzeniu odgaduje, że dziewczyna wszystko widziała, że nie zainterweniowała, nie odezwała się słowem, nie kiwnęła palcem, nic.

- A pani oczywiście nic nie widziała...!

Kobieta ma jakieś trzydzieści lat, smutną twarz i od stóp do głów jest ubrana na szaro. Ocierając łzy mankietem rękawa, Sophie do niej podchodzi.

- Nic, dziwko, nie widziałaś, co?

I policzkuje ją. Krzyki, podbiega kelner, dziewczyna trzyma się za policzek i zaczyna cicho chlipać. Nadbiegają gapie, co tu się dzieje, oto Sophie w oku cyklonu, wokół pełno ludzi, kelner chwytają za ramiona, wołając:

„Spokój albo wezwę policję!”. Sophie jednym szarpnięciem wyrывa mu się i rzuca do ucieczki, kelner wrzeszczy, biegnie za nią, a w ślad za nimi cały tłum, dziesięć metrów, dwadzieścia, nie wie, dokąd biec dalej, na jej ramię opada władczo ręka kelnera, który krzyczy:

- Proszę zapłacić za kawę!

Sophie odwraca się. Facet patrzy na nią z rozgorączkowaną miną. Mierzą się na spojrzenia. Jest mężczyzną. Sophie czuje, że do niego należeć będzie zwycięstwo, że już na samą myśl o tym poczerwieniał z emocji. Więc wyjmuje kopertę, w której ma tylko grube nominały, paczki papierosów lecą na ziemię,

zbiera to wszystko, tyłu teraz wokół nich ludzi, Sophie głęboko oddycha, pociąga nosem, jeszcze raz mankietem rękawa ociera łzy, wyjmuje pięćdziesiąt euro i kładzie banknot na dłoni kelnera. Stoją pośrodku dworca, otoczeni szerokim kręgiem gapiów oraz zwabionych ciekawością podróżnych. Kelner wsuwa rękę do kieszeni fartucha, żeby jej wydać resztę, ona zaś z wystudiowanej powolności jego ruchów odgaduje, że przeżywa w tym momencie chwilę chwały. Nie spieszy się, nie rozgląda, jest skupiony, jakby widzowie nie istnieli, jakby odgrywał swoją naturalną rolę, rolę spokojnego autorytetu. Sophie czuje, jak narasta w niej napięcie. Jak świerzbią ją ręce.

Zgromadził się wokół nich chyba cały dworzec. Kelner skrupulatnie liczy od dwóch do pięćdziesięciu, powoli kładąc każdy kolejny banknot i każdą monetę na jej otwartej, drżącej dłoni. Sophie widzi tylko czubek jego siwej głowy, pot skraplający się u nasady rzadniejących włosów. Ma ochotę się porzygać.

Zabiera pieniądze, odwraca się i przedziera przez tłum gapiów, kompletnie zagubiona.

Idzie przed siebie. Wydaje jej się, że się zatacza, jednak nie, idzie prosto, tyle że jest bardzo zmęczona. Z tyłu słyszy czyjś głos. Zachrypnięty, głuchy.

- Może pomóc?

Sophie odwraca się. Dobry Boże, co za nieszczęście. Pijaczek, którego widzi, to żywy obraz całej nędzy świata. Pisany wielkimi literami BEZDOMNY.

- Nie trzeba, dziękuję... - rzuca. I rusza dalej.

- Nie ma się co wstydzić! Wszyscy siedzimy w tym samym gów...

- Spadaj i nie wkurzaj mnie!

Osobnik natychmiast się wycofuje, mrużąc coś, czego Sophie zdaje się nie rozumieć. Być może myli się. Być może to on ma rację, być może i ona, choć jeszcze trzyma fason, już osiągnęła ten stan. Bezdomnej.

Co miałaś w tej swojej walizce? Tylko ciuchy i inne bzdury, a najważniejsze są pieniądze.

Szuka nerwowo po kieszeniach i oddycha z ulgą; dokumenty

są. Ma przy sobie pieniądze i ma dokumenty; najważniejsze ocalało. Więc jeszcze raz musi pomyśleć. Wychodzi z dworca na pełne słońce. Przed nią rząd kafejek i piwiarni, wszędzie wkoło podróźni, taksówki, samochody, autobusy... Obok niski betonowy murek, przy nim kolejka czekających na taksówkę. Kilka osób siedzi, niektórzy czytają, jakiś mężczyzna z otwartym notatnikiem na kolanach z zaaferowaną miną rozmawia przez telefon. Sophie podchodzi, również siada na murku, wyjmuje papierosy i pali z zamkniętymi oczami. Koniecznie musi zebrać myśli. Nagle przypomina sobie o komórce. Założą jej podsłuch. Zobaczą, że próbowała zadzwonić do państwa Gervais. Otwiera aparat, gorączkowo wyjmuje kartę SIM i ciskają do studzienki kanalizacyjnej. Telefon też wyrzuca.

Przyjechała na Gare de Lyon bez zastanowienia. Dlaczego? Dokąd się wybierała? Zagadka... Zastanawia się. I nagle sobie przypomina: Marsylia, otóż to, tam właśnie dawno, dawno temu pojechali z Vincentem. Weszli roześmiani do jakiegoś szpetnego hoteliku obok VieuxPort, bo nie znaleźli nic innego, a chcieli jak najszybciej znaleźć się w łóżku. Na pytanie urzędnika w recepcji o nazwisko Vincent odpowiedział: „Stefan Zweig”, bo był to wtedy ich ulubiony autor. Musiał je przeliterować. Facet zapytał, czy są Polakami. Vincent odpowiedział: „Austriakami. Z pochodzenia...”. Zatrzymali się w hotelu na jedną noc, incognito, dlatego... I nagle uderzają myśl: odruchowo chciała udać się tam, gdzie już była, do Marsylii czy gdzie indziej, nieważne, w miejsce, które, choć słabo, ale jednak знаła. Ponieważ to uspokaja. I właśnie takiego postępowania będą od niej oczekiwać. Będą jej szukali tam, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa pojedzie, i tego właśnie nie powinna zrobić.

Od teraz musi zapomnieć o wszystkich znanych jej punktach odniesienia, to absolutna konieczność. Musi uruchomić wyobraźnię. Robić rzeczy, których nigdy nie robiła, pojechać tam, gdzie nikt się nie spodziewa. I wtedy ogarniają nagła panika na myśl, że nie będzie mogła odwiedzić swojego ojca. Ostatnim razem była u niego aż pół roku temu, a teraz to

kierunek wzbroniony. Jego dom jest na pewno pod obserwacją, telefon na podsłuchu. Znów widzi postać swego niezłomnego ojca: rosły i solidny jak wyciosany z pnia dębu, równie stary, równie silny. Na jego wzór i podobieństwo wybrała Sophie Vincenta: mężczyznę wysokiego, spokojnego, pogodnego. I tego właśnie jej będzie brakować. Kiedy wszystko się zawaliło, kiedy po śmierci Vincentowej życie legło w gruzach, jedynym ocalałym z katastrofy był jej ojciec. Nie będzie już mogła do niego pojechać, porozmawiać z nim. Zostanie na świecie zupełnie sama, tak jakby i on umarł. A czym będzie świat, w którym jej ojciec będzie gdzieś żył, lecz ona nie będzie mogła już z nim porozmawiać ani go posłuchać - tego Sophie nie potrafi sobie wyobrazić. To tak, jakby i ona umarła.

Na myśl o tym ogarniają zawrót głowy, jakby wkroczyła do innego świata, skąd nie ma powrotu; wrogiego świata, w którym wszystko będzie jej obce, wszystko będzie ryzykiem, w którym będzie musiała zapomnieć o wszelkiej spontaniczności. Nigdzie nie będzie w nim bezpieczna, żadnego miejsca nie będzie potrafiła nazwać; stanie się nikim, będzie tylko uciekinierką, kimś, kto umiera ze strachu, kto wie dzie żywot zwierzęcia bez reszty skoncentrowanego na przetrwaniu. A to zaprzeczenie życia.

Ogarniają znużenie: czy to wszystko warte jest zachodu? Czym teraz jest jej życie? Ciągłym ruchem, nieprzystawianiem nawet na chwilę w jednym miejscu... Jest skazana na porażkę, nie znajdzie w sobie siły do podjęcia takiej walki. Nie ma natury uciekiniarki, jest tylko zbrodniarką. Nigdy nie pozna prawdy. Bez trudu ją znajdą... Mimowolnie wzdycha z poczuciem rezygnacji: lepiej się poddać, pójść na policję, powiedzieć prawdę, że niczego nie pamięta...

że któregoś dnia musiało do tego dojść, że chowa w sobie tyle urazy, tyle nienawiści do świata... Lepiej z tym wszystkim skończyć. Nie chce takiego życia, jakie ją czeka. Ale czym było jej wcześniejsze życie? Od dawna już było niczym. Ma teraz do wyboru dwie bezużyteczne egzystencje. Jest tak okropnie

zmęczona... Mówi sobie: „Trzeba z tym skończyć”. I po raz pierwszy takie rozwiązanie wydaje jej się realne. „Oddam się w ręce policji”. Nawet nie jest zdziwiona, że nazwała się zbrodniarką. Wystarczyły dwa lata, żeby postradała zmysły, jedna noc, żeby na nowo stała się kryminalistką, dwie godziny, żeby zamieniła się w kobietę ściganą z jej strachami, podejrzliwością, fortelami, lękami, próbami zorganizowania się, a teraz nawet ze słownictwem. Już po raz drugi w życiu uświadamia sobie, jak szybko, w sekundę, normalna egzystencja może obrócić się w szaleństwo i śmierć. Koniec. Muszę z tym skończyć, stwierdza, i ogarniają wielki spokój. Nawet strach przed zamknięciem w domu wariatów, będący siłą napędową jej ucieczki, ustępuje. Szpital psychiatryczny nie wydaje się jej już piekłem, tylko łagodnym rozwiązaniem. Gasi papierosa, zapala następnego. Wypalę tego i pójdę. Ostatni papieros, a potem słowo się rzekło: zatelefonuje, wykręci 17. Czy tak? Siedemnaście? Teraz to nieważne, wysłuchają jej, wytłumaczy się. Wszystko jest lepsze od tych ostatnich godzin, które przeżyła. Wszystko jest lepsze od tego szaleństwa.

Wydmuchuje dym z papierosa i w tym momencie słyszy głos kobiety.

6

- Tak mi przykro...

Przed nią stoi dziewczyna w szarościach, nerwowo zaciskając w dłoniach małą torebkę. Na jej twarzy maluje się niepewny uśmiech. Sophie nie jest nawet zdziwiona.

Przez chwilę na nią patrzy, a potem mówi:

- Nic się nie stało, zostawmy to. Bywają takie dni.

- Tak mi przykro - powtarza dziewczyna.

- To nie pani wina, zostawmy to.

Ale dziewczyna wciąż stoi jak wrośnięta w ziemię. Dopiero teraz Sophie uważniej się jej przygląda. Nie jest brzydka, tylko smutna. Trzydzieści lat, pociągła twarz, delikatne rysy, żywe oczy.

- Czy mogłabym jakoś pomóc?
- Przynieść mi z powrotem walizkę! O, to byłby dobry pomysł
- przynieść mi moją walizkę!

Wstaje z murka, ujmuje ramię dziewczyny.

- Trochę mnie poniosło. - mówi. - Niech się pani tym nie przejmuję. Teraz muszę już iść.

- Czy miała pani coś wartościowego? To znaczy, w walizce - miała pani coś wartościowego?

- Wystarczająco, żeby chcieć to z sobą zabrać.

- I co pani teraz zrobi?

Dobre pytanie. Każdy inny odpowiedziałby: wrócę do domu. Ale Sophie ma pustkę w głowie, nie wie, co powiedzieć, nie ma dokąd pójść.

- Mogę pani postawić kawę? - pyta dziewczyna, wyczekująco patrząc na Sophie.

To nie propozycja, to raczej błagalna prośba. Ku własnemu zaskoczeniu Sophie odpowiada:

- Cóż, w mojej obecnej sytuacji... Restauracja naprzeciwko dworca.

Prawdopodobnie z powodu silnego słońca dziewczyna od razu skierowała kroki na taras, ale Sophie woli usiąść w głębi sali. Mówi: „Nie na widoku”.

Dziewczyna odwzajemnia jej uśmiech.

Nie bardzo wiedzą, o czym rozmawiać, czekają na kawę.

- Przyjechała pani czy wyjeżdża?

- Słucham? Ach tak, przyjechałam. Z Lille.

- Na Gare de Lyon?

Zły początek. Nagle Sophie ma ochotę zostawić tę dziewczynę wraz z jej spóźnionymi skrupułami i z tym wyglądem zbitego psa, wstać i wyjść.

Improwizuje:

- Przyjechałam z innego dworca. I od razu pyta:

- A pani?

- Nie, ja nigdzie nie jadę.

Dziewczyna nie wie, co jeszcze powiedzieć, i zmienia temat:

- Mieszkam niedaleko. Mam na imię Veronique.

- Ja też - mówi Sophie.

- Pani też ma na imię Veronique?

Sophie uświadamia sobie, że wszystko będzie trudniejsze, niż myślała, że nie miała czasu przygotować się na tego typu pytania, że będzie musiała jeszcze wiele zrobić. Wczuć się w swoją nową sytuację.

Robi nieokreślony gest, który może znaczyć wszystko i nic.

- Zabawne - mówi dziewczyna.

- Zdarza się...

Sophie zapala papierosa, częstuje dziewczynę, która zapala swojego ruchem pełnym gracji. Z bliska ta okryta pancerzem szarego kostiumu dziewczyna wygląda zupełnie inaczej, to niesamowite.

- Czym się pani zajmuje? - pyta Sophie.

- Jestem tłumaczką. A pani?

W ciągu tych kilku minut rozmowy Sophie zdążyła wymyślić sobie nowe życie. Z początku człowiek trochę się boi, a potem jest to jak gra; wystarczy przez cały czas pamiętać o regułach. Nagle Sophie ma przed sobą ogromne możliwości wyboru. Zachowuje się jednak jak ci wygrywający w totolotka, którzy mogliby całkowicie odmienić swoje życie, a kupują zwykły szeregowy domek. Tak więc jest obecnie Veronique, nauczycielką plastyki w liceum w Lille i singielką, która przyjechała na kilka dni w odwiedziny do rodziców mieszkających na przedmieściach Paryża.

- To w Lille macie teraz wakacje? - pyta Veronique.

W tym cały problem: ciąg faktów niesie ryzyko zagalopowania się za daleko.

- Wzięłam wolne. Mój ojciec jest chory. To znaczy... (uśmiecha się), tak między nami, wcale nie jest chory: miałam ochotę spędzić kilka dni w Paryżu.

Powinłam się wstydzić...

- Gdzie mieszkają? Mogę panią zawieźć, mam samochód.

- Nie, naprawdę, poradzę sobie, dziękuję...

- To dla mnie żaden problem.

- Miło z pani strony, ale naprawdę nie trzeba. Powiedziała to tonem ucinającym dalszą dyskusję - i z powrotem zapadła między nimi cisza.

- Czekają na panią? Może powinna pani do nich zadzwonić.

- Och, nie!

Powiedziała to za szybko: uspokój się, Sophie, nie trać zimnej krwi, pomyśl, zanim odpowiesz.

- Prawdę mówiąc, miałam przyjechać dopiero jutro rano...

- Rozumiem - powiedziała Veronique, gasząc papierosa. - Czy pani coś jadła?

To doprawdy ostatnia rzecz, o której by pomyślała.

- Nie.

Spogląda na zegar ścienny: trzynasta czterdzieści.

- Czy mogę więc panią zaprosić na obiad? W ramach przeprosin... za walizkę... Mieszkam bardzo blisko... Nie mam nic specjalnego, ale w lodówce na pewno coś jadalnego się znajdzie.

Nie rób nic tak jak przedtem, Sophie. Idź tam, gdzie nikt się ciebie nie spodziewa.

- Czemu nie - mówi.

Uśmiechają się do siebie. Veronique płaci rachunek. Po drodze Sophie kupuje dwie paczki papierosów.

Bulwar Diderota. Mieszkańska kamienica. Idą obok siebie, wymieniając zdawkowe uwagi. Ledwie zdążyły dojść do budynku, w którym mieszka Veronique, a Sophie już zaczyna żałować. Powinna powiedzieć nie, powinna wyjechać. Powinna być już daleko od Paryża, zdążając w kierunku, którego nikt by się po niej nie spodziewał. Zgodziła się w odruchu słabości, zmęczenia. Więc podąża za tamtą bezwolnie, pozwala się prowadzić, jakby była przypadkowym gościem. Wchodzą do hallu. Winda. Veronique naciska guzik czwartego piętra.

Winda trzeszczy, kołysze, skrzypi, trzęsie się, ale wytrwale wznosi się w górę i nagle, z szarpnięciem, zatrzymuje się.

- Trudno to nazwać komfortem - z uśmiechem mówi Veronique tonem usprawiedliwienia, szukając w torebce klucza.

Trudno to nazwać komfortem, ale już od progu pachnie zamożną burżuazją. Mieszkanie jest wielkie, naprawdę ogromne. Salon składa się z dwóch pomieszczeń z dwójgiem okien: z prawej pokój ze skórą dzikich zwierząt, z lewej

fortepian koncertowy, w głębi biblioteka...

- Proszę, niech pani wejdzie...

Sophie wkracza do środka jak do muzeum. I natychmiast wystrój, choć w skromniejszym wydaniu, kojarzy jej się z mieszkaniem na rue Moliere, gdzie dokładnie w tym momencie...

Odruchowo rozgląda się, chcąc sprawdzić godzinę, na półce nad kominkiem dostrzega złożony zegar: trzynasta pięćdziesiąt.

Veronique, nagle ożywiona, niemal w pośpiechu rusza do kuchni. Sophie słyszy jej głos i z roztargnieniem odpowiada, rozglądając się dookoła. Jej spojrzenie znów wędruje do zegara; nadal ta sama godzina. Bierze głęboki oddech. Musi uważać na odpowiedzi, mrużyć zdawkowo: „Tak, oczywiście...”, jednocześnie starając się zebrać myśli. Czuje się trochę tak, jakby po niespokojnej nocy obudziła się w jakimś nieznanym miejscu. Veronique krząta się, szybko mówi, otwiera szafki, po drodze nastawia kuchenkę mikrofalową, trzaska drzwiami lodówki, nakrywa stół. Sophie pyta:

- Może pani pomogę?

- Nie, nie, nie trzeba - odpowiada Veronique.

Wzorowa pani domu. W kilka minut na stole znalazła się sałata, wino, prawie świeży chleb (Jest z wczoraj”, wyjaśnia Veronique), nóż do pieczywa.

- Więc jest pani tłumaczką...

Sophie szuka tematu do rozmowy. Nie musi; teraz, na własnym terenie, Veronique zrobiła się niemal gadatliwa.

- Z angielskiego i rosyjskiego. Moja matka jest Rosjanką: to pomaga!

- Co pani tłumaczy? Powieści?

- Chciałabym, ale robię raczej teksty techniczne: listy, broszury, tego typu rzeczy.

Rozmowa toczy się zakosami, mówią o pracy, o rodzinie. Sophie wymyśla znajomych, kolegów, rodzinę, nowe piękne życie, starając się, by jak najdalej odbiegało od prawdy.

- Gdzie mieszkają pani rodzice? - pyta Veronique.

- W ChillyMazarin.

Przyszło jej to do głowy nagle, nie wiadomo skąd.

- A co robią?

- Posłałam ich na emeryturę.

Veronique otwiera butelkę, podaje potrawkę warzywną z kawałkami bekonu.

- Uprzedzam, że to z mrożonki...

Sophie nagle odkryła, że jest głodna. Je i je. Wino napełnia ją przyjemnym uczuciem zadowolenia. Na szczęście Veronique jest rozmowna.

Poprzestaje na ogólnikach, ale wykazuje dar konwersacji, przeplatając banały z anegdotami. Sophie wylapuje strzępy informacji o jej rodzicach, o studiach, o bracie, o podróży do Szkocji... Po chwili elokwencja gospodyni się wyczerpuje.

- Mężatka? - pyta, wskazując na obrączkę Sophie. Fatalnie...

- Już nie - odpowiada.

- Mimo to wciąż ją pani nosi?

Musi pamiętać, żeby ją zdjąć. Improwizuje.

- Chyba z przyzwyczajenia. A pani?

- Chętnie bym nabrała takiego przyzwyczajenia. Powiedziała to z zawstydzonym uśmiechem, odwołującym się do kobiecej solidarności. W innych okolicznościach, być może, myśli Sophie. Ale nie teraz...

- I?

- Może następnym razem.

Przynosi ser. Jak na osobę, która nie wie, co ma w lodówce...

- Więc mieszka pani sama? Veronique z wahaniem odpowiada:

- Tak...

Pochyla się nad talerzem, potem podnosi głowę i patrzy Sophie prosto w oczy, jakby wyzywająco.

- Od poniedziałku... Więc od niedawna.

- Rozumiem.

Jedyne, co Sophie wie na pewno, to że nie chce o niczym wiedzieć. W nic się mieszać. Chce dokończyć posiłek i wyjść. Nie czuje się dobrze. Chce wyjść.

- Bywa - mówi niemądrze.

- Właśnie - potwierdza Veronique.

Rozmowa toczy się jeszcze przez chwilę, ale coś jakby w niej pękło.

Między nimi stanęło małe prywatne nieszczęście. W tym momencie dzwoni telefon.

Veronique spogląda w stronę korytarza, jakby spodziewała się, że rozmówca zaraz wejdzie do pokoju. Wzdycha. Dzwonek jeden, drugi. Mówi:

„Przepraszam”, wstaje, idzie do przedpokoju. Podnosi słuchawkę.

Sophie dopija wino, na nowo napełnia kieliszek, wygląda przez okno.

Veronique przymknęła drzwi, ale jej stłumiony głos dociera do salonu.

Krępująca sytuacja. Gdyby nie obecność tamtej w przedpokoju, Sophie zabrałaby swoją bluzę i po prostu, bez słowa, wymknęłaby się z mieszkania. Jak złodziejka. Wyłapuje kilka słów, odruchowo próbując zrozumieć, o czym mowa.

Głos Veronique brzmi poważnie i twardo.

Sophie wstaje, odchodzi kilka kroków, żeby oddalić się od drzwi, ale to nic nie zmienia; głos Veronique, teraz głuchy, słyhać tak wyraźnie, jakby znajdowała się w pokoju. Padają okrutne słowa banalnego rozstania. Życie tej dziewczyny („Skończone, powiedziałam ci, to już koniec”) nie interesuje Sophie, ma w nosie jej nieudane związki. Podchodzi do okna („Rozmawialiśmy już o tym setki razy, nie będziemy znowu zaczynali...!”). Po lewej stronie stoi mały sekretarzyk. W tym momencie Sophie świta w głowie pewien pomysł.

Nadstawia ucha, by zorientować się w przebiegu rozmowy, obecnie znajdującej się na etapie: „Powtarzam, zostaw mnie w spokoju”, co daje jej jeszcze trochę czasu; powoli opuszcza blat sekretarzyka i w głębi widzi dwa rzędy szufladek.

„Zapewniam cię, że tego typu rzeczy już na mnie nie działają...” W drugiej odkrywa kilka banknotów po dwieście euro, niewiele, przelicza: tylko cztery.

Chowa je do kieszeni, nie przerywając szukania. Jej dłoń natrafia na sztywną okładkę paszportu („Myślisz, że zrobisz tym na mnie wrażenie?”), sprawdzi go później, teraz chowa

paszport do kieszeni. Zabiera jeszcze książeczkę czekową.

Wystarcza jej czasu, żeby podbiec do kanapy, upchnąć zdobycz w wewnętrznej kieszeni bluzy, kiedy słyszy: „Biedny człowiek!”. Potem: „Biedny facet”. I w końcu: „Biedny idiota!”.

Słuchawka zostaje gwałtownie odłożona. Cisza. Veronique ciągle stoi w przedpokoju. Sophie stara się przybrać minę stosowną do okoliczności.

Wreszcie Veronique wraca. Skrępowana przeprasza, próbuje się uśmiechnąć.

- Przykro mi, musi być pani... Naprawdę mi przykro...

- Nic nie szkodzi - mówi Sophie i dodaje: - Muszę się już z panią pożegnać.

- Nie, nie - protestuje Veronique. - Zrobię kawę.

- Powinnam już iść...

- To zajmie tylko minutę, obiecuję!

Ociera łyż wierzchem dłoni, stara się uśmiechnąć.

- To idiotyczne...

Sophie daje sobie jeszcze kwadrans i potem bez względu na wszystko wychodzi. Z kuchni dobiega głos Veronique:

- Od trzech dni bez przerwy do mnie wydzwania. Wszystkiego już próbowałam, wyłączyłam nawet telefon, ale przy mojej pracy nie bardzo mogę sobie na to pozwolić. Słuchanie, jak dzwoni, okropnie mnie denerwuje. Więc od czasu do czasu wychodzę na kawę... W końcu mu się znudzi, ale to dziwny facet. Z tych, którzy jak już raz się uczepią...

Stawia filiżanki na niskim stoliku.

Do Sophie nagle dociera, że przesadziła z winem. Otaczające ją wnętrze, mieszczańskie mieszkanie Veronique, sama Veronique, zegar kominkowy, pusta butelka po winie na stole - wszystko zaczyna powoli falować, zlewać się z sobą, zaraz potem pojawia się przed nią twarz Leo, obraz dziecinnego pokoju, wybruszenia pościeli na łóżku, przypomina sobie otwieranie szuflad i tę ciszę, kiedy nagle poczuła strach. Przedmioty tańczą przed jej oczami, wspomnienie paszportu, który schowała w kieszeni bluzy. Czuje, że zalewają ją fala, wszystko wokół zdaje się stopniowo gasnąć, rozplýwać się w ciemnościach. Z dalekiej odległości dobiegają głos Veronique,

która pyta: „Czy coś nie tak?”, ale to głos, który wydobywa się z czeluści studni, odbija się echem; Sophie czuje, że jej ciało słabnie, osuwa się i nagle wszystko gaśnie.

To kolejna scena, którą dobrze pamięta. Mogłaby dziś opisać każdy mebel, każdy detal, włącznie ze wzorem tapety w salonie.

Leży z jedną nogą zwisającą z kanapy, przeciera oczy, próbując trochę oprzytomnieć, co rusz je otwiera i czuje, że jakaś część niej stawia opór, chce pozostać w stanie nieświadomości, z dala od wszystkiego. Od rana czuje się bardzo wyczerpana, tyle rzeczy się już zdarzyło... W końcu podpira się na łokciu, odwraca głowę w stronę salonu i powoli otwiera oczy.

U stóp stolika leży ciało Veronique w kałuży krwi.

Pierwszym odruchem Sophie jest wypuszczenie z ręki kuchennego noża, który ze złowrogim stuknięciem spada na podłogę.

To wszystko przypomina sen. Sophie wstaje, chwieje się na nogach.

Odruchowo próbuje wytrzeć prawą dłoń o spodnie, ale krew za bardzo już zaschła. Jej stopa ślizga się we krwi, która powoli rozlewa się coraz szerszą kałużą po parkiecie; w ostatniej chwili udaje jej się przytrzymać stolika. Przez chwilę zatacza się. Właściwie jest pijana. Nie zdając sobie sprawy, co robi, chwytą swoją bluzę i ciągnie ją za sobą po podłodze jak smycz. Jak sznur od lampy. Przytrzymując się ściany, dowleka się do korytarza, gdzie leży jej torebka. Do oczu znowu napływają jej łzy, pociąga nosem i nagle siada na ziemi. Chowa twarz w swojej zrolowanej bluzie. Czuje coś dziwnego na twarzy, podnosi głowę. Bluza jest umazana we krwi, a ona otarła nią policzki... Umyj twarz, Sophie, zanim wyjdiesz. Wstań.

Ale nie ma siły. Tego już za wiele. Tym razem wyciąga się na podłodze, głowę opiera o drzwi wejściowe, gotowa z powrotem zapaść w sen, gotowa na wszystko, byle nie musieć stawić czoła tej rzeczywistości. Zamyka oczy. I nagle... jakieś niewidzialne ręce zdają się chwytac ją za ramiona i podnosić... Do dziś nie

potrafi powiedzieć, co się stało, ale oto z powrotem siedzi. Potem z powrotem stoi. Chwieje się na nogach, ale stoi... Czuje, jak rodzi się w niej jakieś zaciekle postanowienie, jakiś zwierzęcy odruch. Wraca do salonu. Z miejsca, w którym się znajduje, widzi tylko nogi Veronique do połowy ukryte pod stolikiem. Podchodzi. Ciało leży na boku, twarz zasłaniają ramiona.

Podchodzi jeszcze bliżej, nachyla się: bluzka Veronique jest poczerwiała od krwi. Pośrodku brzucha, w miejscu, gdzie został wbity nóż, ziele wielka rana. W mieszkaniu panuje cisza. Sophie idzie do sypialni. Te dziesięć kroków wyczerpało całą jej energię, przysiada więc na brzegu łóżka. Jedna ściana sypialni to drzwi szaf ściennych. Sophie z trudem podchodzi i otwiera pierwsze.

Ubrań jest tyle, że wystarczyłoby dla całego sierocińca. Otwiera drugie drzwi, trzecie i w końcu znajduje walizkę, którą rzuca na łóżko. Decyduje się na sukienki, bo nie ma czasu szukać rzeczy pasujących do spódnic. Jeszcze trzy pary zniszczonych dżinsów. Ruch przywracają do życia. Bez namysłu wybiera rzeczy jak najdalej od jej własnego gustu. Za następnymi drzwiami natrafia na szuflady z bielizną, której naręcz pakuje do walizki. Co do butów - jeden rzut oka wystarcza, by stwierdzić, że ich gama obejmuje modele od najbrzydszych do najładniejszych. Wybiera dwie pary pantofli i jedną tenisówek. Siada na walizce, żeby ją domknąć, potem ciągnie ją do korytarza i zostawia pod drzwiami wejściowymi razem z torebką. W łazience, nie patrząc w lustro, obmywa twarz. Widzi, że jeden mankiet rękawa bluzy jest poczerwiała od krwi, i momentalnie go odrywa, jakby zajął się ogniem. Wraca do sypialni, znów otwiera szafę, cztery sekundy zajmuje jej wybór bluzy, niebieskiej i nijakiej.

Jeszcze tylko musi przełożyć do niej zawartość swojej kieszeni i oto stoi już z uchem przytkniętym do drzwi wyjściowych. Nasłuchuje.

Pamięta tę chwilę jak dziś. Otwiera cicho drzwi, ujmuje walizkę jedną ręką, torebkę drugą i schodzi po stopniach bez pośpiechu, z sercem w gardle, z zapartym tchem, z twarzą, na

której zdążyły już obeschnąć łzy. Jakaż ta walizka ciężka. Pewnie dlatego, że Sophie jest tak wyczerpana. Jeszcze kilka kroków i otwiera bramę, wychodzi na Bulwar Diderota i bez wahania rusza w lewo, w kierunku przeciwnym do dworca.

7

Na brzegu umywalki kładzie paszport otwarty na stronie z fotografią i spogląda w lustro. Parokrotnie przenosi wzrok ze zdjęcia na swoje odbicie i z powrotem. Sprawdza, kiedy został wydany: w 1993 roku. Wystarczająco dawno temu, żeby numer przeszedł. Veronique Fabre, urodzona jedenastego lutego 1970 roku. Różnica wieku niewielka. W Chevreaux. Sophie nie ma bladego pojęcia, gdzie może leżeć to Chevreaux. Gdzieś w środkowej Francji? Trudno powiedzieć. Musi sprawdzić.

Tłumaczka. Veronique powiedziała, że tłumaczy z angielskiego i rosyjskiego. Sophie i języki... Trochę angielskiego, trochę hiszpańskiego, a wszystko to już bardzo odległa przeszłość. Jeśli przyjdzie jej tłumaczyć się z zawodu, będzie po niej, ale nie bardzo wyobraża sobie, w jakiej sytuacji miałyby do tego dojść. Znaleźć jakieś inne rzadkie języki? Litewski? Estoński?

Bezosobowe zdjęcie ukazuje banalną kobietę o krótkich włosach i pospolitych rysach. Sophie patrzy w lustro: czoło ma wyższe, nos szerszy, nawet spojrzenie zupełnie inne... Musi coś z tym zrobić. Otwiera plastikową torbę, do której wrzuciła zakupy zrobione przed chwilą w Monoprix na bulwarze: nożyczki, kosmetyczkę, ciemne okulary, farbę do włosów. Ostatni rzut oka w lustro. I przystępuje do pracy.

8

Stoi przed rozkładem jazdy, z walizką przy nogach, przebiega wzrokiem stacje docelowe, godziny odjazdu, numery peronów, próbując odgadnąć, dokąd los ją zanieśie. Wybór tego

kierunku, a nie tamtego i wszystko może się zmienić. Pierwsza rzecz: unikać szybkobieżnych pociągów, w których jest się zamkniętym. Znaleźć jakieś duże miasto, będzie mogła się bez trudu wtopić.

Kupić bilet do stacji końcowej, ale wysiąść wcześniej na wypadek, gdyby pracownik w okienku ją zapamiętał. Zabiera plik ulotek informacyjnych i przy okrągłym stoliku w barze szybkiej obsługi kreśli trasę, która po sześciu przesiadkach może ją zaprowadzić z Paryża do Grenoble. Podróż potrwa długo, a ona będzie miała czas odpocząć.

Automaty biletowe są dosłownie obłożone. Przechodzi powolnym krokiem przed kasami. Chce sama wybrać. Kobiety, mające opinię bardziej spostrzegawczych, odpadają. I nie młody mężczyzna, z uwagi na ryzyko, że mogłaby wpaść mu w oko i by ją zapamiętał.

Znajduje wreszcie odpowiedniego sprzedawcę i staje na końcu kolejki. W tym systemie osoba oczekująca podchodzi do pierwszego wolnego okienka.

Będzie musiała dyskretnie tak manewrować, żeby trafić do tego, które sobie upatrzyła.

Zdejmuje ciemne okulary. Powinna zrobić to już wcześniej, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Teraz o takich rzeczach trzeba będzie pamiętać.

Ogonek jest długi, ale jej kolej nadchodzi wcześniej, niż jej pasuje, przesuwając się więc dyskretnie, udając, że nie widzi wciskającej się przed nią cwaniaczki, i w końcu staje przed tym okienkiem, gdzie chciała. Nad zbrodniarzami musi chyba czuć jakiś bóg. Udając, że szuka czegoś w torebce, starając się mówić mocnym głosem, prosi o bilet do Grenoble na osiemnastą trzydzieści.

- Sprawdzę, czy są jeszcze miejsca - odpowiada kasjer i od razu zaczyna stukać w klawiaturę.

Nie pomyślała o tym. Nie może zmienić stacji docelowej ani zrezygnować z kupna biletu, ów drobny fakt mógłby zapaść w pamięć urzędnikowi, który wpatruje się teraz w ekran, czekając na odpowiedź z centralnego terminalu. Sophie nie wie, co robić, waha się, może lepiej natychmiast odwrócić się, odejść i

pojechać na inny dworzec, wybrać inny kierunek.

- Przykro mi - mówi kasjer, podnosząc na nią wzrok po raz pierwszy - wszystko już sprzedane.

Stuka w klawiaturę.

- Są jeszcze miejsca w pociągu o dwudziestej czterdzieści pięć...

- Nie, dziękuję...

Powiedziała to za szybko. Próbuje się uśmiechnąć.

- Zastanowię się...

Czuje, że źle to wypadło. Zabrzmiało mało wiarygodnie, nie to powiedziała by w takiej sytuacji zwykła pasażerka, lecz nic innego nie przyszło jej do głowy. Musi się zmywać. Z tyłu stoi już następny klient, nie ma czasu do stracenia, łapie torebkę, odwraca się i odchodzi.

Będzie musiała znaleźć teraz inne okienko, obrać inny kierunek, ale także inną strategię, inaczej poprosić o bilet, w taki sposób, żeby nie musiała się zastanawiać. Paraliżuje ją jednak myśl, że kasjer mógł ją zapamiętać. I w tym momencie w hali dworca dostrzega logo firmy Hertz. O tej porze jej nazwisko zostało już ujawnione, podane do publicznej wiadomości. Ale nie nazwisko Veronique Fabre. Może zapłacić gotówką, czekiem. A samochód oznacza natychmiastową autonomię, swobodę ruchu - myśl o tym przeważa. Popycha szklane drzwi i wchodzi do środka.

Dwadzieścia minut później podejrzliwy pracownik agencji Hertza każe jej obejrzeć granatowego forda fiestę celem stwierdzenia znakomitego stanu pojazdu, co Sophie kwituje ochoczym uśmiechem. Miała czas się zastanowić; pierwszy raz od wielu godzin czuje, że wstąpiły w nią siły. Wszyscy bez wątpienia spodziewają się, że jak najszybciej opuści Paryż. W chwili obecnej jej strategia bazuje na dwóch decyzjach: żeby dzisiejszą noc spędzić w jakimś hotelu na przedmieściach i żeby jutro kupić tablice rejestracyjne oraz narzędzia potrzebne do zamiany tablic.

Wjeżdżając na paryskie przedmieście, czuje lekki powiew wolności.

„Żyję”, mówi sobie.

I do oczu napływają jej łzy.

„Le Matin”

z trzynastego lutego 2003 roku, godzina czternasta zero osiem.

Gdzie podziewa się Sophie Duguet?

Zgodnym zdaniem ekspertów oraz innych informatorów Sophie Duguet miała zostać aresztowana nie później niż w ciągu najbliższych dwóch tygodni.

Tymczasem minęło już z górą osiem miesięcy od chwili, kiedy najbardziej poszukiwana kobieta Francji zniknęła.

Policja sądowa oraz Ministerstwo Sprawiedliwości we wciąż nowych komunikatach, deklaracjach oraz na kolejnych konferencjach prasowych nie przestają przerzucać na siebie odpowiedzialności za ten stan.

Przypomnijmy fakty.

Dwudziestego ósmego maja ubiegłego roku, tuż przed dwunastą w południe, sprzątaczką państwa Gervais odkrywa ciało małego Leo. Dziecko uduszono we własnym łóżku parą sznurowadel ze sportowych butów.

Momentalnie zostaje ogłoszony stan pogotowia. Podejrzenia bardzo szybko skupiają się na osobie jego niańki, Sophie Duguet z domu Auverney, lat dwadzieścia osiem, która opiekowała się dzieckiem i która zniknęła. Wstępne ustalenia okazują się wysoce obciążające dla młodej kobiety: drzwi wejściowe nie zostały sforsowane, pani Gervais, matka chłopca, zostawiła Sophie Duguet w mieszkaniu o godzinie dziewiątej, sądząc, że synek jeszcze śpi... Autopsja wykazała, że o tej porze dziecko dawno już nie żyło, prawdopodobnie uduszone nocą w czasie snu.

Policja sądowa liczyła na szybkie aresztowanie, tym szybsze, że zbrodnia ta wywołała nieopisane oburzenie w

społeczeństwie. Do jej upowszechnienia w mediach przyczynił się zapewne w dużej mierze fakt, że zamordowane dziecko było synem bliskiego współpracownika ministra spraw zagranicznych. Jak pamiętamy, skrajna prawica reprezentowana przez Pascala Marianiego oraz kilka stowarzyszeń, z czego niektóre rzekomo rozwiązane, korzystając z okazji, znów zaczęła domagać się przywrócenia kary śmierci za „zbrodnię popełnioną ze szczególnym okrucieństwem”, zyskując hałaśliwe poparcie deputowanego prawicy Bernarda Straussa.

Zdaniem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych kobieta nie miała \$tam długo się ukrywać. Szybka reakcja policji bez wątpienia uniemożliwiła Sophie Duguet opuszczenie terytorium Francji. Powiadomione zostały lotniska i dworce. „Nieliczne ucieczki udają się wyłącznie dzięki doświadczeniu oraz intensywnym przygotowaniom”, zapewniał z przekonaniem komisarz Bertrand z policji sądowej. Tymczasem młoda kobieta dysponowała bardzo ograniczonymi środkami finansowymi i nie miała związków z osobami mogącymi dostarczyć jej skutecznej pomocy, z wyjątkiem swojego ojca, Patricka Auverneya, emerytowanego architekta, którego natychmiast objęto nadzorem policyjnym.

Zdaniem Ministerstwa Sprawiedliwości aresztowanie jej było kwestią „kilku dni”. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych podało ryzykowny termin „ośmiu do dziesięciu dni”. Policja, bardziej ostrożna, mówiła o „co najwyżej kilku tygodniach...”. Wyszło z tego ponad osiem miesięcy.

Co się stało? Nikt tego dokładnie nie wie. Ale fakt pozostaje faktem: Sophie Duguet dosłownie rozplynęła się w powietrzu. Ze zdumiewająco zimną krwią opuściła mieszkanie, w którym znajdowały się zwłoki małego Leo.

Pojechała do siebie, żeby zabrać dokumenty i ubrania, następnie udała się do banku, gdzie podjęła niemal wszystko ze swojego konta. Sygnalizowano jeszcze jej

obecność na Gare de Lyon, po czym wszelki ślad po niej się urywa.

Prowadzący dochodzenie są pewni, że ani morderstwo dziecka, ani ucieczka nie zostały wcześniej zaplanowane. Co budzi uzasadnione obawy, że podejrzana posiada niezwykle umiejętności improwizacji.

W tej sprawie niemal wszystko pozostaje zagadką. Nieznane są na przykład prawdziwe motywy działania młodej kobiety. Śledczy co najwyżej zwracają uwagę na fakt, że z pewnością bardzo mocno przyżyła dwie kolejne żaloby: śmierć matki, doktor Catherine Auverney, z którą była bardzo związana, zmarłej w lutym 2000 roku na raka z przerzutami, a następnie śmierć męża, Vincenta Dugueta, inżyniera chemika, lat trzydzieści jeden, który, sparaliżowany w wyniku wypadku samochodowego, w 2001 roku popełnił samobójstwo. Ojciec młodej kobiety - i jak się wydaje, jedyne jej oparcie - odnosi się sceptycznie do tych hipotez, lecz odmawia kontaktów z prasą.

Sprawa bardzo szybko stała się dla władz prawdziwą łamigłówką.

Trzydziestego maja, czyli dwa dni po śmierci małego Leo, w paryskim mieszkaniu Veronique Fabre, trzydziestodwuletniej tłumaczki, odkryto zwłoki tej ostatniej. Znalazł je przyjaciel zmarłej Jacques Brusset. Młoda kobieta otrzymała kilka ciosów nożem w brzuch. Niebawem autopsja wykazała, że zbrodnia została popełniona w dniu zniknięcia Sophie Duguet, prawdopodobnie wczesnym popołudniem. Pobrana zaś na miejscu zbrodni próbka DNA potwierdza ponad wszelką wątpliwość obecność Sophie Duguet w mieszkaniu ofiary. Ponadto młoda kobieta legitymująca się dokumentami skradzionymi z mieszkania Veronique Fabre wypożyczyła w agencji Hertza samochód. W tej sytuacji oczy wszystkich zwracają się ku młodej uciekinierce.

Tymczasowy bilans: Po zaledwie dwóch dniach od momentu podjęcia ucieczki na młodej kobiecie ciąży już podejrzenie o dwa morderstwa.

Poszukiwania nabierają jeszcze większej intensywności, lecz pozostają bezskuteczne...

Poszukiwanie świadków, nadzór we wszystkich miejscach, gdzie mogłaby znaleźć schronienie, postawienie w stan gotowości licznych „informatorów” - to wszystko jak na razie nie przynosi rezultatów. Powstaje nawet pytanie, czy Sophie Duguet nie udało się jednak mimo wszystko opuścić Francji... Władze sądowe i policyjne przerzucają dyskretnie, acz bez przekonania, jedni na drugich odpowiedzialność za ten stan: nie wydaje się bowiem, by chwilowe powodzenie ucieczki podejrzanej wynikało z błędów popełnionych przez którąś ze stron. Przyczyną jest raczej zaciekle determinacja młodej kobiety, gruntownie przemyślany plan działania (odwrotnie niż utrzymuje policja) oraz wyjątkowy dar improwizacji. Prefektura zaprzecza, jakoby odwołała się do pomocy specjalisty do działań kryzysowych...

Sidla są zastawione, słyszymy zapewnienia ze wszystkich stron. Pozostaje tylko czekać. Trzymajmy więc kciuki w nadziei, że najnowsze wieści o Sophie Duguet nie okażą się zawiadomieniem o kolejnym morderstwie...Ado prognoz należy się odnosić co najmniej z rezerwą. Wahają się one bowiem pomiędzy jutro, pojutrze i - nigdy.

Sophie idzie automatycznym krokiem, nie poruszając biodrami. Sunie przed siebie sztywno jak mechaniczna zabawka. Po długiej chwili marszu rytm jej serca powoli zwalnia. Wtedy przystaje, po czym znowu rusza tym samym mechanicznym krokiem.

W ostatnim czasie bardzo schudła. Jada niewiele i byle co. Dużo pali, źle sypia. Rano gwałtownie budzi się z pustką w głowie, natychmiast siada na łóżku, ociera z twarzy łzy i zapala pierwszego papierosa. Sytuacja wygląda tak już od dłuższego czasu. I tak samo jak w inne dni wyglądał ten poranek

jedenastego marca. Sophie wynajmuje umeblowane mieszkanie w dzielnicy na peryferiach. Nie wniosła do niego żadnego akcentu osobistego. Taka jak zawsze spłóciała tapeta na ścianach, taka jak zawsze zużyta wykładzina, taka jak zawsze sfatygowana kanapa. Zaraz po wstaniu z łóżka nastawia telewizor, przedpotopowy odbiornik, w którym obraz na wszystkich kanałach jest zamazany. Czy go ogląda, czy nie (w rzeczywistości spędza przed ekranem całe godziny), telewizor jest włączony. Nabrała nawet zwyczaju, że wychodząc, wycisza tylko dźwięk. A że często wraca bardzo późno, na ulicy już z daleka widzi okno swojego mieszkania rozjaśnione błękitnym, drgającym światłem.

Pierwszą jej czynnością po wejściu do mieszkania jest podkręcenie dźwięku.

Nieraz też zostawiała na noc odbiornik włączony, licząc, że w czasie snu jej świadomość stopi się z odgłosem programów, dzięki czemu uniknie nocnych koszmarów. Próżna nadzieja. W każdym razie budzi się z wrażeniem bliżej nieokreślonej obecności; wczesnym rankiem jest to prognoza pogody, potem - kiedy po dwóch godzinach snu znów zaczyna walczyć z bezsennością - telezakupy, przed którymi potrafi tkwić całymi godzinami, i w południe dziennik.

Koło godziny czternastej Sophie wyłącza dźwięk i opuszcza mieszkanie.

Schodzi na dół, zapala papierosa, otwiera bramę wejściową i to stało się już nawykiem - wkłada ręce do kieszeni, by ukryć ich nieustanne drżenie.

- Ruszysz tyłek czy mam ci pomóc kopem?

Godziny szczytu. W fastfoodzie ruch jak w ulu, przy ladzie stoją w kolejce całe rodziny, salę wypełniają kuchenne wyziewy, kelnerki biegają, klienci zostawiają na stolikach tace - jeśli to część dla palących, z niedopałkami rozgniecionymi na plastikowych tackach - i przewrócone kubki po napojach, niektóre leżą nawet pod stolikami. Sophie łapie za szmatę do podłogi. Klienci z tacami przestępują ją, nad jej plecami grupa

licealistów nieludzko hałasuje.

- Nie przejmuj się tym grubym kretyńcem - mówi przechodząca obok Jeanne.

Jeanne, chuda dziewczyna o lekko kancistej twarzy, jest jedyną osobą, z którą Sophie udało się zakolegować. Natomiast gruby kretyń wcale nie jest gruby. Może mieć ze trzydzieści lat. Wysoki, ciemne włosy i ciemna karnacja, wieczorny bywalec siłowni, pod krawatem niczym szef działu w wielkim supermarkecie - przejawia szczególną wrażliwość w trzech kwestiach: godzin pracy, płac i tyłków kelnerek. W godzinach największego ruchu „prowadzi swoją ekipę” twardą ręką legionisty, a popołudniami obmacuje co cierpliwsze dziewczyny, kiedy inne zdążyły już dopaść drzwi wyjściowych. Wszystko układa się po jego myśli. Cały personel wie, że robi swe interesy pod przykrywką firmy, że higiena jest w tym lokalu pojęciem czysto dekoracyjnym, oraz zna powód, dla którego tak gorąco kocha swoją pracę: rok w rok inkasuje dwadzieścia tysięcy euro na czarno i przelatuje tuzin kelnerek gotowych na wszystko, byle zdobyć lub utrzymać zajęcie urągające wszelkim normom socjalnym. Przecierając szmatą podłogę, Sophie widzi, że właśnie na nią patrzy.

A właściwie nie tyle patrzy, ile ocenia z miną faceta, który jeśli zechce, będzie mógł ją sobie zafundować. Jego spojrzenie dość dobrze odzwierciedla jego uczucia. Traktuje swoje „dziewczyny” jak rzeczy. Sophie nie przerywa pracy, w duchu mówiąc sobie, że czas najwyższy rozejrzeć się za czymś innym, gdzie indziej.

To już sześć tygodni, jak tutaj pracuje. Przyjął ją od razu, z miejsca proponując praktyczne rozwiązanie jej stałego problemu.

- Chcesz kwit czy forszę?

- Forszę - powiedziała Sophie. Zapytał jeszcze:

- Jak masz na imię?

- Juliette.

- Niech będzie Juliette.

Zacząła już następnego dnia, bez umowy, opłacana w gotówce: sama nigdy nie wybiera godzin pracy, przerwy

wyznaczają jej zupełnie od czapy, tak że najczęściej nie ma nawet czasu wpaść do domu, dostaje wieczorne zmiany częściej niż inne dziewczyny i wraca do domu późną nocą. Udaje pokrzywdzoną, choć w rzeczywistości to ją urządza. Znalazła mieszkanie w dzielnicy z dala od centrum, graniczącej z bulwarem, który wraz z zapadnięciem zmroku obejmują w posiadanie prostytutki. W dzielnicy nikt jej nie zna, opuszczają wcześniej rano, a wraca w porze, kiedy sąsiedzi tkwią przed telewizorami albo już śpią. W te dni, kiedy kończy zmianę zbyt późno, żeby złapać ostatni autobus, funduje sobie taksówkę. Wykorzystuje przerwy na to, żeby się rozeznać w terenie, poszukać innego mieszkania, innej pracy, gdzie nikt jej o nic nie będzie pytał. Tak wygląda jej strategia od samego początku: osiada gdzieś i od razu zaczyna rozglądać się za inną pracą, innym pokojem... Pamięta, żeby nie zostawać nigdy zbyt długo w jednym miejscu. Żeby krążyć.

Początkowo poruszanie się bez papierów wydawało jej się dość proste, jakkolwiek męczące. Zawsze sypiała bardzo krótko, starała się zmieniać trasę co najmniej dwa razy w tygodniu. Odrosły jej włosy, dzięki czemu mogła zmienić fryzurę. Kupiła okulary z bezbarwnymi szklami udającymi optyczne. Na każdym kroku zachowuje czujność. Regularnie zmienia miejsca pobytu; zdążyła już zaliczyć cztery miasta. Obecne nie jest wcale najgorsze z tych, w których dotąd mieszkała. Natomiast praca jest najgorsza.

Najtrudniej jest w poniedziałek: trzy przerwy nierównej długości i zmiana trwająca do szesnastu godzin. Idąc koło godziny jedenastej aleją, postanowiła na kilka minut („Nigdy dłużej niż dziesięć”) usiąść na tarasie i wypić kawę. Ze stojaka przy wejściu wzięła bezpłatny dziennik pełen krzykliwych reklam i zapaliła papierosa. Niebo zaczynało się chmurzyć. Pijąc kawę i zastanawiając się nad najbliższymi tygodniami („Zawsze i niezmiennie antycypować”), z roztargnieniem przrzuciła gazetę. Całe strony reklam telefonów komórkowych, niezliczone ogłoszenia o sprzedaży używanych

samochodów... I nagle zatrzymała się, odstawiła filiżankę, zgasiła papierosa, nerwowo zapaliła następnego. Zamknęła oczy. „Nie, to byłoby zbyt piękne, Sophie, dobrze się zastanów”.

Zastanawia się, ale... To skomplikowane, ale być może znalazła sposób na wybrnięcie z sytuacji, na rozwiązanie definitywne, bezsprzecznie kosztowne, lecz więcej niż pewne.

Ostatnia przeszkoda, i to niebagatelna, a potem wszystko może się zmienić.

Przez dłuższą chwilę rozważa owo rozwiązanie. Umysł ma tak rozgorączkowany, że myśli nawet o zrobieniu notatek. Ale odrzuca pokusę.

Postanawia dać sobie kilka dni do namysłu, a potem, jeśli rozwiązanie nadal będzie wydawało jej się dobre, przystąpi do działania.

To jej pierwsze odstępstwo od reguły: siedzi dłużej niż kwadrans w jednym miejscu.

Sophie nie może zasnąć. W czterech ścianach swojego mieszkania może zaryzykować i zrobić notatki, żeby uzyskać bardziej klarowny obraz. Wszystkie zebrane elementy mieszczą się w pięciu linijkach. Zapala nowego papierosa, jeszcze raz czyta notatki, a potem je pali w zsypie na śmieci. Teraz wszystko zależy od dwóch spraw: czy znajdzie właściwą osobę i czy wystarczy jej pieniędzy. Gdziekolwiek przyjeżdża, pierwszą jej czynnością jest umieszczenie w przechowalni na dworcu walizki ze wszystkim, czego potrzebowałyby w razie ucieczki. Oprócz ubrań i utensyliów niezbędnych do zmiany wyglądu (farba do włosów, okulary, kosmetyki do makijażu itp.) w jej bagażu znajduje się jedenaście tysięcy euro. Ale ile może kosztować akurat to, nie ma zielonego pojęcia. Jeśli jej nie wystarczy?

Czy taki domek z kart się nie zawali? To szaleństwo, musiałoby się spełnić zbyt wiele warunków. Po namyśle stwierdza, że na każdą trudność natury technicznej

odpowiedziała: „powinno się udać”, ale kumulacja wszystkich tych przeszkód, każdej z osobna uznanej za drugorzędną, czyni jej projekt kompletnie nierealnym.

Nauczyła się nie ufać samej sobie. To być może wychodzi jej najlepiej.

Bierze głęboki oddech, sięga po papierosa i widzi, że paczka jest pusta. Budzik wskazuje siódmą trzydzieści. Pracę zaczyna dopiero o jedenastej.

Koło dwudziestej trzeciej opuszcza restaurację. Po południu padało, ale wieczór jest piękny i rześki. O tej porze, przy odrobinie szczęścia... Idzie w dół bulwaru, głęboko oddycha, po raz ostatni zadaje sobie pytanie, czy naprawdę nie ma innego sposobu, jednocześnie dobrze wiedząc, że rozważyła już wszystkie, nieliczne, możliwe rozwiązania. I nie znalazła lepszego niż to. Teraz wszystko będzie się opierać na jej intuicji. Intuicja, łatwo powiedzieć...

Samochody powoli suną jezdnią, zatrzymują się, mężczyźni pytają o stawki i oceniają towar. Niektóre auta, dojechawszy do końca bulwaru, zawracają. Początkowo, gdy późno kończyła pracę, niechętnie wybierała tę trasę, ale inaczej musiałyby za bardzo nadkładać drogi, a poza tym zorientowała się, że w gruncie rzeczy nawet jej się to podoba: ograniczywszy do minimum kontakty ze światem zewnętrznym, zauważyła, że w pewien sposób podnosi ją na duchu odpowiadanie na niezobowiązujące pozdrowienia owych kobiet, które być może, podobnie jak ona, również zastanawiają się, czy Sophie ma szansę wyjść któregoś dnia na prostą.

Trotuar oświetlają nieliczne latarnie. Pierwszy odcinek to bulwar AIDS.

Młodziutkie, nerwowo krążące dziewczyny wyglądają tak, jakby wciąż nie mogły doczekać się następnej działki. Są wystarczająco ładne, by zaczepiać klientów w świetle. Dalej inne czatują w półmroku. A jeszcze dalej, pogrążony w całkowitych niemal ciemnościach, znajduje się kwartał transwestytów, których umalowane twarze o sinych policzkach

od czasu do czasu wyłaniają się z mroku jak karnawałowe maski.

Sophie mieszka jeszcze dalej, w części spokojniejszej, a zarazem bardziej ponurej. Kobieta, o której pomyślała, tkwi na posterunku. Pięćdziesiąt lat, tleniona blondynka, wyższa od Sophie, z obfitym biustem, przyciągającym do niej pewien rodzaj klienteli. Wymieniają spojrzenia; Sophie zatrzymuje się przed kobietą.

- Bardzo przepraszam... Potrzebuję pewnej informacji.

Słyszy swój głos brzmiący czysto i wyraźnie. Jest zaskoczona własną pewnością siebie.

I nim kobieta ma czas odpowiedzieć, szybko dodaje: ' - Chętnie zapłacę.

- I pokazuje ukryty w dłoni banknot pięćdziesiąt euro.

Kobieta przez krótką chwilę uważnie na nią patrzy, potem rozgląda się wkoło, niezobowiązująco uśmiecha i zachrypniętym głosem nałogowej palaczki odpowiada:

- Zależy jakiej informacji.

- Potrzebny mi dokument...

- Jaki dokument?

- Wyciąg z aktu urodzenia. Nazwisko bez znaczenia, ważna jest dla mnie data. To znaczy... rok. Może pani wie, do kogo mogłabym się zwrócić...

W scenariuszu idealnym Sophie spotkałaby się ze współczuciem, wręcz zrozumieniem, ale to tylko romantyczne mrzonki. W grę wchodził wyłącznie interes.

- Potrzebuję tego... na rozsądnych warunkach... Proszę tylko o adres, o nazwisko...

- Nie tak się to załatwia.

I nim Sophie zdążyła w jakikolwiek sposób zareagować, kobieta odwraca się na pięcie. Sophie tkwi w miejscu, niepewna co dalej. Ale tamta odwraca się i rzuca:

- Przyjdź w przyszłym tygodniu, popytam tu i tam.

I wyciąga rękę; patrząc Sophie w oczy, czeka. Sophie waha się, sięga do torebki, wyjmując drugi banknot, który natychmiast znika w dłoni tamtej.

Teraz, kiedy zdecydowała się już na określoną strategię i ponieważ nie przychodzi jej do głowy żadne lepsze rozwiązanie, nie czekając na efekt swojego pierwszego posunięcia, wykonuje następny ruch. To zapewne cicha chęć przyspieszenia biegu wydarzeń. Nazajutrz ma przerwę w połowie popołudnia, więc wyrusza na rekonesans. Wybiera cel oddalony zarówno od swojej pracy, jak i mieszkania, na drugim końcu miasta.

Wysiada z autobusu na Bulwarze Faidherbe'a i przez dłuższą chwilę maszeruje, posiłkując się planem, żeby nie musieć pytać o drogę. Z pełną świadomością mija agencję, nie spiesząc się, tak by zdążyć rzucić okiem do środka, ale jedyne, co udaje jej się zobaczyć, to puste biurko, segregatory i kilka plakatów na ścianach. Następnie przechodzi przez ulicę, zawraca i wstępuje do kawiarni, skąd ma możliwość przyglądania się fasadzie naprzeciwko bez obawy, że ktoś ją zauważy. Obserwacja wnosi równie mało jak wcześniejszy rzut oka do środka; to dokładnie ten rodzaj miejsca, w którym nie ma nic do oglądania, ten rodzaj agencji, która dba o swój bezosobowy wizerunek, żeby nie odstraszać klientów. Kilka minut później Sophie płaci za kawę, zdecydowanym krokiem przechodzi przez ulicę i otwiera drzwi.

Pomieszczenie jest nadal puste, ale brzęczyk przy drzwiach wejściowych wkrótce sprowadza kobietę na oko czterdziestoletnią, obwieszoną biżuterią, o dziwnie rudym kolorze włosów, która wyciąga do Sophie rękę, jakby się znały od kołyski.

- Myriam Desclees - przedstawia się.

Nazwisko sprawia wrażenie równie sztucznego jak kolor jej włosów.

Sophie przedstawia się jako Catherine Gual, co jak na ironię brzmi bardziej autentycznie.

Szefowa agencji wyraźnie uważa się za znawczynię psychologii. Kładzie łokcie na biurku, na splecionych dłoniach opiera podbródek i wpatruje się w Sophie z uśmiechem ni to pełnym zrozumienia, ni to bolesciwym, mającym dowodzić częstego obcowania z ludzką niedolą. Nieistotne, że dla

zarobku.

- Doskwiera nam samotność, czyż nie? - mamrocze łagodnym tonem.

- Trochę... - rzuca ostrożnie Sophie.

- Niech mi pani o sobie opowie...

Sophie szybko powtarza w duchu krótki, żmudnie przygotowany życiorys, którego wszystkie elementy zostały gruntownie przemyślane i rozważone.

- Mam na imię Catherine, skończyłam trzydzieści lat... - zaczyna.

Rozmowa równie dobrze mogłaby trwać dwie godziny. Sophie wyczuwa, że szefowa ucieka się do wszelkich sztuczek, w tym najgrubszymi nićmi szytych, by przekonać ją, że rozumie, iż Sophie znalazła wreszcie, tak jej potrzebne, uważne i doświadczone ucho, jednym słowem, by ją upewnić, że znajduje się w dobrych rękach, w dobrych rękach uniwersalnej matki o wrażliwej duszy, która wszystko łapie w pół słowa i wyraża to mimiką raz oznaczającą: „Więcej nie trzeba, wszystko zrozumiałam”, innym razem:

„Dobrze wyczuwam pani problem”.

Sophie ma mało czasu, więc pyta, starając się, by wypadło to jak najbardziej nieporadnie, o informacje pod hasłem „w jaki sposób to wszystko przebiega”, dodając, że niedługo musi wracać do pracy.

W tego typu sytuacjach rozpoczyna się zawsze wyścig z czasem. Jedno chce wyjść, drugie chce je zatrzymać. Jest to ostra walka, w której występują wszystkie, przebiegające w przyspieszonym tempie, fazy prawdziwej małej wojny: natarcia, uniki, ponowne rozwinięcie frontu, zastraszenie, pozorowany odwrót, zmiana strategii...

Wreszcie Sophie ma już dosyć. Wie wszystko, czego chciała się dowiedzieć: cena, poziom klienteli, formuła spotkań, gwarancja. Ze skrepowaniem, lecz przekonująco mamrocze: „Zastanowię się” i wychodzi.

Zrobiła wszystko co w jej mocy, by zaledwie nie pobudzić wyobraźni właścicielki agencji. Kieruje się na przystanek autobusu. Bez zająknięcia powtórzyła swoje fałszywe nazwisko,

podawała fałszywy adres i fałszywy numer telefonu. Wie, że już tu nie wróci, zyskała jednak potwierdzenie tego, na co liczyła: jeśli wszystko dobrze pójdzie, wkrótce zdobędzie nową i w pełni wiarygodną tożsamość.

Zostanie wybielona jak brudne pieniądze.

Za sprawą aktu urodzenia wydanego na fałszywe nazwisko, ale jak najbardziej legalnego. Wtedy pozostanie jej już tylko zdobyć męża, który ofiaruje jej nowe nazwisko, nieposzlakowane i poza wszelkim podejrzeniem...

I nikt jej już nigdy nie znajdzie.

Sophie złodziejka, Sophie morderczyni zniknie, żegnaj, Szalona Sophie.

Wydostanie się z czarnej dziury. Witaj, Czysta Sophie.

11

Sophie przeczytała niewiele kryminałów, ale miała wyobrażenie o ich scenerii: zaplecze jakiejś kafejki w szemranej dzielnicy, pełne dymu papierosów i antypatycznych mężczyzn, którzy rzną w pokera. Tymczasem wylądowała w wielkim mieszkaniu o białych ścianach, z ogromnym wykuszowym oknem, z którego rozciąga się rozległy widok na miasto, przed obliczem czterdziestoletniego mężczyzny, wprawdzie nie rozplywającego się w uśmiechach, lecz ewidentnie kulturalnego.

Samo miejsce jest karykaturą wszystkiego, czego Sophie nie cierpi: szklane biurko, dizajnerskie krzesła, abstrakcyjny obraz na ścianie...

Mężczyzna siedzi za biurkiem. Sophie stoi. Sprowadziła ją tutaj, o tej wybitnie niedogodnej dla niej porze, kartka znaleziona w skrzynce na listy.

Zwykła kartka zawierająca adres i godzinę, i nic ponadto. Musiała wyjść z pracy; ma niewiele czasu.

- A więc potrzebny jest pani wyciąg z aktu urodzenia... - patrząc na nią, mówi mężczyzna.

- Nie dla mnie... to dla...

- Proszę się nie wysilać, to bez znaczenia...

Sophie skupia wzrok na mężczyźnie, starając się zapamiętać jego rysy.

Raczej bliżej pięćdziesiątki niż czterdziestki, i to jest wszystko, co można o nim powiedzieć. Mężczyzna jakich wielu.

- Cieszymy się na tym rynku znakomitą reputacją - ciągnie mężczyzna. -

Nasz sekret tkwi w produktach najwyższej jakości.

Głos łagodny i zdecydowany. Napawający uczuciem, że trafiło się w niezawodne ręce.

- Dostanie pani od nas dobrą, rzetelną tożsamość. Rzecz jasna nie będzie pani mogła posługiwać się nią w nieskończoność, ale na pewien rozsądny okres gwarantujemy jakość bez zarzutu.

- Ile? - pyta Sophie.

- Piętnaście tysięcy euro.

- Tyle nie mam! - woła Sophie.

Mężczyzna jest typem negocjatora. Przez chwilę się zastanawia, po czym tonem ucinającym dalszą dyskusję oświadcza:

- Dwanaście tysięcy to nasza cena ostateczna.

To więcej, niż Sophie posiada. I nawet jeśli zdobędzie brakującą sumę, zostanie zupełnie bez grosza. Czuje się tak, jakby stała w płonącym domu przed otwartym oknem. Skoczyć czy nie. Drugiej szansy nie będzie. Patrzy w oczy rozmówcy, próbując ocenić swoją pozycję przetargową. Mężczyzna siedzi z kamienną twarzą.

- Co trzeba zrobić? - pyta w końcu Sophie.

- To bardzo proste... - odpowiada mężczyzna.

W fastfoodzie trwa godzina szczytu, kiedy Sophie z dwudziestominutowym spóźnieniem pojawia się w pracy. Od razu po swoim pospiesznym wejściu zauważa Jeanne, która mimiką wskazuje drugi koniec lady. Sophie nie ma nawet czasu się przebrać.

- Żarty sobie ze mnie robisz? - naciera na nią kierownik. Żeby

nie zwracać uwagi klientów, podszedł do niej bardzo blisko, jakby chciał ją uderzyć. Zionie piwem. Przez zaciśnięte zęby cedzi:

- Jeszcze jeden taki numer i na kopach wylatujesz z pracy! Reszta dnia była już tylko zwykłym piekłem - szmaty, tace, rozmazany keczup, smród frytury, krążenie po płytkach podłogi lepkiej od rozlanej cocacoli, przepełnione kubły na śmieci - i siedem godzin później Sophie zorientowała się, że zupełnie nieobecna duchem nie zauważyła, że dwadzieścia minut temu skończyła już zmianę. Nie żałuje, że niechcący pracowała dłużej, cały czas zastanawia się nad tym, co dalej. Mimo wszechobecnego zgiełku nie przestawała myśleć o niedawnym spotkaniu oraz wyznaczonym przez mężczyznę terminie płatności.

Natychmiast lub nigdy. Opracowany przez nią plan jest wykonalny. To już tylko kwestia zręczności i pieniędzy. Co do zręczności, to po wizycie w agencji już wie, że sobie poradzi. Co do pieniędzy - trochę jej brakuje. Niedużo. Niecały tysiąc.

Idzie do szatni, odwiesza bluzę, zmienia obuwie i spogląda w lustro. Ma poszarzałą cerę ludzi pracujących nocą. Na twarz opadają jej brudne kosmyki włosów. W dzieciństwie nieraz zdarzało jej się wpatrywać w lustro, prosto we własne oczy, a wtedy po chwili ogarniał ją jakiś hipnotyczny zawrót głowy i musiała przytrzymać się umywalki, żeby zachować równowagę. Było to jak zanurkowanie w nieznaną, drzemiacą w nas część naszego jestestwa. Teraz też wpatruje się przez chwilę w swoje źrenice, ale nim udaje jej się bez reszty zatonać we własnym spojrzeniu, słyszy za plecami głos kierownika.

- Nieźle...

Odwraca się. Facet stoi w drzwiach, wsparty o framugę. Sophie odsuwa kosmyk włosów z czoła, patrzy mu prosto w twarz i bez namysłu oznajmia:

- Potrzebuję zaliczki.

Uśmiech. Trudny do opisania uśmiech, wyrażający wszystkie, włącznie z tymi najbardziej mrocznymi, zwycięstwa mężczyzny.

- Co ty powiesz...!

Sophie opiera się o umywalkę i zakłada rękę.

- Tysiąc.

- Ach tak, tysiąc, ni mniej, ni więcej...

- Tyle mi się należy.

- Należać to ci się będzie pod koniec miesiąca. Nie możesz zaczekać?

- Nie, nie mogę.

- Aaa...

Przez dłuższą chwilę stoją tak twarzą w twarz i właśnie w oczach tego mężczyzny Sophie znajduje to, czego przed chwilą szukała w lustrze, ogarnia ją ten swoisty zawrót głowy, ale już bez całej intymnej otoczki. Zwykły zawrót głowy, budzący jedynie mdłości.

- Więc jak? - pyta Sophie, żeby skończyć temat.

- Zobaczymy... zobaczymy...

Mężczyzna tarasuje wyjście i nagle Sophie znów widzi siebie stojącą przy drzwiach wyjściowych w banku kilka miesięcy wcześniej. Nieprzyjemne uczucie déjà vu. Z pewną jednak różnicą...

Rusza ku wyjściu, ale mężczyzna łapie ją za nadgarstek.

- Myślę, że da się to zrobić - mówi, akcentując każdą sylabę - Zajrzyj do mnie jutro wieczorem, jak skończysz zmianę.

Po czym, przykładając dłoń Sophie do swojego krocza, dodaje:

- Zobaczymy, co da się zrobić.

I to jest ta różnica. Gra jest otwarta, to już nie próba uwiedzenia, tylko potwierdzenie przewagi, konkretna umowa między dwiema osobami, z których każda może dać drugiej to, na czym jej zależy. Całkiem proste. Sophie jest wręcz zdziwiona. Od dwudziestu godzin jest na nogach, od dziewięciu dni nie miała wolnego dnia, niewiele sypia, żeby uniknąć koszmarów, jest wykończona, wyczerpana, chce już z tym skończyć, ostatkiem energii realizuje swój plan, musi z tym skończyć, obojętnie za jaką cenę; i tak kosztować ją to będzie mniej niż życie, które teraz prowadzi, które ją doszczętnie wyniszcza.

Bez namysłu otwiera więc dłoń i przez materiał spodni

ujmuje jego sztywny członek. Patrzy mężczyźnie prosto w oczy, ale go nie widzi. Po prostu trzyma go za fiuta. Zwykła transakcja.

Wsiadając do autobusu, stwierdza, żeby gdyby musiała zrobić mu laskę tam w szatni, tak z marszu, zrobiłaby to. Bez wahania. Myśli o tym, nie czując żadnych emocji. Zwykle stwierdzenie faktu, nic więcej.

Przez całą noc siedzi w oknie, paląc papierosy. W oddali na bulwarze widzi światła latarni i wyobraża sobie prostytutki w mroku pod drzewami, klęczące przed mężczyznami, którzy przytrzymują im głowy, spoglądając w niebo.

Drogą dziwnego skojarzenia przypomina jej się scena z supermarketu. Na blaszanym stole strażnicy wyłożyli artykuły wyjęte z jej torby, których jednak wcale nie kupiła. Sophie stara się odpowiadać na ich pytania. Jedyne, na czym jej zależy, to żeby Vincent o niczym się nie dowiedział.

Jeśli Vincent dowie się, że postradała rozum, każe ją zamknąć w domu wariatów.

Kiedyś, dawno temu, w rozmowie z przyjaciółmi tak właśnie powiedział: że „gdyby miał taką żonę”, kazałby ją zamknąć w domu wariatów. Powiedział

to ze śmiechem, w żartach, ale Sophie na zawsze zapamiętała jego słowa. Wtedy ogarnął ją strach. Możliwe, że za bardzo już pomieszało jej się w głowie, żeby spojrzeć na sprawę z dystansem, sprowadzić tę zwykłą wypowiedź do rangi anegdoty. Przez długie miesiące myślała: jeśli Vincent zobaczy, że tracę rozum, każe mnie zamknąć w domu wariatów...

O szóstej rano wstaje z krzesła, bierze prysznic i na godzinę przed wyjściem do pracy kładzie się na łóżku. Wpatruje się nieruchomym wzrokiem w sufit i cicho płacze.

Czuje się jak w narkozie. Coś zmuszają do działania, ma wrażenie, że tkwi skulona w głębi swojej cielesnej powłoki jak w koniu trojańskim. Koń porusza się bez jej udziału, sam wie, co należy zrobić. Ona, przyciskając z całej siły dłonie do uszu, może tylko czekać.

Tego ranka Jeanne raczej nie jest w humorze, a widok Sophie już do reszty ją dobija.

- Co ci jest? - pyta.

- Nic, a dlaczego?

- Wyglądasz jak...

- Tak - odpowiada Sophie, idąc do szatni po służbową bluzę - kiepsko dziś spałam.

To dziwne, ale nie czuje się senna ani zmęczona. Możliwe, że dopadnie ją to później. Od razu zabiera się do mycia podłogi w głębi sali.

Mechaniczne ruchy. Zanurzasz ścierkę w wodzie, nie myślisz. Wyciskasz ją, rozciągasz na podłodze. Kiedy ścierka jest już całkiem zimna, zamaczasz ją znowu w wodzie i znowu zaczynasz przeciągać po podłodze. Nie myślisz.

Opróżniasz popielniczki, szybko je przecierasz, odstawiasz na miejsce. Za chwilę podejdzie Jeanne i powie: „Ale ty dziś wyglądasz...”. Lecz ty nie odpowiesz. Tak naprawdę nie usłyszałaś. Skwitujesz jej słowa gestem mogącym znaczyć wszystko i nic. Nie odzywasz się. Jesteś bez reszty skupiona na ucieczce, koniecznej. Będą napływały do ciebie obrazy, twarze, i następne obrazy, będziesz je odpędzała jak muchy, odsuwając kosmyk włosów wciąż opadający ci na twarz, ilekroć się pochylisz. Automatycznie. Potem przejdiesz do kuchni, w smród frytury. Wokół ciebie ktoś krąży. Podnosisz wzrok: kierownik. Kontynuujesz pracę. Machinalnie. Wiesz, na czym ci zależy: żeby odejść. Jak najszybciej. W tym celu robisz to, co trzeba. W tym celu zrobisz wszystko, co trzeba. Więc pracujesz. Nie myśląc. Jak lunatyczka. Krzątasz się, czekasz. Niedługo odejdiesz. To absolutnie konieczne, musisz odejść.

Godziny szczytu kończą się koło dwudziestej trzeciej. O tej porze wszyscy są padnięci i kierownik musi się mocno

natrudzić, żeby poderwać swoje stadko do ostatniego wysiłku, tak żeby wszystko było gotowe na następny dzień. Wtedy jest wszędzie, w kuchni, w salach, pokrzykuje: „Szybciej, nie będziemy tu siedzieć całą noc...!” lub „Ruszysz wreszcie tyłek, do cholery?”.

Dzięki czemu koło dwudziestej trzeciej trzydzieści wszystko jest już zrobione.

Doświadczony menedżer, ot co.

Potem wszyscy bardzo szybko wychodzą. Zawsze znajdzie się kilku, którzy przed budynkiem, zanim się rozejdą, palą jeszcze papierosa czy wymieniają zdawkowe uwagi. Potem kierownik robi ostatni obchód, zamyka drzwi i włącza alarm.

Wszyscy już poszli. Sophie patrzy na zegarek i stwierdza, że może nie zdążyć na czas: o pierwszej trzydzieści ma spotkanie. Idzie do szatni, odwiesza fartuch, zamyka szafkę, przechodzi przez kuchnię. Dalej jest korytarz prowadzący do wyjścia na ulicę na tyłach restauracji, a po prawej stronie drzwi do biura. Puka do drzwi i nie czekając, wchodzi.

To mała klitka o betonowych ścianach pociągniętych zwykłą białą farbą, umeblowana przypadkowymi sprzętami, z metalowym biurkiem zawalonym papierami, rachunkami, z telefonem i kalkulatorem. Z tyłu powyżej biurka znajduje się okrągłe, dość brudne okienko wychodzące na dziedziniec na zapleczu restauracji. Kierownik siedzi przy biurku, rozmawia przez telefon. Na widok Sophie uśmiecha się i, nie przerywając rozmowy, daje znak, żeby usiadła.

Sophie nie korzysta z zaproszenia, stoi oparta o drzwi.

Kierownik rzuca: „Do szybkiego...” i odkłada słuchawkę. Wstaje i podchodzi do Sophie.

- Przyszłaś po zaliczkę? - pyta niskim głosem. - Ile to ma być?

- Tysiąc.

- Chyba da się zrobić... - mówi, ujmując jej prawą dłoń i przykładając ją znowu do rozporka.

I faktycznie, robi się... Jak? Teraz Sophie już nie bardzo pamięta.

Mężczyzna rzucił coś w rodzaju: „Zrozumieliśmy się, co?”. Sophie kiwa głową na znak, że tak, że się zrozumieli. W

rzeczywistości naprawdę nie słuchała, czuła lekki zawrót głowy, coś, co pochodziło głęboko z jej wnętrza, lecz głowę pozostawiało zupełnie pustą. Równie dobrze mogłaby, tak jak stoi, całym swoim ciężarem paść na ziemię i zniknąć, roztopić się, zemdleć. Mężczyzna chyba położył dłonie na jej ramionach, dość mocno je nacisnął i Sophie poczuła, że osuwa się przed nim na kolana, ale jak było naprawdę, też już nie pamięta.

Potem wepchnął jej swój sterczący członek w usta. Nie pamięta już, co robiła z rękami. Ale nie, rękami nie poruszała, cała sprowadzała się do ust zamkniętych na fiucie kierownika. Co robiła? Nic, sama nic nie robiła, pozwalała tylko, żeby przez dłuższą chwilę wsuwał go i wysuwał z jej ust. Dłuższą chwilę? Może nie.

Tak trudno określić czas... Który w końcu zawsze mija. Tak, to pamięta, w pewnej chwili zdenerwował się. Pewnie dlatego, że była nie dość aktywna, wpakował jej nagle fiuta aż po samo gardło, a ona cofnęła głowę i uderzyła nią o drzwi. Chyba złapał ją za głowę, tak, na pewno, bo ruchy jego bioder stały się krótsze, szybsze. Tak, i jeszcze jedno, rzucił z irytacją: „Ściskaj, do cholery!”.

Więc Sophie zrobiła, co kazał. Tak, mocniej zacisnęła wargi. Zamknęła oczy, nie bardzo to wszystko pamięta. A potem? Potem nic, prawie nic. Jego fiut na moment znieruchomiał, facet chrapliwie sapnął, poczuła w ustach jego spermę, gęstą, gryzącą, o silnym smaku chloru, po prostu przyjęła ją w swoje usta, otarła ręką oczy i to wszystko. Odczekała chwilę, i kiedy facet się wycofał, splunęła na ziemię, raz, drugi; widząc to, warknął: „Dziwka!”, tak właśnie powiedział, a Sophie, podpierając się ręką o betonową podłogę, jeszcze raz splunęła. A potem... co potem? Stał przed nią ze wściekłą miną. Sophie wciąż tkwiła w tej samej pozycji, bolały ją kolana, z wielkim trudem podniosła się z kłeczek.

Dopiero kiedy już stanęła na nogach, dotarło do niej, że jest niższy, niż sądziła.

Mozolił się z wepchnięciem członka z powrotem do spodni, wyginał biodra, wydawało się, że nie bardzo sobie z tym radzi. Potem odwrócił się, podszedł do biurka, po czym wetknął jej do

ręki banknoty. Ze wzrokiem utkwionym w tym, co Sophie wypłuła na podłogę, rzucił: „A teraz spadaj...”. Sophie otworzyła drzwi, ruszyła korytarzem, chyba do szatni, nie, poszła do łazienki, chciała opłukać usta, ale nie zdążyła, tylko odwróciła się, zrobiła trzy kroki, pochyliła się nad muszlą i zwymiotowała. Tego jest pewna. Zwymiotowała wszystko.

Brzuch tak ją bolał, źródło mdłości leżało tak głęboko w jej trzewiach, że musiała uklęknąć i oprzeć się obiema rękami o białą emalię. W jednej dłoni nadal trzymała pogniecione banknoty. Jej grzbietem otarła zwisające z ust strużki śliny. Nie miała nawet siły, żeby pociągnąć za spłuczkę, i pomieszczenie wypełniał nieznośny odór wymiotów. Z czołem na zimnej emalii muszli starała się dojść do siebie. Wydaje jej się, że potem wstała, ale czy naprawdę wstała, tego też nie wie, nie, najpierw wyciągnęła się w szatni na drewnianej ławce, służącej do zmiany obuwia. Przyłożyła dłoń do czoła, jakby broniąc się przez natłokiem myśli. Jedną rękę trzyma na czole, drugą obejmuje kark. Potem, przytrzymując się szafki, wstaje. Ta prosta czynność wymaga niewyobrażalnej siły. Kręci jej się w głowie, przez dłuższą chwilę z zamkniętymi oczami próbuje odzyskać równowagę i w końcu zawrót głowy mija. Powoli wraca do siebie.

Potem otwiera szafkę, sięga po swoją kurtkę, nie wkłada jej jednak, tylko zarzuca na ramię. Drugą ręką grzebie w torebce; nie jest to łatwe, więc kładzie torebkę na podłodze i dalej szuka. W końcu znajduje jakiś pognieciony świstek, sprawdza: rachunek z supermarketu, stary. Szuka dalej i wyciąga długopis.

Gryzmoli nim na papierze, żeby się rozpisal, kreśli kilka słów i wciska kartkę między drzwi i framugę szafki. Co potem? Skręca w lewo, nie, w prawo, o tej porze wychodzi się przez tylne drzwi. Jak w bankach. W korytarzu jeszcze się świeci. To kierownik zamknie lokal. Sophie mija biuro, kładzie dłoń na metalowej klamce tylnych drzwi i zaczyna je otwierać. Przez moment czuje na twarzy powiew rześkiego nocnego powietrza, ale nie wychodzi. Nie, odwraca się i spogląda w korytarz. Nie chce, żeby to się tak skończyło. Więc wraca tą samą drogą, którą przyszła, z kurtką wciąż przewieszoną przez ramię. Staje

przed drzwiami biura. Czuje w sobie spokój. Przerzuca kurtkę na drugie ramię i powoli otwiera drzwi.

Następnego dnia rano Jeanne znalazła karteczkę wsuniętą w drzwi jej szafki. „Do zobaczenia w innym życiu. Całuję”. Liścik nie był podpisany.

Jeanne schowała go do kieszeni. W tym momencie reszta personelu znajdowała się na sali, stalowe żaluzje pozostały spuszczone. W głębi korytarza krzątała się brygada śledcza. Policjanci spisali dane wszystkich obecnych i od razu zaczęli pierwsze przesłuchania.

13

Jest niesamowicie ciepło. Godzina dwudziesta trzecia. Sophie, choć pada ze zmęczenia, nie może zasnąć. Gdzieś z niedaleka dobiegają ją odgłosy zabawy. Elektryczna muzyka. Elektryzująca noc. Mimowolnie wyłapuje tytuły niektórych piosenek. Kawałki z lat siedemdziesiątych. Nigdy nie lubiła tańczyć.

Czuła się niezręcznie. Od czasu do czasu tylko trochę rocka, a i to zawsze wykonując te same ruchy.

Podrywa ją huk: zaczynają się sztuczne ognie. Wstaje z łóżka.

Rozmyśla o dokumentach, które wkrótce kupi. To jest ROZWIĄZANIE. Niezrównane.

Otwiera szeroko okno, zapala papierosa i obserwuje fajerwerki na niebie.

Pali spokojnie. Nie płacze.

Mój Boże, w co ona najlepszego się wdała...

14

Miejsce wygląda równie bezosobowo jak poprzednim razem. Dostawca patrzy na wchodzącą Sophie. Oboje stoją. Sophie sięga do torebki po grubą kopertę, wyjmując z niej plik banknotów i już zamierza je przeliczyć.

- To nie będzie potrzebne...

Sophie podnosi wzrok. I natychmiast orientuje się, że coś jest nie tak.

- Widzi pani, nasza praca podlega prawom rynku... Mężczyzna mówi to spokojnie, nie ruszając się z miejsca.

- Prawo popytu i podaży jest stare jak świat. Nasze stawki wyznaczamy nie w oparciu o realną wartość naszych produktów, lecz w oparciu o wartość, jaką przedstawiają dla naszych klientów.

Sophie czuje nagły uścisk w gardle. Przełyka ślinę.

- A od naszego pierwszego spotkania - ciągnie mężczyzna - sytuacja się nieco zmieniła... pani Duguet.

Pod Sophie uginają się nogi, pokój zaczyna wirować, na moment opiera się o kant biurka.

- Może wolałaby pani usiąść...

Sophie nie tyle siada, ile opada na krzesło.

- Pan... - zaczyna, lecz jej słowa więzną w pół drogi.

- Bez obaw, nic pani nie grozi. Ale musimy wiedzieć, z kim mamy do czynienia. Zawsze to sprawdzamy. Co w pani przypadku nie było łatwe. Jest pani osobą świetnie zorganizowaną, pani Duguet, policji co nieco o tym już wiadomo. My jednak znamy się na naszej robocie. Wiemy już, kim pani jest, ale zapewniam, że pani tożsamość pozostanie całkowitą tajemnicą. Nasza reputacja nie może doznać najmniejszego uszczerbku.

Sophie nieco już do siebie doszła, lecz słowa docierają do niej bardzo powoli, jakby musiały przebijać się przez grubą warstwę mgły. W końcu udaje jej się wykrztusić:

- A to oznacza, że...? Urywa.

- A to oznacza, że cena jest już inna.

- Ile?

- Dwa razy tyle.

Mina Sophie musi odzwierciedlać jej panikę.

- Przykro mi - mówi mężczyzna. - Może szklanek wody?

Sophie nie odpowiada. To koniec.

- Nie mogę... - mówi jakby sama do siebie.

- Jestem pewny, że tak. Wykazała pani zdumiewającą

umiejętność odbicia się od dna. Inaczej by tu pani nie było. Jeśli pani sobie życzy, damy pani tydzień. Po tym terminie...

- Ale jaką mam gwarancję...

- Niestety żadnej, pani Duguet. Oprócz mojego słowa. Ale ono, niech mi pani wierzy, warte jest wszelkich rękojmi razem wziętych.

Pan Auverney jest roslym mężczyzną, typem człowieka, o którym mówi się, że „nieźle się jeszcze trzyma”, co oznacza, że starzeje się, lecz starzeje się dobrze. Tak zimą, jak latem nosi kapelusz. Dzisiaj jest on płócienny, w kolorze złamanej bieli. Ponieważ na pocztce jest dość gorąco, trzyma go w ręku. Kiedy urzędnik daje mu znak, podchodzi do okienka, kładzie kapelusz na kontuarze i wręcza mu awizo. Wyciągnął też już dowód osobisty. Od kiedy Sophie się ukrywa, nie ogląda się nigdy za siebie, ponieważ wie, że był śledzony. Możliwe, że nadal jest. Nie będąc tego pewny, po wyjściu z poczty wstępuje od razu do sąsiedniego bistro, zamawia kawę i pyta o toaletę. Wiadomość jest krótka: „zielonamyszka@msn.fr”. Pan Auverney, od prawie dwudziestu lat niepalący, wyjmuje zapalniczkę, którą przezornie zabrał. Pali wiadomość w misce klozetowej. Po czym spokojnie wypija kawę. Z łokciami na ladzie, z podbródkiem na splecionych dłoniach, siedzi w pozycji człowieka, któremu nigdzie się nie spieszy. A tak naprawdę dlatego, żeby ukryć drżenie rąk.

Dwa dni później pan Auverney przyjechał do Bordeaux. Wchodzi do starej, zabytkowej kamienicy z bramą ciężką jak brama więzienia. Zna dobrze to miejsce, kilka lat temu nadzorował prace przy jej renowacji. Odbył tę podróż specjalnie po to, żeby wejść i wyjść. Jakby był kotem w zabawie w kotka i w myszkę. A przyjechał tutaj dlatego, że kiedy wejdzie się kamienicy pod numerem dwadzieścia osiem na rue d'Estienned'Orves, po długim kluczeniu labiryntem piwnic wychodzi się przez budynek na zaułek Maliveau. Kiedy pan

Auverney tam dociera, uliczka jest pusta. Widoczne nieco dalej pomalowane na zielono drzwi prowadzą na dziedziniec, dziedziniec prowadzi do toalety Balto, a z Balto wyjście prowadzi na Bulwar Marianiego.

Pan Auverney spokojnym krokiem wędruje bulwarem, dochodzi do postoju taksówek i każe się zawieźć na dworzec.

Sophie gasi ostatniego papierosa z paczki. Od rana niebo jest zachmurzone. I wieje wiatr. Bezczynny o tej porze dnia kelner krąży wokół

drzwi, w pobliżu stolika Sophie, która zamówiła kawę.

- To wiatr z zachodu... Nie będzie padać.

Sophie kwituje jego słowa niezobowiązującym uśmiechem. Nie podejmować rozmowy, ale też nie zwracać na siebie uwagi. Obrzuciwszy ostatnim spojrzeniem niebo, które zdaje się potwierdzać jego prognozę, kelner wraca za ladę. Sophie śledzi czas na zegarku. Przez tych wiele miesięcy, od kiedy się ukrywa, nauczyła się samokontroli. Wstanie od stolika o czternastej dwadzieścia pięć. Ani minuty wcześniej. Droga na piechotę zajmie jej dokładnie pięć minut. Nie czytając, przerzuca kobiecy magazyn. Horoskop dla Skorpiona.

Czy jesteś trendy1? Playlista Brit. Jak sprawić, żeby dla ciebie oszalał? Stracić od razu pięć kilogramów - to wykonalne!

Nareszcie. Czternasta dwadzieścia pięć. Sophie kładzie na stoliku drobne i wstaje.

Wiatr może i wieje z zachodu, ale jest przeraźliwie zimny. Podnosi kołnierz kurtki i przechodzi na drugą stronę bulwaru. O tej porze dworzec autobusowy jest prawie pusty. Sophie boi się tylko jednego: że ojciec nie okaże się tak zdyscyplinowany jak ona. Że tam jeszcze będzie. Że będzie chciał ją zobaczyć. Z ulgą stwierdza, że zastosował się do jej instrukcji co do joty. Wśród nielicznych klientów przy bufecie Sophie nie dostrzega żadnej znajomej twarzy.

Jeszcze musi przejść przez salę, pokonać jedną kondygnację

schodów w dół i wreszcie z wielką ulgą wyciąga zza zbiornika ze splecioną brązową kopertę.

Kiedy wychodzi z powrotem na ulicę, na chodnik spadają pierwsze krople deszczu. Zachodni wiatr...

Kierowca taksówki spokojnie czeka.

- Skoro licznik bije... - powiedział.

Stoi już w tym miejscu od blisko kwadransa, jego pasażer zaś z roztargnieniem wygląda przez okno. Powiedział: „Czekam na kogoś”. Właśnie przetarł ręką zaparowaną szybę. To mężczyzna mający swoje lata, ale nadal w formie. Młoda kobieta, która czekała na czerwonych światłach, szybkim krokiem przechodzi teraz przez jezdnię, podnosząc kołnierz bluzy, bo zaczyna padać. W pewnym momencie odwraca głowę w stronę taksówki, lecz nie zwalnia kroku i znika.

- Trudno... Nie będziemy czekać cały dzień. Proszę mnie odwieźć do hotelu - z westchnieniem mówi pasażer.

Jego głos brzmi dziwnie.

15

Mariannę Leblanc. Przyzwyczać się będzie dla Sophie prawdziwym wyczynem. Nie wie czemu, ale nienawidzi tego imienia. Pewnie przykre wspomnienie po jakiejś szkolnej koleżance. Lecz to nie ona je wybrała.

Otrzymała je: Mariannę Leblanc i data urodzenia różniącą się od jej daty urodzenia o osiemnaście miesięcy. To akurat nie problem, tak naprawdę trudno określić jej wiek - równie dobrze można jej dać trzydzieści, co trzydzieści osiem lat. Wyciąg z aktu urodzenia nosi datę dwudziestego trzeciego października.

„Jest ważny tylko trzy miesiące. Ale da to pani czas na dalsze ruchy”, powiedział dostawca.

Pamięta, jak tamtej nocy położył przed nią metrykę, a potem przeliczył pieniądze. Na jego twarzy nie znać było nawet

satysfakcji kupca, który ubił dobry interes. To profesjonalista. Człowiek zimny. Sophie nie bardzo już pamięta, ale chyba nie odezwała się ani słowem. Potem widzi tylko następną scenę, swój powrót do mieszkania, otwarte szafy, otwartą walizkę i siebie, jak wrzuca do niej wszystko jak leci, jak odgarnia złośliwy kosmyk z czoła, jak robi jej się niedobrze, jak stoi w drzwiach kuchni. Potem błyskawicznie bierze zimny, prawie lodowaty prysznic. Ubierając się, ledwie żywa ze zmęczenia, oszołomiona, szybko robi obchód mieszkania, sprawdza, czy nie zapomniała czegoś ważnego, patrzy, ale jest jak niewidoma. I już zbiega po schodach. Noc jest łagodna i jasna.

16

W ciągu ostatnich piętnastu miesięcy Sophie nauczyła się wyszukiwać wynajmowane na czarno mieszkania, podejrzane sublokatorskie pokoje, prace na czarno i legalne zajęcia, robić wszystkie te gówniane kombinacje, które umożliwiają jej wtopienie się w nowe miasto. W tym, w którym wylądowała teraz, przejrzała oferty pracy, systematycznie szukając najmniej atrakcyjnych, takich, gdzie nikt nie będzie od niej wymagał referencji. Dwa dni później dołączyła do ekipy sprzątającej biura, składającej się z kobiet afrykańskich i arabskich, kierowanej żelazną ręką przez sadystycznoopiekunczą Alzatkę. Płacę otrzymuje się co dwa tygodnie, w gotówce. W agencji Vit'Net' panuje przekonanie, że limit pracowników legalnych zostaje osiągnięty, jeśli połowa ekipy jest zatrudniona oficjalnie. Sophie należy do tych, które nie są. Wyłącznie dla formy, modląc się, żeby nie spełniono jej żądań, udaje, że jej to nie odpowiada.

O dwudziestej drugiej Sophie wychodzi na ulicę. Zabierają wóz, który dowozi każdą z ekip na zmianę albo do firmy ubezpieczeniowej, albo do informatycznej.

„Dzień” pracy kończy się z wybiciem godziny szóstej rano. Lekki posiłek w środku nocy spożywają w wozie, w połowie drogi między obiema firmami.

Pierwszy października zbliża się wielkimi krokami. Ma już tylko dwa i pół miesiąca, by wprowadzić w życie swój plan, i jest absolutnie konieczne, żeby jej się to udało. Z początkiem miesiąca zaczęła umawiać się na pierwsze spotkania. Zapisala się tylko do jednej agencji. Potem okaże się, czy nie będzie musiała zgłosić się do kilku innych, ale nawet jedna agencja to już coś. Z biura kierownika fastfoodu podprowadziła tysiąc czterysta euro, akurat tyle, by mieć z czego opłacić wstępne poszukiwania.

Tożsamość Marianne Leblanc została jej zagwarantowana na „rozsądny okres”, a więc nie na długo. Toteż przyświeca jej tylko jedno hasło: wziąć pierwszego, jaki się trafi. Ale co z tego, że znajduje się w krytycznym położeniu, że ciągle się trzęsie ze strachu, że chudnie w oczach i sypia po trzy godziny na dobę; już na pierwszym spotkaniu zorientowała się, że z tym „pierwszym” przesadziła. Opracowała własną checklistę: mężczyzna bezdzietny, kryształowe życie, a co do reszty - przyzwyczajai się. W agencji udawała, że nie ma sprecyzowanych oczekiwań dotyczących przyszłego wybranka. Podkreśliła tylko niemądrze: „zwykły mężczyzna”, „spokojne życie”.

Rene Bahorel, lat czterdzieści cztery, mężczyzna zwykły i spokojny.

Umówili się w restauracji. Od razu go rozpoznała: pucołowaty rolnik, nieznośnie cuchnący potem. Dokładnie taki, jak jego głos przez telefon.

Jowialny.

- Jestem z Lembach - oznajmia na wstępie ze znaczącą miną.

Minie dwadzieścia minut, nim Sophie zorientuje się, iż deklaracja ta oznacza właściciela winnicy w jakiejś zapadłej dziurze na głębokiej prowincji.

Sophie zapala papierosa. Rolnik natychmiast kładzie palec

na paczce.

- Od razu to powiem: przy mnie trzeba będzie rzucić... Uśmiecha się szeroko, wyraźnie dumny, że w tak subtelny, jak uważa, sposób zademonstrował swój autorytet. Jest gadatliwy, jak często ludzie żyjący samotnie. Sophie nie musi nic robić; słucha tylko i spokojnie mu się przygląda. Myślami jest daleko.

Naprawdę musi zmykać. Wyobraża sobie pierwsze ustępstwa fizyczne wobec tego człowieka i od razu czuje, że musi znowu zapalić. Ten zaś opowiada o sobie, o swoim gospodarstwie, na palcu serdecznym nigdy nie nosił obrączki, a jeśli, to bardzo dawno temu. Możliwe, że to kwestia temperatury w restauracji, głośnego gwaru dobiegającego od stolików, przy których klienci zaczynają zamawiać gorące dania; Sophie czuje niewyraźną, powoli narastającą falę mdłości.

-...Fakt, że dostajemy dotacje, ale mimo wszystko... A pani? Pytanie padło nagle.

- Co ja?

- No, jak pani uważa? Interesuje to panią?

- Właściwie nie za bardzo...

Sophie powiedziała to, bo obojętnie jak brzmi pytanie, jest to zawsze dobra odpowiedź. Rene bąknął: „Aha”. Ale należy on do ludzi, którzy spadają zawsze na cztery łapy. Jego zasób słów jest mocno ograniczony, jednak pewne hasła powtarzają się z niepokojącą częstotliwością. Sophie stara się rozszyfrować jego wypowiedzi.

- Mieszka pan z matką...

Rene potwierdza, jakby uważał, że doda jej tym otuchy. Mamusia ma osiemdziesiąt cztery lata i wciąż jest „żywa jak wróbelek”. To dość przerażające. Sophie wyobraża sobie, jak leży pod tym człowiekiem, a po korytarzu snuje się duch staruszki, słyszy szuranie jej bamboszy, czuje wyziewy kuchni... Przez krótką chwilę znów widzi matkę Vincenta stojącą twarzą do niej, plecami do schodów; Sophie kładzie jej ręce na ramionach i popycha z taką siłą, że ciało starej kobiety zdaje się frunąć w powietrze, stopami nie dotykając nawet pierwszych stopni, jak trafione kulą z fuzji prosto w pierś...

- Spotkał się pan już z wieloma kobietami, Rene? -

nachylając się ku niemu, pyta Sophie.

- Pani jest pierwsza - odpowiada takim tonem, jakby obwieszczał zwycięstwo.

- Więc niech się pan nie spieszy...

Schowała metrykę urodzenia do przezroczystej plastikowej koszulki. Boi się ją zgubić, jak tyle innych rzeczy niemal równie ważnych, boi się ją stracić.

Co wieczór, wychodząc z mieszkania, bierze koszulkę i głośno mówi:

- Otwieram drzwi szafy...

Zamyka oczy, wizualizuje ten ruch, swoją rękę, szafę i powtarza:

„Otworzyłam drzwi szafy...”.

- Otwieram prawą szufladę, otworzyłam prawą szufladę...

I tak opisuje na głos każdą czynność, w ogromnym skupieniu starając się powiązać słowa z gestami. Po powrocie, zanim się jeszcze rozbierze, podbiega od razu do szafy i sprawdza, czy przezroczysta koszulka wciąż leży na miejscu.

I przed schowaniem jej z powrotem wiesza ją na chwilę na drzwiach lodówki.

Czy byłaby zdolna uśmiercić pewnego dnia tego nieznanego męża, którego usiłuje znaleźć? Nie. Kiedy będzie wreszcie bezpieczna, odwiedzi jakiegoś innego doktora Breveta. Będzie miała dwa zeszyty, w razie potrzeby trzy, zacznie znów wszystko notować i tym razem nic już jej nie przeszkodzi.

To takie dziecinne postanowienie: jeśli się uratuje, nigdy więcej nie dopuści, żeby ogarnął ją obłęd.

Po pięciu kolejnych spotkaniach Sophie tkwi wciąż w tym samym miejscu. Teoretycznie powinno się jej przedstawiać kandydatów odpowiadających jej oczekiwaniom, ale w sytuacji ciągłego niedoboru mężczyzn dyrektorka agencji Odyssee - tak jak ci agenci nieruchomości, którym udaje się namówić klientów do oglądania domów niemających nic wspólnego z

tym, czego szukają - proponuje jej absolutnie wszystko, czym dysponuje.

Najpierw był starszy sierżant, kompletny matoł, potem znerwicowany kreślarz, o którym po trzech godzinach niemrawej rozmowy dowiedziała się, że jest rozwodnikiem z dwójką dzieci, a fatalnie wynegocjowane alimenty pochłaniają dwie trzecie jego dochodów bezrobotnego.

Wyszła z herbaciarni ledwie żywa ze znużenia po dwóch długich godzinach wysłuchiwania słowotoku byłego duchownego, na którego palcu serdecznym widać było ślad po zapewne godzinę wcześniej zdjętej obrączce; prawdopodobnie chciał wprowadzić trochę urozmaicenia w swoje nieciekawe życie małżeńskie. A potem jeszcze ten wysoki facet, bezpośredni i pewny siebie, który za sześć tysięcy euro zaproponował jej białe małżeństwo.

Wtedy czas zaczął płynąć coraz szybciej. Na próżno Sophie powtarza sobie, że nie szuka męża, tylko rekrutuje kandydata; nie zmienia to faktu, że będzie musiała wziąć z nim ślub, sypiać z nim, dzielić z nim życie. Za kilka tygodni, za kilka dni nie będzie już miała nawet problemu z wyborem; pozostanie jej wziąć tego, który się trafi.

Czasu jest coraz mniej, jej szanse też maleją, a ona wciąż nie może się zdecydować.

Sophie jedzie autobusem. Wpatruje się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Musi działać szybko. Co zrobić, żeby działać szybko? Patrzy na zegarek; czasu wystarczy jej zaledwie na powrót do domu i przespanie się przez dwie, trzy godziny. Jest wykończona. Chowa ręce w kieszeniach. Dziwne jest to drżenie, dopadają tylko w niektórych momentach. Spogląda przez okno autobusu. Madagaskar. Odwraca głowę i przez chwilę patrzy na plakat, który zwrócił jej uwagę. Biuro podróży. Nie jest pewna, czy dobrze robi. Ale wstaje, naciska guzik i niecierpliwie czeka na najbliższy przystanek. Ma wrażenie, że

przejechała całe kilometry, nim autobus się w końcu zatrzymał. Rusza w górę bulwaru zwykłym teraz dla niej krokiem mechanicznej zabawki. Ostatecznie nie było aż tak daleko. Afisz przedstawia młodą czarnoskórą kobietę o naiwnym, uroczym uśmiechu, w nakryciu głowy przypominającym turban, w zawoju, którego nazwę spotyka się zapewne w krzyżówkach. W tle za kobietą rozciąga się bajeczna plaża. Sophie przechodzi przez ulicę i odwraca się, żeby spojrzeć na plakat jeszcze raz, z odległości. Żeby się zastanović.

- Tak jest - powiedział sierżant. - Wie pani, ja tam nie bardzo to lubię, żaden ze mnie wielki podróżnik, ale ma się pewne możliwości. Mój kumpel, sierżant jak ja, wkrótce jedzie na Madagaskar. Rozumiem go, jego żona jest stamtąd. A zresztą, aż trudno uwierzyć, niektórzy i bez tego chętnie opuściliby metropolię! I bez tego...

I bez tego...

Przez całą drogę o tym myślała. Przed powrotem do mieszkania wchodzi do budki telefonicznej i szuka czegoś w torebce.

- Cóż, wiem - powiedział wtedy sierżant z nieśmiałą miną - głupio wyszło, to znaczy mam na myśli, że nie wiadomo, jak to rozegrać... Ale nie wypada mi prosić pani o numer telefonu, więc proszę, oto mój. Prywatny. Nigdy nie wiadomo...

Pod koniec ich rozmowy wojskowy nie wyglądał już tak chwacko jak na początku. Miał minę znacznie mniej zdobywcą.

- Przecież czuję, że nie jestem w pani guście... Pani... Pani jest potrzebny ktoś w typie bardziej intelektualnym.

I uśmiechnęła się niepewnie.

- Halo?

- Dobry wieczór - mówi Sophie. - Tu Mariannę Leblanc. Nie przeszkadzam panu?

W rzeczywistości starszy sierżant wcale nie jest taki znów niski. Jest wręcz o pół głowy wyższy od Sophie, lecz cała jego postawa tchnie nieśmiałością, która zdaje się mu odejmować wzrostu. Kiedy Sophie wchodzi do kawiarni, niezgrabnie wstaje od stolika. Sophie patrzy teraz na niego nowym wzrokiem, ale jakimkolwiek wzrokiem by patrzyła, może powiedzieć o nim tylko jedno: facet jest brzydki. Próbuje się pocieszyć: „Raczej nijaki”, ale jej wewnętrzny głos prostuje: „Nie, brzydki”.

- Czego się pani napije?

- Nie wiem... może kawy? A pan?

- To samo... kawy.

Przez chwilę z zakłopotaniem się do siebie uśmiechają.

- Cieszę się, że pani zadzwoniła... Zawsze pani tak dygocze?

- Jestem dość nerwowa.

- To normalne. Ja też, to znaczy... Nie bardzo wiadomo, co powiedzieć, nie?

- Być może nie mamy sobie nic do powiedzenia! I od razu żałuję tych słów.

- Przepraszam...

- Sprzeciw! Ja...

- Błagam, niech pan nie powtarza co chwila „sprzeciw”, „tak jest”... To po prostu nieznośne.

Powiedziała to zbyt ostro.

- Czuję się, jakbym rozmawiała z komputerem - dodaje tonem usprawiedliwienia.

- Ma pani rację. To skrzywienie zawodowe. Ale pani też w swoim zawodzie musi mieć jakieś nawyki, nie?

- Ja jestem sprzątaczką, więc nawyki mam takie jak wszyscy. To znaczy wszyscy, którzy sami sprzątają...

- To dziwne, poprzednim razem tego nie mówiłem, ale nikt by nie powiedział, że jest pani sprzątaczką. Wygląda pani na osobę bardziej wykształconą niż...

- No więc... Studiowałam, ale to już bez znaczenia. Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli porozmawiamy o tym kiedy indziej?

- Och, nie, mnie tam nic nie przeszkadza, bo widzi pani, jestem raczej łatwy we współzyciu...

Ta opinia wygłoszona z rozbijającą szczerością wywołała u Sophie cichą refleksję, że być może trudno o coś bardziej męczącego niż ludzie łatwi we współżyciu.

- W porządku - powiedziała - więc zacznijmy wszystko od początku, co pan na to?

- Ale wciąż jesteśmy na początku!

Być może nie jest taki głupi, na jakiego wygląda.

W głowie Sophie kielkuje cichutka myśl: „Czemu nie”. Na razie główną zaletą sierżanta jest fakt, że może zostać oddelegowany poza metropolię. I to właśnie musi szybko sprawdzić.

Sophie zaproponowała spotkanie wczesnym wieczorem. Siedzą tu już od godziny. Sierżant waży każdą zgłoskę, nie chcąc wypowiedzieć słowa, które nieodwracalnie zatopiłoby kruchą tratwę, na jakiej żeglują po obcych wodach.

- Cóż, to może coś zjemy? - proponuje Sophie.

- Wedle życzenia...

Od pierwszej minuty tak to wygląda: facet jest mięczakiem, występuje z pozycji starającego się, będzie chciał tego samego co Sophie. Trochę jej wstyd z powodu swoich planów wobec niego. Ale wie też, co mu w zamian ofiaruje. Nie uważa, żeby był stratny. Jemu chodzi o kobietę. Każda będzie dobra. Kobieta.

Nawet Sophie będzie dobra.

Kiedy wyszli z kawiarni, skręciła na prawo. Sierżant, o nic nie pytając, nie przerywając uprzejmej paplaniny, posłusznie kroczył u jej boku.

Nieszkodliwy. Pozwoli się zaprowadzić tam, gdzie będzie chciała Sophie. To wszystko przyprawia ją o niesmak.

- Dokąd chce pan pójść? - pyta.

- Nie wiem... Do Relais?

Sophie jest pewna, że już wczoraj wszystko zaplanował.

- A co to takiego?

- Restauracja. Piwiarnia... Byłem tam tylko raz. Ale jest niezła. To znaczy... nie wiem, czy się pani spodoba...

Sophie zdobywa się na uśmiech.

- Zobaczymy...

I rzeczywiście, restauracja jest niezła. Sophie obawiała się, że okaże się lokalem dla wojskowych, ale nie odważyła się zapytać.

- Bardzo przyjemna - mówi.

- Prawdę mówiąc, obmyśliłem to wcześniej. Dziś rano nawet się przeszedłem, żeby namierzyć miejsce... Bo za dobrze nie pamiętałem...

- Tak naprawdę nigdy pan tu nie był, prawda?

- Sprze... Czuję, że panią niełatwo będzie okłamać - stwierdził sierżant z uśmiechem.

Sophie patrząc, jak przegląda kartę (i obserwując, czy jego wzrok nie zatrzyma się zbyt długo na cenach), zastanawia się, czy facet taki jak on zdoła wyjść bez szwanku z tego, co mu gotuje. Ale niech każdy martwi się o własną skórę. On chce kobiety, więc musi zaakceptować, że być może przyjdzie mu drogo za nią zapłacić. W gruncie rzeczy takie jest prawdziwe małżeństwo.

- Ma pan w zwyczaju okłamywać kobiety? - pyta Sophie, żeby podtrzymać rozmowę.

- Myślę, że jak wszyscy mężczyźni. Ale nie bardziej. Chyba nawet mniej.

To znaczy przypuszczam, że mieszczę się w średniej.

- Więc w czym mnie pan okłamał podczas pierwszego spotkania?

Sophie zapala papierosa. Przypomina sobie, że on nie pali. Ma to w nosie.

Najważniejsze, żeby jej nie zabraniał.

- Nie wiem... Nie rozmawialiśmy zbyt długo.

- Niektórzy mężczyźni nie potrzebują dużo czasu, żeby zdążyć skłamać.

Sierżant wlepia w nią wzrok.

- Nie będę mógł walczyć...

- Słucham?

- Nie będę mógł z panią walczyć na słowa. Nie jestem rozmowny ani zbyt błyskotliwy, wie pani. Tak, pani to wie. Może właśnie dlatego mnie pani wybrała. To znaczy rozumiem, dlaczego mnie pani wybrała.

- Co pan opowiada?

- Rozumiem.

- Możliwe, że gdybyśmy się wzajem zrozumieli, rozmowa byłaby łatwiejsza.

Podszedł kelner. Sophie w duchu robi zakład.

- Co pani zamówi? - pyta sierżant.

- Antrykot i sałatę. A pan?

- No cóż... - rzuca, po raz ostatni przebiegając wzrokiem kartę. - To samo co pani, antrykot i sałatę.

Wygrałam, myśli Sophie.

- Jak wypieczony?

- Krwisty. Dwa krwiste - odpowiada Sophie, gasząc papierosa. Dobry Boże, co za idiotyczna sytuacja!

- Co pan mówił?

- Ja? A niby co?

- Coś, że pana wybrałam...? Co pan miał na myśli?

- Och, niech się pani tym nie przejmuje. Zawsze byłem niezdarą. Nic na to nie poradzę. Moja matka często powtarzała: „Jeśli na polu trafisz krowi placek (przepraszam za wyrażenie), ty w niego wdepniesz”.

- Nie bardzo za panem nadążam.

- A przecież nie jestem facetem skomplikowanym...

- Nie, na to wygląda... To znaczy chcę powiedzieć...

- Niech się pani wciąż nie usprawiedliwia, inaczej nigdy z tego nie wybrniemy.

Kelner przynosi dwa identyczne antrykoty z sałatą. W milczeniu zaczynają jeść. Sophie czuje się w obowiązku pochwalić danie, lecz nie ma już siły wymyślić ani słowa więcej. Wielka rozdzielająca ich pustynia podstępnie powiększa się, jak kałuża rozlewa się coraz szerzej i szerzej...

- Jedzenie jest rzeczywiście niezłe...

- Tak, dobre. Bardzo dobre.

Lecz trudno, Sophie naprawdę nie jest w stanie zmusić się do

podjęcia dalszej rozmowy; kosztowałoby ją to zbyt wiele wysiłku. Musi jeść swój antrykot i nie wymiękać. Po raz pierwszy dokładnie mu się przygląda. Metr siedemdziesiąt sześć, może metr osiemdziesiąt. Bez wątplenia dobrze zbudowany, szerokie ramiona, wojskowi uprawiają dużo sportu, szerokie dłonie, wypielęgnowane paznokcie. A twarz: poczciwa facjata spaniela. Włosy, które byłyby rzadkie, gdyby nie zostały tak krótko ostrzyżone, nos trochę za mały, spojrzenie nieco bez wyrazu. Zdecydowanie barczysty. Dziwne, że za pierwszym razem wydał jej się taki niski. To zapewne kwestia sposobu bycia, pewnej niedojrzałości. Naiwności. Raptem Sophie ogarnia zazdrość. Zazdrości sierżantowi prostoduszności - po raz pierwszy myśli o nim bez pogardy.

Uświadamia sobie, że dotąd postrzegała go jako przedmiot, że nic o nim nie wiedząc, traktowała go lekceważąco. Typowo męskie zachowanie.

- Zapętliliśmy się, co? - pyta w końcu.

- Zapętliliśmy...?

- Tak, rozmowa utknęła w miejscu...

- Cóż, to nie takie łatwe... - stwierdza sierżant. - Jak się znajdzie temat do rozmowy, to w porządku, potem już leci jak z górki, ale kiedy na nic się nie wpadnie... Mieliśmy dobry początek, i akurat wtedy musiał podejść kelner.

Sophie nie może powstrzymać uśmiechu.

To, co teraz czuje, nie jest już zmęczeniem. Ani pogardą. Więc czym?

Poczuciem pustki. Daremności. Być może to właśnie z niego emanuje ta pustka.

- No dobrze, a czym się pan teraz zajmuje?

- Łącznością.

- To mi pan wyjaśnił...

- Co?

- Co to jest ta łączność? Niech mi pan wytłumaczy.

Więc starszy sierżant z zapalem atakuje temat. Nareszcie w swoim żywiole, odzyskuje dar słowa. Sophie go nie słucha. Dyskretnie zerka na zegar ścienny. Ale czegoż innego się spodziewała? Na co liczyła? Na nowego Vincenta? Powraca

wspomnieniem do ich domu, do początków małżeństwa. Do tego dnia, kiedy zabrała się za malowanie salonu. Vincent podszedł do niej od tyłu. Położył dłoń na jej karku, tylko tyle, a ona poczuła w sobie przyływ takiej siły...

- Nie bardzo panią obchodzi łączność, co?

- Ależ skąd! Odwrotnie!

- Odwrotnie? Pasjonuje?

- Nie, tego bym nie powiedziała.

- Wiem, o czym pani myśli...

- Czyżby?

- Owszem. Mówi sobie pani: „Miły chłopak, ale śmiertelnie nudny”, przepraszam za wyrażenie. Patrzy pani na zegarek, myśli o czym innym.

Chciałaby pani być gdzie indziej. No to pani powiem: ja też bym chciał. Czuję się przy pani nieswojo, taka jest prawda. Próbuje pani być miła, bo nie wypada inaczej; skoro tu jesteśmy... no to rozmawiamy. Nie bardzo mamy o czym.

Zastanawiam się...

- Przepraszam, to prawda, że byłam nieobecna myślami... Ale to, co pan mówi, jest tak okropnie techniczne...

- Nie tylko o to chodzi. Rzecz w tym, że nie podobam się pani.

Zastanawiam się...

- Tak?

- Zastanawiam się, dlaczego pani zadzwoniła, co? O co tak naprawdę pani chodzi? Jak wygląda pani własna historia?

- Cóż, to może potrwać rok, dwa lata, trzy. Niektórym nie udaje się nigdy.

Pod tym względem mojemu kumplowi raczej się poszczęściło.

W pewnym momencie wybuchają śmiechem. Pod koniec posiłku Sophie nie pamięta już z jakiego powodu. Idą brzegiem rzeki. Jest przeraźliwie zimno.

Sophie wsunęła mu rękę pod ramię. Krótka komitywa zbliżyła ich do siebie.

Koniec końców, wykonał właściwy ruch: zarzucił próby bycia błyskotliwym.

Stwierdził: „Ostatecznie lepiej pozostać sobą. Bo wcześniej czy później udawanie i tak wyjdzie na jaw. Lepiej od razu wiedzieć, na czym się stoi, nie?”.

- Ma pan na myśli terytoria zamorskie? - pyta teraz Sophie.

- Nie tylko! Można dostać przydział również za granicę. Fakt, że zdarza się to rzadko.

Sophie w duchu kalkuluje. Spotkanie, małżeństwo, wyjazd, praca, rozstanie. Może złudzeniem jest myśl, że w miejscu odległym kilka tysięcy kilometrów od kraju będzie bezpieczniejsza. Ale intuicja podpowiada jej, że na pewno będzie ją trudniej znaleźć.

Kiedy się nad tym zastanawia, starszy sierżant wylicza kolegów, którzy zostali wysłani, tych, którzy o to wystąpili, tych, którzy nie stracili jeszcze nadziei. Boże, jaki ten człowiek jest nudny i przewidywalny.

Boję się. Umarli znów wracają. Nocą. Mogę ich policzyć. W snach widzę ich, jak siedzą rzędem przy stole jeden obok drugiego. Na końcu stołu Leo ze sznurowadłem okręconym wokół szyi. Patrzy na mnie z wyrzutem. „Oszalałaś, Sophie? Dlaczego mnie udusiłaś? To prawda, że jesteś wariatką?”, pyta, przewiercając mnie wzrokiem na wylot. Znam ten jego niedowierzający wyraz twarzy, pochyla wtedy głowę lekko na bok z miną wyrażającą namysł. „Tak, ale to nic nowego, zawsze była wariatką”, mówi matka Vincenta. Jakby mu chciała dodać otuchy. Znów widzę tę jej złośliwą minę, to spojrzenie hieny, słyszę jej swarliwy głos. „Zanim jeszcze zaczęła nas wszystkich mordować, niszczyć wszystko dookoła, już była wariatką, mówiłam Vincentowi, ta dziewczyna to wariatka...”. Przybiera uduchowiony wyraz twarzy, zamyka oczy i trzyma je zamknięte tak długo, że nie wiadomo, czy je

jeszcze w ogóle otworzy, pół życia spędza z zamkniętymi oczami zapatrzona w siebie. „Nienawidzisz mnie, Sophie, zawsze mnie nienawidziłaś, ale teraz, kiedy mnie zabiłaś...” Vincent się nie odzywa. Potrzeba tylko wychudzoną głową, jakby błagał o litość. I wszyscy wlepiają we mnie wzrok. Potem nic już nie mówią. Gwałtownie się budzę. Gdy tak się dzieje, nie chcę już po raz drugi zasnąć. Podchodzę do okna i przez długie godziny płacę i palę papierosy.

Uśmierciłam nawet własne dziecko.

21

Spotykają się przez ponad dwa tygodnie. W ciągu kilku zaledwie godzin Sophie odkryła metodę postępowania z sierżantem. Teraz tylko kieruje swoją zdobyczą pod kątem własnego interesu, niemniej pozostaje czujna.

Udając entuzjazm, sierżant pozwolił się zaciągnąć na film Dwadzieścia cztery godziny z życia kobiety.

- W książce występowały tylko dwa pokolenia kobiet... - stwierdziła Sophie po wyjściu z kina, zapalając papierosa.

- Nie czytałem, ale pewnie też jest niezła.

- Tak, książka jest niezła.

W oparciu o metrykę urodzenia musiała wymyślić sobie całkiem nową biografię: rodziców, studia, swoją własną historię, otaczając ją nimbem tajemnicy, żeby czegoś nie chlapnąć. Sierżant wykazał się taktem i o nic nie pytał. Natomiast ona - z czystej ostrożności - nakłania go do mówienia.

Wieczorem po powrocie do domu zapisuje w zeszycie wszystko, czego się o nim dowiedziała. W jego historii nie ma nic szczególnego. Ciekawego zresztą też nie. Urodzony 13 października 1973 roku w Aubervilliers. Przeciętna szkoła, przeciętne liceum, dyplom z elektromechaniki, zaciąg do

wojska, przydział do oddziałów łączności, dyplom technika telekomunikacji, starszy sierżant, może jeszcze awansować na sierżanta majora.

- Kałamarnice... Hmm...

- Nazywa się je też kalmarami. Sierżant uśmiecha się.

- Wezmę raczej antrykot.

Teraz z kolei uśmiecha się Sophie.

- Rozśmiesza mnie pan...

- Gdy mówi to kobieta, najczęściej nie wróży to nic dobrego...

Wielkim plusem wojskowych jest ich przejrzystość. Sierżant kropka w kropkę odpowiada wyobrażeniu, jakie wyrobiła sobie o nim Sophie podczas pierwszych spotkań. Odkryła w nim zaskakujące przebłyski przenikliwości, chłopak nie jest głupi, jest po prostu zwyczajny. Chce się ożenić, mieć dzieci, jest miły. A Sophie nie ma chwili do stracenia. Nietrudno jej było go oczarować; już był oczarowany, a Sophie zrobiła to, co zrobiłaby każda inna dziewczyna na jej miejscu. A nawet więcej, ponieważ jest ładna. Od kiedy się spotykają, kupiła nowe kosmetyki, znów zaczęła zwracać większą uwagę na to, w co się ubiera, jakkolwiek bez przesady. Od lat już nie czuła na sobie spojrzenia mężczyzny, który jej pragnie. Jest jej z tym dziwnie.

- Pozwoli pan, że zapytam: dokąd my właściwie zmierzamy?

- Ustaliliśmy, że na Obcego...?

- Nie, chodzi mi o to, na czym oboje, pan i ja, stoimy?

Sophie dobrze wie, na czym stoją. Zostały jej niecałe dwa miesiące na sfinalizowanie sprawy. Ustalenie daty dania na zapowiedzi. Teraz już nie może nic zmieniać. Z następnym musiałaby zaczynać wszystko od nowa. Nie ma na to czasu. Patrzy na sierżanta. Przywykła już do jego twarzy. Bądź też naprawdę jest jej potrzebny. Co na jedno wychodzi.

- A pan wie, na czym pan stoi? - pyta go.

- Myślę, że tak. Przecież pani mnie zna. Naprawdę zastanawiam się, dlaczego zmieniła pani zdanie. Kiedy pani do mnie zadzwoniła...

- Nie zmieniałam zdania, dałam sobie tylko czas do namysłu.

- Nie. Zmieniła pani zdanie. Już na pierwszym spotkaniu podjęła pani decyzję. Na „nie”. Zastanawiam się, czy rzeczywiście zmieniła pani zdanie. I dlaczego?

Sophie zapala następnego papierosa. Siedzą w piwiarni. Wieczór nie był wcale taki nudny. Sophie patrzy na niego i jest pewna, że facet się w niej zakochał. Czy wystarczająco dobrze to rozegrała, żeby wypaść wiarygodnie?

- To prawda. Na naszym pierwszym spotkaniu nie byłam zachwycona...

- I spotkała się pani z innymi. A oni byli jeszcze gorsi, więc pomyślała sobie pani...

Sophie patrzy mu prosto w oczy.

- A pan nie?

- Mariannę, myślę, że niezła z pani kłamczucha. To znaczy... chcę powiedzieć, że kłamie pani dobrze, ale często.

- Na jaki temat?

- Nie wiem. Możliwe, że na każdy.

Czasami dostrzega na jego twarzy niepokój tak wielki, że aż ją ściska serce.

- Przypuszczam, że ma pani swoje powody - ciągnie sierżant.

- Mam nawet pewne przypuszczenie, ale wolę się w to zbyt nie wgłębiać.

- Dlaczego?

- Któregoś dnia być może pani sama mi powie.

- A jakie jest to pana przypuszczenie?

- Są w pani przeszłości pewne sprawy, o których nie chce pani mówić. A mnie jest to obojętne.

Patrzy na nią, waha się. Płaci rachunek. I wreszcie zdobywa się na odwagę.

- Musiała pani... sam nie wiem... siedzieć w więzieniu albo coś w tym rodzaju.

Znów na nią spogląda, lecz tym razem spod oka. Sophie szybko się namyśla.

- Powiedzmy, że coś w tym rodzaju. Nic poważnego, zapewniam, ale wolę o tym nie mówić.

Sierżant potakuje z miną wyrażającą zrozumienie.

- Ale czego konkretnie pani chce?
- Chcę być normalną kobietą, mieć męża i dzieci. Nic innego.
- Nie wydaje się jednak, żeby to było tak naprawdę w pani stylu.

Sophie przechodzi zimny dreszcz. Próbuje się uśmiechnąć. Wychodzą z restauracji, jest ciemna noc, chłód omiata ich twarze. Sophie wsuwa rękę pod jego ramię, odwraca się do niego.

- Chciałabym do ciebie pójść. Ale to być może nie jest w twoim stylu...

Sierżant przetyka ślinę.

Stara się. Jest bardzo troskliwy. Sophie płacze. On mówi: „Nie musimy...”. Sophie prosi: „Pomóż mi”. On ociera jej łzy. Sophie dodaje: „To nie przez ciebie, przecież wiesz”. Odpowiada: „Wiem...”. Sophie myśli, że ten człowiek potrafiłby wszystko zrozumieć. Jest opanowany, dokładny, nie spieszy się; nie przypuszczała, że taki będzie. Już od tak dawna nie czuła w sobie żadnego mężczyzny. Na moment zamyka oczy, jakby była pijana i chciała, żeby świat przestał tak szybko wirować. Prowadzi go. Towarzyszy mu. Po raz pierwszy wyraźnie, z bliska, czuje jego zapach. Anonimowy zapach mężczyzny, który pożąda. Udaje jej się powstrzymać łzy. On leży na niej lekko, zdaje się na nią czekać, Sophie uśmiecha się do niego. Mówi: „Chodź...”. On wygląda jak zagubione dziecko. Niemające złudzeń. Sophie przytula go.

Leżą spokojnie, Sophie patrzy na zegarek. Oboje wiedzą, czego nie muszą sobie w tym momencie powiedzieć. Może kiedyś... Są dwójką rozbitków życiowych i Sophie po raz pierwszy zadaje sobie pytanie, jak wyglądał jego dramat.

- A jaka jest twoja historia, twoja prawdziwa historia? - pyta, muskając palcami włosy na jego torsie.

- Jestem zwykłym facetem...

A Sophie zastanawia się, czy to cała jego odpowiedź.

Dla kogoś, kto pracuje nocą, wszystko przesuwają się w czasie. Kiedy sierżant zasypia, Sophie wstaje i wychodzi od siebie z domu, żeby złapać samochód rozwożący pracowników.

Tych dwoje jest zawsze razem: Veronique i kierownik fastfoodu. Zabiła ich w taki sam sposób. Nie pamięta już w jaki. Leżą oboje na oksydowanym stole w kostnicy. Jak mąż i żona. Okryci białym prześcieradłem. Sophie przechodzi obok stołu i widzi, że choć oboje są martwi, mają otwarte oczy i zachłannym wzrokiem ją obserwują. Poruszają się tylko ich oczy. Kiedy staje u szczytu stołu, z ich głów powoli zaczyna sączyć się krew. Uśmiechają się.

- Tak, tak!

Sophie gwałtownie się odwraca.

- Można by powiedzieć, że to twój znak firmowy. Kilka mocnych ciosów w tył czaszki.

Dyrektor agencji bankowej ma na sobie bladożółtą koszulę i zielony krawat. Spodnie opinają mu brzuch, ma rozpięty rozporek. Podchodzi z miną uczonego patologa, przemądrzały, pewny siebie, precyzyjny niczym chirurg. I uśmiechnięty. Nieco szydarczy.

- Zobaczmy.

Staje za stołem i ogląda czaszki zabitych. Na podłogę ścieka krew, jej krople rozbryzgujące się na pomalowanym betonie ochlapują dół jego spodni.

- Zobaczmy tę tutaj (pochyla się i czyta etykietkę)... Veronique. Otóż to, Veronique. Pięć ciosów nożem w brzuch. W brzuch, no wiesz co, Sophie! Ale dobrze, zostawmy to. Ten (czyta etykietkę)... David. W jego przypadku, Sophie, wystarczyło ci tylko sięgnąć ręką. Swoją kij bejsbolowy David traktował czysto dekoracyjnie i oto teraz leży ze zmiażdżoną czaszką, na której odcisnął się emblemat Red Stockings. Niektórzy kończą naprawdę głupio, nie uważasz?

Odchodzi od stołu i zbliża się do Sophie, plecami przywartej do ściany. Z uśmiechem ciągnie:

- No i jeszcze ja. Ale ja miałem więcej szczęścia, w pobliżu

nie było żadnego kija bejsbolowego ani noża, upiekło mi się, nie narzekam. Gdybyś mogła, rozwalilibyś mi głowę o ścianę i skończyłbym tak jak inni ze zmiażdżonym czerepem. Ja też bym krwawił z tyłu czaszki.

A Sophie widzi, jak na jego żółtej koszuli rozlewa się plama krwi ściekającej z tyłu jego czaszki. Dyrektor agencji uśmiecha się.

- Właśnie w taki sposób, Sophie.

Stoi tuż przy niej, czuje jego ciężki oddech.

- Jesteś bardzo niebezpieczna, Sophie. A przecież podobasz się mężczyznom. Prawda? Wielu ich zabijasz. Czy zamierzasz zabić wszystkich, których kochasz, Sophie? Wszystkich, którzy się do ciebie zbliżą?

22

Te zapachy, te gesty, te chwile... W spojrzeniu Sophie widać zapowiedź

tego, co go czeka. Będzie musiała umieć odejść. Kiedy przyjdzie ta pora. Ale to wszystko później, bo teraz musi grać. Grać z wyczuciem. Nie pozorować namiętności, ale okazywać przywiązanie, które umożliwi ich komitywa powierzchowna, lecz obiecująca. Spędzili razem cztery noce. Ta jest piąta. Z czego dwie noce z rzędu. Bo trzeba przyspieszyć akcję. Zdołała na kilka dni zamienić się godzinami pracy z dziewczyną z drugiej ekipy. Sierżant po nią przyszedł. Sophie bierze go pod ramię, opowiada, jak minął jej dzień. Już od drugiego razu stało się to zwyczajem. W pozostałych sprawach jest troskliwy, wręcz skrupulatny. Czasami tak się zachowuje, jakby od najdrobniejszego gestu zależało jego życie. Sophie próbuje go wyciszyć. Stara się nadać ich świeżej bliskości coś mniej sztucznego, mniej powierzchownego. Niekiedy w swoim małym mieszkanku pichci coś na maszynie gazowej. Sierżant powoli się odpręża. W łóżku zajmuje się nią dopiero wtedy, kiedy ona zrobi pierwszy krok.

I Sophie za każdym razem go robi. I za każdym razem czuje

lęk. Udaje.

Czasami przez krótką chwilę czuje, że mogłaby być szczęśliwa. I to ją przyprawia o płacz. On tego nie widzi, bo dzieje się to zawsze na koniec, kiedy on już śpi, ona zaś leży wpatrzona w nocny półmrok pokoju. Na szczęście on nie chrapie.

Leży tak przez długie godziny, a przed oczami przesuwiają się obrazy z jej życia. I jak zwykle łzy płyną same, bezwiednie, bez jej udziału. Zapada powoli w sen, którego się boi. Czasami napotyka jego dłoń i kurczowo ją chwyta.

23

Na dworze panuje suchy ziąb. Stoją oparci o metalową balustradę; przed chwilą zaczęły się sztuczne ognie. Dzieciaki biegają, rodzice z rozdziawionymi ustami wpatrują się w niebo. Odgłosy jak na wojnie. Niektóre wybuchy poprzedza złowieszczy świst. Niebo nabrało koloru pomarańczowego. Sophie przytula się do niego. Po raz pierwszy czuje autentyczną, najprawdziwszą potrzebę wtulenia się w niego. Objął ją ramieniem. Mógłby to być kto inny. Jest on. Mogłaby trafić gorzej. Kładzie mu dłoń na policzku, zmuszając go, żeby na nią spojrział. Całuje go. Teraz niebo jest zielononiebieskie. On mówi coś, czego nie usłyszała, bo dokładnie w tej samej chwili eksploduje świetlny pocisk.

Sądząc z jego miny, powiedział coś miłego. Sophie potakująco kiwa głową.

Rodzice zwołują dzieciarnię, grupki ludzi przekrzykują się okolicznościowymi żartami. Czas wracać. Pary trzymają się pod rękę. Oni próbują wyrównać krok. Jego kroki są dłuższe, przez chwilę drobi, Sophie się uśmiecha, popycha go, on się śmieje, ona się uśmiecha. Przystają. Nie ma w nich miłości, ale jest coś, co poprawia samopoczucie, coś przypominającego bezgraniczne znużenie. On, po raz pierwszy władczo, ją całuje. Za kilka minut zacznie się nowy rok, już teraz słychać klaksony kierowców, którzy wyprzedzają godzinę, bo chcą być pierwsi.

Nagle następuje eksplozja krzyków, syren, śmiechów, świateł. Przez krótki moment świat ogarnia fala szczęścia, okazja jest wprawdzie zaprogramowana, ale radość szczerą. Sophie pyta:

„Pobierzemy się?”. „Co do mnie, to bardzo bym chciał...”, odpowiada sierżant z lekko przepraszającą miną. Sophie ściska go za ramię.

I tyle.

Stało się.

Za dwa tygodnie Sophie zostanie mężatką. Żegnaj, Szalona Sophie. Nowe życie.

Na kilka sekund Sophie odzyskuje swobodny oddech. On uśmiecha się.

FRANTZ

Trzeci maja 2000 roku

Przed chwilą zobaczyłem ją pierwszy raz. Ma na imię Sophie.

Wychodziła od siebie z domu. Mignęła mi tylko jej sylwetka. Widać, że to kobieta żyjąca w pośpiechu. Wsiadła do samochodu i ruszyła tak szybko, że ledwie za nią nadażalem na motorze. Na szczęście miała problem z zaparkowaniem w Marais, co mi ułatwiło sprawę. Obserwowałem ją z daleka.

Najpierw pomyślałem, że przyjechała na zakupy, a wtedy musiałbym zrezygnować ze śledzenia, za duże ryzyko. Ale na szczęście była tu umówiona.

Weszła do herbaciarni na rue des Rosiers i od razu ruszyła do innej kobiety, będącej mniej więcej w jej wieku, patrząc na zegarek, co miało oznaczać, że się spieszy. Ale ja wiedziałem, że za późno wyjechała z domu. Przypadek jawnego oszustwa.

Odczekałem piętnaście minut i ja z kolei wszedłem do herbaciarni i usiadłem przy stoliku w drugiej sali, gdzie miałem znakomity, a dyskretny punkt obserwacyjny. Sophie miała na sobie wzorzystą sukienkę, pantofle na płaskich obcasach i jasnoszarą kurtkę. Widziałem ją z profilu. Jest niebrzydka; taka kobieta musi się podobać mężczyznom. Za to jej koleżanka wyglądała jak ulicznica. Znadto wymalowana, arogancka, typ samicy. Sophie przynajmniej potrafi zachować naturalność. Objadały się ciastkami jak łakome pensjonarki. Z ich mimiki i śmiechów wnioskowałem, że żartują z tego odstępstwa od diety.

Kobiety przez cały czas się odchudzają, ale uwielbiają nie przestrzegać swoich diet. Są płytkie. Sophie jest szczupłą. Szczuplejsza od przyjaciółki.

Szybko pożałowałem, że wszedłem. Podjąłem głupie ryzyko,

że spojrzę na mnie i z jakiegoś powodu zapamięta moją twarz. Po co tak ryzykować bez potrzeby? Obiecałem sobie, że to się więcej nie powtórzy. A tak przy okazji, ta dziewczyna mi się podoba. Sprawia wrażenie pełnej życia.

Znajduję się w bardzo szczególnym stanie ducha. Wszystkie zmysły mam wyostrzone. I właśnie dzięki temu udało mi się zamienić ów niepotrzebny epizod w pomyślną okoliczność. Dwadzieścia minut po nich wyszedłem; zdejmując kurtkę z wieszaka, zauważyłem, że jakiś mężczyzna powiesił na nim swój płaszcz. Szybko sięgnąłem ręką do wewnętrznej kieszeni i wyszedłem z pięknym portfelem. Jego właściciel nazywa się Lionel Chahdn, urodzony w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku, czyli tylko pięć lat przede mną; mieszka w Creteil. Ma jeszcze dowód osobisty starego typu. Ponieważ w razie kontroli dokumentów nie zamierzam się nim posłużyć, przerobiłem go, nawet całkiem udatnie, wklejając moje zdjęcie. Bywają dni, kiedy bardzo się cieszę z biegłości moich rąk. Jeśli nie przyglądać się zbyt dokładnie, efekt jest należyty.

Piętnasty maja

Potrzebowałem dobrych dziesięciu dni, żeby dojrzeć do tej decyzji.

Niedawno przeżyłem straszliwy zawód; długie lata nadziei w ledwie kilka minut obróciły się wniwecz... Przypuszczałem, że nieszybko się po takim ciosie podniosę, tymczasem, ciekawa rzecz, mam wrażenie, że tak się już stało. Sam jestem tym trochę zdziwiony. Śledziłem ruchy Sophie Duguet, zastanawiałem się, obserwowałem ją... Podjąłem decyzję wczoraj, patrząc w okna jej mieszkania, kiedy podeszła i zamaszystym, zdecydowanym gestem siewczyni gwiazd zaciągnęła zasłony. Coś we mnie zaskoczyło. Poczułem, że wkrótce ruszę do działania. I tak potrzebny był mi plan alternatywny, nie mogłem ot tak zrezygnować z wszystkiego, o czym marzyłem, z wszystkiego, co mi było tak długo potrzebne do życia. Zrozumiałem, że Sophie jest właściwą osobą.

Założyłem zeszyt z notatkami. Trzeba przygotować wiele rzeczy, no i sądzę, że notatki pomogą mi w namyśle. Gdyż sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana, niż początkowo myślałem.

Mąż Sophie jest wysokim facetem o inteligentnej twarzy, sprawiającym wrażenie niezwykle pewnego siebie. To mi się podoba. Dobrze ubrany, wręcz elegancki, choć noszący się dość swobodnie. Przyjechałem dziś wcześniej rano, żeby poczekać, aż wyjdzie, i za nim pojechać. Są dobrze sytuowani. Każde ma własny samochód, mieszkają w apartamentowcu. Uroczą parą, którą mogłaby czekać wspaniała przyszłość.

Dwudziesty czerwca

Vincent Duguet pracuje w Lanzer Gesellschaft, spółce petrochemicznej, na której temat zgromadziłem obszerną dokumentację; nie wszystko zrozumiałem, ale generalnie jest to firma z kapitałem niemieckim, posiadająca oddziały prawie na całym świecie i będąca jednym z liderów na rynku rozpuszczalników i elastomerów. Siedziba główna Lanzer Gesellschaft znajduje się w Monachium, siedziba oddziału francuskiego w Paryżu na Defense (tam pracuje Vincent), a na prowincji - w Talence, w Grenoble i w Senlis; to trzy ośrodki badawcze firmy. W hierarchii Vincent stoi dość wysoko; jest zastępcą dyrektora Departamentu Badań i Rozwoju. Ma doktorat. Skończył uniwersytet w Jussieu. Na zdjęciu w katalogu promocyjnym jest bardzo do siebie podobny.

Zostało zrobione niedawno. Wyciąłem je i przypiąłem na korkowej tablicy.

Z kolei Sophie pracuje w domu aukcyjnym Percy's (stare książki, dzieła sztuki itp.). Nie wiem jeszcze, na jakim konkretnie stanowisku.

Zacząłem od najłatwiejszego, od zebrania informacji o Vincencie. W

przypadku Sophie sprawa jest trudniejsza. Jej firma udziela bardzo skąpych informacji. W tych kręgach zawsze pokazuje

się tylko witrynę. Skądinąd dom aukcyjny Percy's jest dość znany, ale na jego temat można zdobyć jedynie ogólne dane. Dla mnie to za mało. Nic mi nie da wąż się po Saint-Philippe-du-Roule, gdzie mieszczą się ich biura, i ryzykowanie, że ktoś mnie zauważy.

Jedenasty lipca

Potrzebne mi są dokładniejsze informacje o Sophie, która, jak zauważyłem, porusza się teraz częściej samochodem - jest lipiec i w Paryżu zrobiło się luźniej. Nie potrzebowałem wiele czasu, żeby dodać dwa do dwóch.

Zamówiłem do swojego motoru nowe tablice rejestracyjne, które sam przymocowałem, i wczoraj pojechałem za jej samochodem. Na każdym postoju powtarzałem sobie w duchu scenariusz. Kiedy w końcu Sophie zatrzymała się na czerwonych światłach jako pierwsza, byłem już całkowicie gotowy i wszystko poszło niezwykle gładko. Zachowałem spokój. Podjechałem do jej auta z prawej strony, pamiętając, żeby mieć dość miejsca na swobodne manewrowanie. Kiedy światła zmieniły się na pomarańczowe, musiałem tylko wyciągnąć rękę, otworzyć drzwi od strony pasażera, złapać jej torebkę, wystartować i skrócić w pierwszą ulicę w prawo. W kilka sekund przejechałem kilkaset metrów, skręciłem trzy czy cztery razy i pięć minut później jechałem już spokojnie obwodnicą. Jeśli wszystko okaże się takie łatwe, przestanie być nawet zabawne...

Co za niesamowita rzecz - kobieca torebka! Co za cudowne połączenie wdzięku, prywatności i dziecinady! W torebce Sophie znalazłem zbiór przedmiotów od Sasa do Lasa. Poukładałem je w określonym porządku.

Najpierw wszystko, z czego nie dowiadywałem się nic nowego: bilet miesięczny - chociaż zachowałem z niego zdjęcie, pilnik do paznokci, lista zakupów (przypuszczalnie na kolację), długopis Bic z czarnym wkładem, paczki chusteczek higienicznych, guma do żucia. Natomiast reszta dostarczyła mi

już więcej informacji.

Przede wszystkim na temat upodobań Sophie: krem do rąk marki Cebelia, pomadka do ust Agnes b. (bladoróżowy odcień Perfect), zeszyt z nielicznymi, często nieczytelnymi notatkami oraz lista książek do przeczytania (W.

Grossman: Życie i los, Musset: Spowiedź dziecięcia wieku, Tołstoj: Wskrzeszenie, Citati: Portret kobiety, Ikonnikow: Ostatnie wieści z bagna...).

Lubi rosyjskich autorów. Teraz czyta Mistrza z Petersburga Coetzego. Jest na stronie sześćdziesiątej trzeciej, nie wiem, czy kupi jeszcze raz tę książkę.

Przeczytałem kilka razy jej notatki. Podoba mi się jej pismo, pewne, energiczne, wyczuwa się w nim wolę i inteligencję.

Na temat jej prywatności: napoczęte pudełko tamponów Nett „mini” oraz opakowanie Nurofenu (czyżby miewała bolesne miesiączki?). Na wszelki wypadek na kalendarzu ściennym zrobiłem czerwony krzyżyk.

Na temat jej przyzwyczajzeń: z karty płatniczej wynika, że w stołówce w pracy jada tylko od czasu do czasu, że lubi kino (karta stałego klienta do kina Balzac), że nie nosi przy sobie dużych sum (w portmonetce było niecałe trzydzieści euro), że zapisała się na cykl wykładów o naukach kognitywnych w la Villette.

I wreszcie najważniejsze: klucze do mieszkania, do samochodu, do skrzynki na listy, jej komórka - od razu skopiowałem listę kontaktów - notes z adresami, chyba bardzo stary, bo są w nim wpisy różnymi rodzajami pisma i różnymi kolorami długopisów, jej dowód osobisty, niedawno wydany (urodziła się piątego listopada tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku w Paryżu), kartka urodzinowa adresowana do jakiejś Valerie Jourdain, rue Courfeyrac 36, Lyon:

Najmilsza!

*Trudno pogodzić się z myślą, że dziewczyna
młodsza ode mnie jest już dorosła.*

Obiecałaś, że przyjedziesz do stolicy: prezent na ciebie

czeka.

*Vincent całuje cię. A ja cię kocham. I też cię całuję.
Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin. Zaszalej.*

Na końcu notes, z którego uzyskałem cenną wiedzę o tygodniach minionych i przyszłych.

Skserowałem wszystko na fotokopiarce, przypiąłem odbitki do korkowej tablicy, zamówiłem duplikaty wszystkich kluczy (przeznaczenia niektórych nie znam) i szybko pojechałem oddać wszystko - z wyjątkiem portmonetki - na komisariacie w sąsiedniej dzielnicy. Następnego dnia rano Sophie z wielką ulgą odebrała swoją torebkę.

Piękne żniwo. I piękny wyczyn.

Przyjemnie jest czuć, że się działa. Spędziłem tyle czasu (całe lata...) na rozmyślaniu, na kręceniu się w kółko, z głową pełną różnych wspomnień, oglądając na okrągło rodzinne zdjęcia, książeczkę wojskową ojca, zdjęcia ze ślubu, na których moja matka tak pięknie wygląda...

15 lipca

Ostatniej niedzieli Sophie i Vincent wybrali się na rodzinny obiad. Zachowując sporą odległość, pojechałem za nimi i - dzięki notesowi z adresami Sophie - szybko zorientowałem się, że jadą do rodziców Vincenta, do Montgeron. Dotarłem tam inną drogą i na miejscu stwierdziłem, że w tę piękną letnią niedzielę (dlaczego nie wyjechali na wakacje?) całe towarzystwo zasiadło do stołu w ogrodzie. Miałem przed sobą dobrych kilka godzin popołudnia.

Wróciłem więc do Paryża i poszedłem obejrzeć ich mieszkanie.

Z początku wizyta ta budziła we mnie mieszane uczucia. Byłem oczywiście uradowany ogromnym potencjałem tkwiącym w tej sytuacji - dostępem do największej intymności ich życia - ale jednocześnie, nie wiedzieć czemu, było mi smutno. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałem powód. Chodzi

o to, że w gruncie rzeczy nie lubię tego Vincenta. Dopiero teraz do mnie dotarło, że od razu mi się nie spodobał. Nie zacznę się znów bawić w sentymenty, ale jest w nim coś, co z miejsca wydało mi się antypatyczne.

W mieszkaniu są dwie sypialnie, z czego w jednej, w której urządzili gabinet, mieści się nowoczesna stacja komputerowa. Znam ten sprzęt, ale na wszelki wypadek postanowiłem przetrzasnąć na swój komputer jego dane techniczne. Mają ładną kuchnię, wystarczająco dużą, żeby jadać w niej wspólne śniadania, piękną łazienkę z dwiema osobnymi umywalkami i szafkami.

Dowiem się dokładniej, ale ich mieszkanie musi przedstawiać sporą wartość.

Fakt, że oboje bardzo dobrze zarabiają (w gabinecie znalazłem odcinki ich pensji).

Było na tyle widno, że mogłem wszystko sfotografować w różnych ujęciach. Zdjęcia, które zrobiłem - otwartych szuflad, otwartych szaf, niektórych dokumentów (jak paszport Vincenta, rodzinne zdjęcia Sophie, wspólne zdjęcia jej i Vincenta chyba sprzed paru lat itp.) - wystarczą mi do odtworzenia całości mieszkania.

Obejrzałem prześcieradła; widać, że prowadzą normalne życie seksualne.

Niczego nie przestawiałem, nic nie zabrałem. Zamierzam wkrótce tu wrócić, żeby zdobyć wszystkie kody dostępu do ich skrzynek mailowych, kont bankowych, MSN, zawodowego intranetu itp. Zajmie mi to dwie, trzy godziny - przynajmniej raz dyplom informatyka do czegoś prawdziwie pożytecznego mi się przyda - muszę więc działać bardzo ostrożnie. Potem będę tu zaglądał już tylko z naprawdę ważnych powodów.

Siedemnasty lipca

Niepotrzebnie się spieszyłem: pojechali na wakacje. Ze skrzynki mailowej Sophie dowiedziałem się, że są w Grecji i wrócą nie wcześniej niż piętnastego lub szesnastego sierpnia.

Dzięki temu będę miał czas się rozejrzeć.

Pod ich nieobecność mam mieszkanie do swojej wyłącznej dyspozycji.

Przydałby mi się kontakt z kimś, kto jest z nimi blisko, na przykład z sąsiadem lub znajomym, i mógłby mi dostarczyć cennych informacji o ich życiu.

Pierwszy sierpnia

W spokoju przygotowuję się do walki. Podobno Napoleon chciał, żeby mu przedstawiać generałów, którym dopisało szczęście. Można mieć cierpliwość, można mieć determinację - ale zawsze wcześniej czy później wkracza czynnik szczęścia. Na razie jestem generałem, któremu szczęście dopisuje. Nawet jeśli ściska mi się serce, gdy myślę o mamie. Zbyt często o niej myślę. Zbyt często myślę o jej miłości, której mi brakuje. Zbyt często za nią tęsknię. Na szczęście jest Sophie.

Dziesiąty sierpnia

Odwiedziłem kilka agencji nieruchomości, niestety bez powodzenia. Musiałem obejrzeć wiele mieszkań, z góry wiedząc, że mnie nie zainteresują, lecz zrobiłem to, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Trzeba przyznać, że to, czego szukam, trudno ująć w słowa... Po trzeciej agencji zrezygnowałem. Potem przeżyłem moment zwątpienia. A później, kiedy szedłem ulicą, na której mieszka Sophie, wpadłem na pewien pomysł. Wierzę w znaki. Wszedłem do budynku po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciwko ich domu. Zapukałem do dozorczyńni, grubego babsztyla z opuchniętą twarzą. Nie przygotowałem sobie wcześniej żadnej bajeczki i może dlatego wszystko tak gładko mi poszło.

Zapytałem, czy jest tu jakieś wolne mieszkanie. Nie, nie ma żadnego. W każdym razie nic „wartego uwagi”. To od razu mnie zainteresowało. Pokazała mi pokój na ostatnim piętrze.

Jego właściciel mieszka na prowincji i co roku wynajmuje swoje mieszkanie studentom. Mówię „mieszkanie”, choć w rzeczywistości jest to pokój z aneksem kuchennym; toalety są na korytarzu. W tym roku wynajął go student, który niedawno zrezygnował, a właściciel nie zdążył jeszcze znaleźć innego lokatora.

Szóste piętro. Winda dojeżdża do piątego. Na górę weszliśmy po schodach. Idąc ciemnym korytarzem, próbowałem zorientować się, w jakim kierunku wędrujemy. Domyśliłem się, że musimy znajdować się niedaleko mieszkania Sophie. Okazało się, że naprzeciwno! Dokładnie naprzeciwno!

Kiedy weszliśmy, pamiętałem, żeby nie rzucić się od razu do okna, choć bardzo mnie korciło. Dopiero obejrzawszy lokal (jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że nie ma w nim absolutnie nic do oglądania), kiedy dozorczyńni wyliczała szczegółowo zasady wspólnego życia, które narzuca „swoim lokatorom” (zniechęcający ciąg wszelkiego rodzaju nakazów i zakazów), podszedłem do okna. Okno Sophie znajduje się dokładnie naprzeciwno. To już nie tylko szczęście, to cud. Udawałem klienta, który się zastanawia. Pokój jest umeblowany zbieraniną sprzętów, a łóżko wyboiste jak teren manewrów wojskowych, ale to bez znaczenia. Udając, że sprawdzam kran i oglądam sufit, niemalowany od pokoleń, spytałem o cenę. A potem zapytałem, jak to załatwić, tak, cena mi odpowiada, ale jak to załatwić.

Dozorczyńni przewierciła mnie wzrokiem, jakby się zastanawiała, dlaczego człowiek ewidentnie niebędący już w wieku studenckim życzy sobie zamieszkać w takiej norze. Uśmiechnąłem się, co akurat umiem robić całkiem nieźle, a że dozorczyńni wyglądała mi na osobę już od dawna nieutrzymującą normalnych kontaktów z mężczyznami, zrobiło to na niej odpowiednie wrażenie. Wyjaśniłem, że mieszkam na prowincji, że praca często mnie sprowadza do Paryża, hoteli nie lubię, więc na kilka nocy w tygodniu miejsce takie jak to będzie się nadawało jak uł. I jeszcze cieplej się uśmiechnąłem.

Powiedziała, że może zadzwonić do właściciela, i zeszliśmy

na dół. Jej lokum jest równie staromodne jak cała kamienica. Wszystko u niej wygląda jak rodem z ubiegłego wieku. Pachnie pastą do podłogi i zupą warzywną, od czego od razu zrobiło mi się niedobrze. Jestem bardzo wyczulony na zapachy.

Właściciel poprosił mnie do telefonu. On również wymienił długą litanie zasad „dobrego wychowania” (sic!) obowiązujących w domu. Stary dureń.

Odegrałem rolę uległego lokatora. Kiedy dozorczyńni przejęła słuchawkę, domyśliłem się, że tamten pytają o wrażenie; co ona o mnie sądzi. Udałem, że szukam czegoś po kieszeniach, że oglądam fotografie starej ustawione na drewnianym kufrze i koszmarną figurkę maskarona w kaszkiecie oddającego mocz. Ja naprawdę myślałem, że takie rzeczy już nie istnieją. Zdałem egzamin wstępny. Dozorczyńni mamrotała: „Tak, tak sądzę...”. Tym sposobem o piątej po południu Lionel Chahrin został lokatorem pokoju na szóstym piętrze, zapłacił w gotówce astronomiczną kaucję, trzymiesięczny czynsz z góry i uzyskał zezwolenie na ponowne odwiedzenie pokoju celem wykonania pomiarów.

Babsztyl użyczył mi swojego centymetra krawieckiego.

Tym razem dozorczyńni pozwoliła mi pójść samemu. Natychmiast podszedłem do okna. Jest jeszcze lepiej, niż myślałem. Dwa dolne piętra są nierównej wysokości, dzięki czemu widzę mieszkanie Sophie nieco z góry.

Wcześniej nie zauważyłem, że w rzeczywistości mam widok na dwa okna.

Salonu i sypialni. W obu wiszą muślinowe zasłony. Natychmiast sięgnąłem po pióro i w moim zeszytiku spisałem listę rzeczy do kupienia.

Wychodząc, zostawiłem dobrze przemyślany napiwek.

Trzynasty sierpnia

Świetna jest ta luneta. Sprzedawca w sklepie ze sprzętem optycznym wyglądał na znajomego się na rzeczy. Sklep odwiedzają wszelkiej maści astronomowie amatorzy, ale na

pewno też różni w miarę zorganizowani i dysponujący pewnymi środkami podglądacze. Pomyślałem o tym, kiedy zaproponował mi urządzenie na podczerwień, które zakłada się na lunetę i które umożliwia widzenie nocą i robienie cyfrowych zdjęć. Fantastyczna rzecz. Mam teraz w pokoju wszystko, co trzeba.

Dozorczyni była trochę rozczarowana, że nie dałem jej, jak inni lokatorzy, zapasowych kluczy, ale nie życzę sobie, żeby do mojej kwatery głównej przychodziła na przeszpiegi. Zresztą i tak nie mam większych złudzeń - na pewno klucze ma. Zainstalowałem więc sprytny system umożliwiający otworzenie drzwi tylko na pewną szerokość i zadbałem o to, żeby ten kąt pokoju, który wtedy widać, był pusty. Nieźle to rozegrałem. Trudno będzie kobiecie znaleźć powód, bym wyjaśnił jej, skąd się wzięła ta przeszkoda, będąca dla niej na pewno czymś nowym.

Zawiesiłem na ścianie wielką białą planszę z flamastrami i korkową tablicę, mam też do dyspozycji mały stolik. Przyniosłem również cały sprzęt, który miałem już wcześniej. Kupiłem nowy komputer, tym razem laptop, oraz kolorową drukarkę. Jedyne problemy w tym, że nie mogę przychodzić tak często, jak bym chciał, przynajmniej na początku, żeby nie wzbudzić podejrzeń i nie spalić scenariusza, który na poczekaniu wymyśliłem, żeby wynająć pokój. Za jakiś czas udam, że w mojej pracy nastąpiły zmiany uzasadniające częstsze wizyty.

Szesnasty sierpnia

Od spotkania Sophie nie miałem ani razu ataku paniki. Choć nadal od czasu do czasu zdarza się, że zasypiam dość spięty - kiedyś zapowiadało to nocne stany lękowe, prawie zawsze kończące się tym, że budziłem się gwałtownie zlany potem. To dobry znak. Myślę, że Sophie pomoże mi się wyleczyć. Jak na ironię, im jestem spokojniejszy, tym bardziej czuję obecność mamy. Zeszłej nocy rozłożyłem na łóżku jej suknię, chcąc na

nią popatrzeć. Jest już trochę spłowiała, materiał stracił dawną jedwabistą fakturę i mimo czyszczenia, kiedy spojrzeć z pewnej odległości, wyraźnie widać ciemne smugi.

Była bardzo zakrwawiona. Te plamy mnie przez długi czas irytowały. Chciałem, żeby suknia odzyskała tę idealną świeżość, jaką musiała mieć w dniu ślubu. Ale ostatecznie jestem nawet zadowolony, że nadal je widać, ponieważ mnie motywują. W nich zawiera się całe moje życie. One wyobrażają moją egzystencję, ucieleśniają moją wolę.

Położyłem się na sukni i zasnąłem.

Siedemnasty sierpnia

Sophie i Vincent wrócili wczoraj w nocy. Zaskoczyli mnie. Chciałem ich powitać. Dziś rano, kiedy się obudziłem, okna u nich były już szeroko otwarte.

Ale to nie problem, i tak wszystko było już gotowe na ich powrót.

Jutro wczesnym rankiem Sophie odwozi Vincenta na lotnisko. Nie wstawałem, żeby zobaczyć ich wyjazd. Wystarczyła mi informacja ze skrzynki mailowej Sophie.

Dwudziesty trzeci sierpnia

Na dworze panuje niesamowity upał. Czasami muszę siedzieć w samym Tshircie i w szortach. A że podczas obserwacji wolę nie otwierać okna, szybko robi się gorąco jak w piekle. Przyniosłem wprawdzie wentylator, ale jego szum mnie denerwuje. Więc tkwię na swoim stanowisku obserwacyjnym spocony jak mysz.

Ale efekty tych czatów rekompensują mi wszystko, i to z nawiązką.

Tamci nie boją się, że ich ktoś zobaczy. Po pierwsze dlatego, że mieszkanie znajduje się na samej górze; poza tym budynek naprzeciwko, mój, ma tylko cztery okna, z których można

zobaczyć ich wnętrze. Dwa są zabite od środka.

Moje jest zawsze zamknięte, co każe przypuszczać, że nikt tam nie mieszka.

Pokój obok mnie zajmuje jakiś oryginał, muzyk czy coś w tym rodzaju, który żyje po ciemku i wychodzi o różnych najdziwniejszych porach, jakkolwiek przestrzegając obowiązujących reguł. Dwa, trzy razy w tygodniu słyszę, jak po cichu wraca.

Obojętnie, o której przychodzą do domu Sophie i Vincent, ja trwam na moim posterunku obserwacyjnym.

Ze szczególną uwagą śledzę ich zwyczaje. Zwyczaje to coś, co najmniej się zmienia, coś solidnego, baza. Coś, czego tak łatwo się nie zarzuca. Nad tym właśnie muszę popracować. Na razie wystarczają mi drobne sprawy. Na przykład rozpracowuję kolejność pewnych faktów i czynności. I tak, biorąc prysznic i robiąc toaletę, Sophie spędza prawie dwadzieścia minut w łazience. Uważam, że to mnóstwo czasu, ale cóż, w końcu jest dziewczyną. Mało tego, z łazienki wychodzi w szlafroku i potem znów wraca, żeby się umalować, a często jeszcze raz, żeby poprawić makijaż.

Starannie wyliczywszy czas, i pod nieobecność Vincenta, postanowiłem to wykorzystać. Kiedy Sophie zniknęła w łazience, wszedłem do ich mieszkania, zabrałem zegarek, który zostawia na stoliku przy łóżku, i wyszedłem. Bardzo ładne cacko. Z napisu wygrawerowanego na odwrocie koperty wynika, że w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku ofiarował go jej ojciec z okazji ukończenia studiów.

Dwudziesty piąty sierpnia

Właśnie poznałem ojca Sophie. Łączy ich wyraźne podobieństwo rodzinne. Przyjechał wczoraj. Sądząc z wielkości jego walizki, długo u nich nie zabawi. To mężczyzna koło sześćdziesiątki, wysoki, szczupły, elegancki. Sophie go uwielbia. Chodzą razem do restauracji jak zakochana para. Kiedy na nich patrzę, nie mogę się opędzić przed

wspomnieniem czasów, kiedy żyła jeszcze pani Auverney, matka Sophie. Myślę, że czasem o niej rozmawiają. Ale nigdy nie będą myśleć o niej tak często jak ja. Gdyby wciąż żyła, nie byłibyśmy tutaj...

Co za galimatias.

Dwudziesty siódmy sierpnia

Patrick Auverney, urodzony 2 sierpnia 1941. Dyplom architekta w 1969 (Paryż). Ślub z Catherine Lefebvre 8 listopada 1969. Założyciel w 1971 agencji R'Ville razem z Samuelem Gégnaud i Jeanem François Bernardem (wspólnicy): siedziba na rue Rambuteau 17, potem na rue de la TourMaubourg 63 (Paryż). 1974 - narodziny jedyne dziecko, córki Sophie. 1975 - zamieszkanie państwa Auverney na avenue d'Italie 47 w Paryżu. Rozwód orzeczony 24 września 1979. 1980 - kupuje dom i osiada w NeuvilleSainteMarie. Poślubia Françoise BarretPruvost 13 maja 1983. Śmierć Françoise 16 października 1987 (wypadek drogowy). W tym samym roku sprzedaje swoje udziały w agencji. Mieszka sam. Nadal doradza w sprawach dotyczących architektury i urbanistyki, zwłaszcza w strukturach swojego regionu.

Dwudziesty ósmy sierpnia

Pan Auverney spędził u nich tylko trzy dni. Sophie odwiozła go na dworzec. Spieszyła się do pracy i nie mogła czekać do odjazdu pociągu. Ja zostałem. Obserwowałem go. Przy okazji zrobiłem kilka zdjęć.

Dwudziesty dziewiąty sierpnia

Nawet w sierpniu nie jest łatwo zaparkować na ulicy. Nieraz widzę, jak Sophie krąży po dzielnicy, zanim znajdzie wolne

miejsce, czasami bardzo daleko od domu.

Najczęściej Sophie i jej mąż jeżdżą metrem. Ona bierze samochód tylko wtedy, kiedy jej praca wymaga udania się na przedmieścia lub kiedy musi coś przewieźć. W pobliżu są dwie ulice, gdzie nie ma jeszcze parkomatów. Wszyscy w dzielnicy je znają i na nieliczne wolne miejsca natychmiast znajdują się chętni. Czasami Sophie korzysta z najbliższego parkingu publicznego.

Dziś wieczorem wróciła koło dziewiętnastej i, jak często o tej porze, nie było żadnego wolnego miejsca. Zaparkowała na miejscu przeznaczonym dla inwalidów (nieładnie, Sophie! jaki brak obywatelskiego ducha!), zaniósła do mieszkania jakieś trzy wielkie pakunki i z prędkością światła zbiegła z powrotem. Od razu zauważyłem, że zapomniała torebki. Zostawiła ją na górze.

Ledwie wsiadła do samochodu, poszedłem szybko do mieszkania. Byłem rozgorączkowany, ale w duchu powtarzałem te czynności już ze dwadzieścia razy. Zostawiła torebkę na małym stoliku przy wejściu. Wyjąłem z niej portfel i zamieniłem jej nowy dowód na ten, który ukradłem jej w lipcu. Nieszzybko się zorientuje. Bo kto przygląda się własnemu dowodowi?

Dopiero zacynam zasiewać ziarno.

Pierwszy wrzesień

Obejrzałem ich zdjęcia z wakacji. Vincent zostawił je w cyfrowym aparacie. Boże, ale błazenada! Oto Sophie na Akropolu, oto Vincent na statku u wybrzeży Cykladów... Co za nudy! Mimo to połów się udał. Mają po trzydzieści lat. W ich życiu wiele miejsca zajmuje seks. Zrobili sobie świńskie zdjęcia. Nic nadzwyczajnego. Najpierw Sophie ze skupioną miną (znajdują się na słońcu) masuje sobie piersi, potem kilka nieudanych ujęć, kiedy Vincent bierze ją od tyłu, ale również mnie trafiła się, że tak powiem, gratka: na czterech czy pięciu zdjęciach Sophie robi mu laskę.

Wyraźnie widać, że to ona. Zrobiłem cyfrowe kopie i kolorowe odbitki.

Piąty września

Oto głupota z rodzaju tych, jakich kobieta nie powinna zbyt często popełniać. Dziś wieczorem Sophie zorientowała się, że pogubiła się z pigułką. A choć ma to idealnie dopracowane, wyraźnie widzi, że w listku brakuje jednej, tej, którą miała wziąć dzisiaj. Nie to, że pomyliły jej się dni, tylko że jednej po prostu brakuje.

Dziesiąty września

Wszystko jest kwestią zręczności, lekkości. Należy działać z wyczuciem, rozgrywać partię finezyjnie. Obserwowałem z daleka, przez krótki czas, ale często, sposób, w jaki Sophie robi na przykład zakupy. W Monoprix na rogu ulicy. Prawie nigdy nie uświadamiamy sobie, jak szybko nabieramy przyzwyczajęń w najdrobniejszych nawet sprawach. Tak więc Sophie wybiera prawie zawsze te same produkty, po magazynie krąży prawie zawsze tą samą trasą, wykonuje prawie zawsze te same ruchy. I po odejściu od kasy prawie zawsze zostawia torbę z zakupami na ladzie obok wózków i staje w kolejce do stoiska z pieczywem. Wczoraj wieczorem podmieniłem jej masło i zastąpiłem paczkę kawy drugą innej marki. Drobnie posunięcia, dyskretne, krok za krokiem.

To głupie, ale istotne: stopniowo czynić postępy.

Piętnasty września

Wczoraj Sophie zarezerwowała przez Internet dwa bilety do teatru Vaugirard na dwudziesty drugi października. Chce obejrzeć Wiśniowy sad (wciąż to jej upodobanie do Rosjan!) z

jakimś aktorem filmowym, nie pamiętam już nazwiska. Wcześniej się za to zabrała, bo spektakl miał być grany przy pełnej sali. Nie ma rezerwacji, nie ma miejsca. Nazajutrz wysłałem z jej konta mail z poleceniem przesunięcia rezerwacji o tydzień później. Miałem szczęście, bo zostało już tylko kilka wolnych miejsc. Wiem, co robię, bo jak wynika z notesu Sophie, tego dnia są zaproszeni na kolację firmową u Lanzera. A że notatka jest podwójnie podkreślona, spotkanie musi być dość ważne. Pamiętałem, żeby skasować mail ze zmianą rezerwacji oraz potwierdzeniem nowej daty z teatru.

Dziewiętnasty września

Nie wiem, czy Sophie miała dziś rano jakieś spotkanie, lecz nie przyjechała do pracy na czas. Ukradziono jej samochód! Wychodzi z domu - przynajmniej raz udało jej się znaleźć miejsce na ulicy bez parkometrów! - a tu samochodu nie ma. Więc komisariat, zgłoszenie kradzieży itd., a wszystko zajmuje mnóstwo czasu...

Dwudziesty września

Można wygadywać, co się chce, na policję, ale od czasu do czasu dobrze jest skorzystać z jej pomocy. Jednak Sophie z powodzeniem by się bez niej obyła. Napisała o tym do swojej przyjaciółki i powierniczki, Valerie. Nie minął dzień i policja znalazła jej auto... na sąsiedniej ulicy. Sophie zgłosiła jego kradzież, a tymczasem zwyczajnie zapomniała, gdzie je zostawiła. Policjanci byli uprzejmi, ale mimo wszystko - ileż zamieszania, ileż wypełniania papierów, nie powinna być aż tak roztargniona...

Gdybym mógł, doradziłbym Sophie sprawdzenie zapłonu, który trochę szwankuje.

Dwudziesty pierwszy września

Od powrotu z wakacji moje gołąbki często wyjeżdżają na weekend, a czasami nawet na cały dzień w tygodniu. Nie wiem, dokąd jeżdżą. A przecież o tej porze roku trochę za późno na wypadu na wieś. Dlatego wczoraj postanowiłem za nimi pojechać.

Nastawiłem budzik na bardzo wczesną godzinę. Ledwo zwlokłem się z łóżka, bo ostatnio z trudem zasypiam, miewam niespokojne sny, rano budzę się wykończony. Zatankowałem motocykl do pełna. Kiedy zobaczyłem, że Sophie zaciąga zasłony, trwałem już w gotowości na rogu ulicy. Wyszli z budynku punkt ósma. Musiałem wykazać się niebywałą zręcznością, żeby mnie nie zauważyli. Parę razy musiałem nawet zaryzykować. A wszystko to na nic... Tuż przed wjazdem na autostradę Vincent wcisnął się między dwa auta, próbując przejechać na pomarańczowym świetle. Odruchowo pojechałem za nim, co było nieostrożne, bo dosłownie w ostatniej chwili zdążyłem zahamować, żeby nie uderzyć w jakiś samochód, wpadłem w poślizg, straciłem kontrolę nad maszyną, motor się przewrócił i razem ze mną poleciał ślizgiem dobre dziesięć metrów.

Nawet nie wiedziałem, czy jestem ranny, czy tylko obolały... Usłyszałem, że ruch na szosie nagle się zatrzymał, jak w filmie, w którym zniemacka wyłączono dźwięk... Mogłem być ogłuszony, oszołomiony, w szoku, a tu nie, zachowałem niesamowitą trzeźwość umysłu. Widziałem, jak Sophie i Vincent wysiadają z samochodu i podbiegają razem z innymi kierowcami; cała ta chmara ludzi rzuciła się w moją stronę. Czulem w sobie przyływ niebywałej energii. Kiedy pierwsi, którzy dobiegli, pochylali się nade mną, zdążyłem się już wydostać spod motoru. Stałem na nogi i znalazłem się twarzą w twarz z Vincentem.

Nadal miałem na głowie kask z opuszczonym daszkiem z pleksi, a on stał dokładnie naprzeciwko mnie. Powiedział: „Lepiej było się nie ruszać”. Obok niego Sophie z zalęknionym spojrzeniem, z rozchyłonymi ustami. Nigdy dotąd nie

widziałem jej z tak bliska. Wszyscy zaczęli wyrażać swoje zdanie, udzielać mi rad, zaraz przyjedzie policja, powinienem zdjąć kask, powinienem usiąść, motor wpadł w poślizg, za szybko jechał, nie, to samochód nagle zmienił pas, a Vincent położył mi dłoń na ramieniu. Odwróciłem się i spojrzałem na motor.

Najdziwniejsze, że silnik nadal pracował. Wyglądało na to, że bak nie został uszkodzony, postąpiłem krok w jego stronę, a wtedy jakby ktoś po raz drugi wyłączył dźwięk. Raptem wszyscy umilkli, zastanawiając się, dlaczego odsuwam rękę faceta w brudnym Tshircie i pochylałam się nad swoją maszyną. I wtedy zorientowali się, że zamierzam ją podnieść. Rozległy się jeszcze głośniejsze komentarze. Niektórzy zachowywali się tak, jakby chcieli mi przeszkodzić, ale zdążyłem już postawić motor z powrotem na kołach. Byłem zimny jak lód, wydawało mi się, że krew zastygła mi w żyłach. W kilka sekund byłem gotów do odjazdu. Nie mogłem się powstrzymać, by nie obrócić się jeszcze raz do Sophie i Vincenta, przyglądających mi się z niedowierzaniem.

Moja determinacja musiała wzbudzić w nich lęk. Przy wtórze krzyków zgromadzonych wystartowałem.

Znali teraz mój motor, znali mój kombinezon, będę musiał kupić nowe.

Kolejne koszty. W mailu do Valerie Sophie wyraża przypuszczenie, że motocyklista uciekł, bo jego motor był skradziony. Mam nadzieję, że następnym razem uda mi się zachować większą dyskrecję. To wydarzenie nimi wstrząsnęło; przez jakiś czas będą zwracali uwagę na facetów na motorach, będą patrzyli na nich innym wzrokiem.

Dwudziesty drugi września

Obudziłem się w środku nocy zlany potem, spięty, roztrzęsiony. Nic dziwnego po tym, jak wczoraj najadłem się tyle strachu. Śniło mi się, że Vincent staranował mój motor. Zacząłem się unosić nad asfaltem, mój kombinezon zmieniał

kolor, zrobił się całkiem biały. Nie trzeba być wielkim mędrce, by domyślić się oczywistej symboliki tego snu: jutro jest rocznica śmierci mamy.

Dwudziesty trzeci września

Od kilku dni czuję się smutny i osowiały. Nie powinienem być w żadnym wypadku ryzykować eskapady na motorze w takim stanie osłabienia i nerwowości. Od jej śmierci śniły mi się różne rzeczy, często prawdziwe sytuacje, które kiedyś zarejestrował mój umysł. Wciąż nie mogę się nadziwić fotograficznej niemal dokładności tych wspomnień. Gdzieś w jakimś zakamarku mojego umysłu musi siedzieć szalony kinooperator, który od czasu do czasu wyświetla scenki typu: mama siedząca w nogach mojego łóżka opowiada mi bajki. Takie banały byłyby przygnębiające, gdybym nie słyszał jej głosu. Jego szczególna intonacja przenika mnie, przyprawia o dreszcz od stóp do głów.

Mama nigdy nie wyszła z domu, wcześniej nie spędziwszy ze mną chociaż chwili. Pamiętam pewną babysitter, studentkę z Nowej Zelandii... Dlaczego akurat ta powraca do mnie w snach częściej niż inne? O to trzeba by zapytać kinooperatora. Mama mówiła po angielsku z bezbłędnym akcentem. Całymi godzinami czytywała mi angielskie bajki. Nie byłem dzieckiem specjalnie zdolnym, lecz ona wykazywała anielską cierpliwość. Niedawno przypomniały mi się znowu dni wakacji. Ona i ja w naszym domu w Normandii (ojciec przyjeżdżał tylko na weekendy). Nasze szalone chichoty w pociągu. Cały rok wspomnień na nowo ożywa... Ale o tej porze roku operator dobywa wciąż te same taśmy: mama, zawsze w bieli, wyfruwa przez okno. I zawsze w tym śnie ma dokładnie taką samą twarz, jaką zapamiętałem u niej ostatniego dnia. Było przepiękne popołudnie. Mama długo wyglądała przez okno. Mówiła, że kocha drzewa. Siedziałem w jej sypialni, próbowałem z nią rozmawiać, ale słowa przychodziły mi z trudem. Sprawiała wrażenie okropnie zmęczonej. Jakby całą swą energię skupiła

na tym wpatrywaniu się w drzewa. Od czasu do czasu odwracała się do mnie i uśmiechała. Jak uwierzyć, że ten widok, ta chwila były ostatnimi? A przecież ową chwilę zachowałem w pamięci jako milczącą, lecz dojmująco szczęśliwą. Mama i ja stanowiliśmy jedno. Wiedziałem o tym. Kiedy wychodziłem z jej sypialni, złożyła na moim czole jeden z tych gorących pocałunków, jakich nigdy już potem nie znalazłem. Powiedziała: „Kocham cię, synku”. Zawsze to mówiła, kiedy wychodziłem.

A potem w tym filmie opuszczam jej pokój, schodzę po schodach, a kilka sekund później ona nagle rzuca się przez okno, jakby nic nie mogło jej przed tym powstrzymać. Jakbym ja nie istniał.

I właśnie dlatego tak ich nienawidzę.

Dwudziesty piąty września

Zdobyłem potwierdzenie. Przed chwilą Sophie powiadomiła swoją przyjaciółkę Valerie, że szukają domu w okolicy na północ od Paryża. Ale nadal zdaje się robić z tej sprawy wielką tajemnicę. Moim zdaniem to dziecinada.

Dziś są urodziny Vincenta. Wczesnym popołudniem poszedłem do ich mieszkania. Z łatwością znalazłem prezent, ładną paczuszkę wielkości książki i z logo - proszę, proszę! - Lancela. Po prostu schowała ją w szufladzie z bielizną.

Zabrałem ją i wyszedłem. Wyobrażam sobie tę panikę dziś wieczorem, kiedy będzie chciała wręczyć mu prezent... Przetrząśnie cały dom. Za dwa, trzy dni go odniosę. Postanowiłem, że schowam go w jej szafce w łazience za flakonami i kosmetykami...

Trzydziesty września

Moi sąsiedzi z naprzeciwka żyją przy otwartych oknach. Dzięki temu przed dwoma dniami, kiedy Sophie z mężem

późnym popołudniem spotkali się w domu, zobaczyłem, jak się kochali. Wszystkiego, niestety, nie widziałem, ale i tak było to dość emocjonujące. Moje gołąbeczki zdają się nie mieć zbyt wielu tabu: uprawiają miłość francuską, kochają się tak i siak, ach, piękna szalona młodość. Zrobiłem im trochę zdjęć. Ten aparat cyfrowy, który kupiłem, też jest super. Obrabiam fotki na swoim małym laptopie, te najlepsze drukuję i przypinam na korkowej tablicy. Która zresztą szybko się zappełniła i teraz również spora część pokoju jest wytapetowana fotografiami mojej parki. Bardzo mi to pomaga w koncentracji.

Wczoraj wieczorem, kiedy zgasili światło i poszli spać, ja, leżąc na łóżku i wpatrując się w te zdjęcia, w końcu dość niewyraźne, poczułem nagły przyływ czegoś na kształt żądy. Postanowiłem więc spróbować szybko zasnąć. Sophie jest czarująca, z tego, co widać, pieprzy się całkiem nieźle, ale nie mieszajmy jednego z drugim. Wyraźnie czuję, że powinienem jak najmniej angażować się uczuciowo. Już i tak z trudem bronię się przed antypatią do jej męża.

Pierwszy października

Wykonałem kilka symulacji, zakładając sobie konta na bezpłatnych serwerach. Mój plan obecnie dojrzał i mogę rozpocząć operację pod hasłem „chaos w mailach”. Minie trochę czasu, nim Sophie się zorientuje, ale niektóre jej maile noszą teraz datę o dzień wcześniejszą lub o dzień późniejszą niż prawdziwa data ich wysłania. Czasem umysł potrafi płać różne figle...

Szósty października

Sprzedaż motoru, kupno nowego i zmiana kombinezonu nie zajęły mi oczywiście całego miesiąca, ale przeżyłem kryzys wiary w siebie. Czuję się jak kierowca, który zaliczył wypadek i boi się z powrotem usiąść na motorze.

Musiałem przemóc w sobie te strachy. Dzięki temu, nawet jeśli nie ma już we mnie śladu dawnej beztroski, wszystko poszło dobrze. Pojechali autostradą północną na Lille. Ponieważ wieczorem zawsze wracają do Paryża, liczyłem, że nie wybierają się daleko, i miałem rację. Sprawa jest w gruncie rzeczy prosta: Sophie i jej mąż szukają domu na wsi. Mieli spotkanie w agencji nieruchomości.

Ledwie zdążyli wejść, a już zaraz wyszli z facetem wyposażonym w cały zestaw - garnitur, buty, fryzura, teczka z dokumentami pod pachą oraz mina „profesjonalisty i kumpla” - typowy dla przedstawicieli tej profesji. Podążyłem za nimi, co jednak okazało się już bardziej skomplikowane z powodu wąskich dróg. Podjeżdżali pod dom, patrzyli, wygłaszali uwagi jak architekci, dłużej lub krócej oglądali wnętrze, wychodzili, robili rundkę dookoła domu z minami wyrażającymi rezerwę, zadawali jeszcze kilka pytań i ruszali do następnego. Po oględzinach drugiego zdecydowałem się wracać do Paryża.

Szukają dużego domu. Stać ich oczywiście na taki. Te, które zwiedzili, znajdowały się głównie na wsi lub na obrzeżach różnych smętnych miasteczek, ale zawsze posiadały wielki ogród.

Nie sądzę, żeby ich chęć spędzania weekendów na wsi mogła mi się do czegoś przydać. Na razie nie uwzględniam tego w planie, który zaczynam obecnie opracowywać.

Dwunasty październik

Z testów, które Sophie robi sama sobie, widzę, że zaczyna poważnie powątpiewać w swoją pamięć. Pozwoliłem sobie na interwencję w jej drugi test, zmieniając godzinę. Wystarcza mi manipulowanie tylko niektórymi datami, co jest działaniem o tyle bardziej podstępny, że z pozoru nie ma tu żadnej logiki.

Sophie jeszcze tego nie wie, ale powoli jej logiką stanę się ja.

Dwudziesty drugi października

Dziś wieczorem siedziałem w oknie, chcąc zobaczyć powrót moich gołąbeczków z teatru. Przyszli bardzo wcześnie... Sophie sprawiała wrażenie równie zmartwionej, co wścieklej na siebie. Vincent miał nadąsaną minę człowieka zirytowanego, że poślubił taką kretynkę. Przy wejściu do teatru musiało się rozegrać niezłe przedstawienie. Człowiekowi zdarzy się coś takiego jeszcze dwa, trzy razy i zwątpi we wszystko.

Zastanawiam się, czy Sophie znalazła swój stary dowód i jak się czuła, zobaczywszy w łazience urodzinowy prezent dla Vincenta...

Trzydziesty października

Sytuacja u Sophie nie wygląda dobrze. Ton jej maila do Valerie wiele mówi o jej stanie ducha. To oczywiście tylko drobiazgi, ale właśnie w tym rzecz; gdy sprawa jest poważna, można spróbować ją opisać, jakoś sobie tłumaczyć, ale to, co się dzieje teraz, jest nieuchwytnie, banalne... Niepokojące jest natomiast spiętrzenie tego. Zapomnieć... nie, to nie to... zgubić pigułkę?

Niechący wziąć ją dwa razy? Kupować rzeczy nielogiczne, zapomnieć, gdzie zaparkowało się samochód, nie wiedzieć, gdzie schowało się prezent urodzinowy dla męża... Można by to uznać za zwykłe incydenty. Ale znaleźć potem ten prezent w miejscu tak dziwnym jak łazienka i nie pamiętać, że się go tam schowało? Wysłać mail w poniedziałek i przekonać się, że został jednak wysłany we wtorek, mieć namacalny dowód zmiany rezerwacji biletów do teatru i zupełnie nie móc przypomnieć sobie, kiedy się to zrobiło...

Sophie opisuje wszystko Valerie. Rzeczy te dzieją się sukcesywnie. Z

Vincentem jeszcze o tym nie rozmawiała. Będzie musiała, jeśli nic się nie zmieni.

Źle sypia. W jej łazience znalazłem lek ziołowy, typowy

babski medykament. W płynie, łyżeczka wieczorem przed zaśnięciem. Nie przypuszczałem, że tak szybko do tego dojdzie.

Ósmy listopada

Odwiedziłem przedwczoraj siedzibę domu aukcyjnego Percy's. Sophie nie było w pracy. Wcześniej rano ona i Vincent wyjechali samochodem.

Udając, że jestem zainteresowany najbliższą aukcją, nawiązałem miły kontakt z dziewczyną z recepcji.

Moja strategia jest prosta: kobiet więcej niż mężczyzn. A idealną ofiarą byłaby singielka, lat trzydzieści pięć - czterdzieści, bezdzietna.

Ta z recepcji jest dość gruba, puciołowata, okropnie wyperfumowana, nie nosi obrączki i nie pozostaje obojętna na mój uśmiech (ani na kilka tanich żartów na temat współczesnych dzieł prezentowanych w katalogu najbliższej aukcji). Wiem, że będę musiał rozegrać to z wielkim wyczuciem, ale ona właśnie może być osobą, której szukam. O ile wystarczająco dobrze zna Sophie.

Jeśli nie, możliwe, że niechęć wskaże mi inną, bardziej się nadającą.

Dwunasty listopada

Internet jest gigantycznym supermarketem prowadzonym przez zbrodniarzy. Znaleźć w nim można wszystko; broń, narkotyki, dziewczyny, dzieci, absolutnie wszystko. To tylko kwestia cierpliwości i środków. Jednego i drugiego mi nie brakuje. Zapłaciłem kupę kasy, ale to nieistotne, natomiast dwa miesiące czekania przyprawiało mnie o obłąd. Nieważne, w końcu dostałem ze Stanów przesyłkę, a w niej sto małych różowych kapsułek. Spróbowałem towaru; są całkowicie pozbawione smaku, więc znakomicie. Początkowo był to lek przeciwko otyłości, mający opinię rewolucyjnego. Na początku

roku 2000 laboratorium sprzedawało go tysiącami, głównie kobietom. Bo faktycznie, w walce z otyłością czegoś podobnego jeszcze nie było. Ale okazało się, że środek ten podnosi poziom monoaminooksydazy. Stymuluje enzym, który niszczy neuroprzekazniki: molekula zwalczająca otyłość była również rodzajem „prodepresanta”. Uświadomiła to dopiero wielka liczba samobójstw. W najbardziej demokratycznym kraju świata laboratorium bez problemu zatuszowało skandal. Uniknęło procesu za sprawą najpotężniejszego czynnika paraliżującego poczucie sprawiedliwości - książeczki czekowej. Schemat jest prosty: wobec stanowczego sprzeciwu dorzuca się jedno zero. Czemuś takiemu nikt się nie oprze. Produkt został wycofany z rynku, ale nikt oczywiście nie był w stanie odzyskać tysięcy sprzedanych już kapsulek, które natychmiast stały się przedmiotem handlu, udostępnionego przez Internet całej planecie. Ten środek jest autentyczną bombą wymierzoną w człowieka, a mimo to, aż trudno uwierzyć, idzie jak świeże bułeczki. Są tysiące dziewczyn, które wolą śmierć niż nadwagę.

Skoro już, to nabyłem też flunitrazepam, nazywany pigułką gwałtu.

Wywołuje on apatię, a potem zaburzenia umysłowe dające objawy amnezji. Nie sądzę, bym w najbliższym czasie był zmuszony z niego skorzystać, ale na to też muszę być przygotowany. Do mojej apteczki dodałem supersilny środek działający usypiająco i znieczulająco. Z ulotki wynika, że efekt jest po kilku sekundach.

Trzynasty listopada

W końcu się zdecydowałem. Przez piętnaście dni wahałem się, ważyłem korzyści i zagrożenia, zgłębiałem rozwiązania techniczne. Na szczęście technologia w ostatnich latach poszła bardzo naprzód i to właśnie sprawiło, że zdecydowałem się na ten krok. Uznałem, że wystarczą trzy mikrofony. Dwa w salonie, trzeci oczywiście w sypialni. Są bardzo dyskretne, średnicy trzech milimetrów, włączają się na głos, nagrywają na

mikrotaśmach o wysokiej pojemności. Jedyny problem to ich odzyskanie. Rejestrator dźwięku umieściłem we wnęce z wodomierzem. Będę musiał uważać na gościa, który spisuje stan licznika. Najczęściej administrator budynku kilka dni wcześniej wiesza obok skrzynek pocztowych zawiadomienie o jego wizycie...

Szesnasty listopada

Efekt jest nadzwyczajny: wszystko nagrywa się idealnie. Słyszę ich, jakbym był na miejscu. Skądinąd jestem... Sprawia mi to mnóstwo frajdy.

Zupełnie jakby los chciał mnie nagrodzić za tę inicjatywę, już pierwszego wieczoru miałem okazję wysłuchać radiofonicznej wersji ich igraszek miłosnych. Dość dziwne uczucie. Wiem teraz o niej sporo rzeczy prawdziwie intymnych...

Dwudziesty listopada

Sophie nie może zrozumieć, co dzieje się z jej mailami. Założyła nową skrzynkę. I jak zwykle, by uniknąć sytuacji, że zapomni hasła, zapisała cały kod dostępu na komputerze. Który wystarczy teraz włączyć i, dzięki jej naiwności, ma się dostęp do wszystkiego. Zresztą nawet jeśli postanowi zastosować inną metodę, hasło i tak zdobędę, tyle że zajmie mi to więcej czasu. W listach do Valerie często wspomina o swoim „zmęczeniu”. Píše, że nie chce zawracać Vincentowi głowy takimi drobiazgami, ale uważa, że coraz częściej zdarzają jej się luki w pamięci i robienie rzeczy „irracjonalnych”. Valerie uważa, że powinna iść do lekarza. Ja też jestem tego zdania.

Tym bardziej że fatalnie sypia. Zmieniła lek, teraz łyka niebieskie kapsułki. Dla mnie to znacznie wygodniejsze: kapsułki równie łatwo otwiera się, co zamyka, a poza tym środek nie wchodzi w bezpośredni kontakt z językiem, co jest mi na rękę, bo mój lek nasenny jest lekko słony. Nauczyłem się

dozować go zależnie od jej godzin zasypiania i budzenia się (z nagrań wiem, że lekko się po nim chrapie). Staję się przy niej farmakologicznym ekspertem, molekularnym artystą. Uważam, że steruję obecnie całą sprawą bezbłędnie.

Sophie opowiada o swoich problemach Valerie, skarży się, że zasypia jak kamień, a potem w ciągu dnia snuje się ospała. Aptekarz wysyłają do lekarza, ale Sophie się opiera. Obstaje przy swoich niebieskich kapsułkach. A mnie w to graj.

Dwudziesty trzeci listopada

Sophie zastawiła na mnie pułapkę! Prowadzi własne śledztwo. Wiedziałem, że w ciągu ostatnich kilku dni próbowała sprawdzić, czy ktoś jej nie śledzi. Do głowy by jej nie przyszło, że jest również na podsłuchu. Co nie zmienia faktu, że jej ostatnie posunięcie mnie zaniepokoiło. Uważam, że jeśli zaczęła mieć się na baczności, to dlatego, że popełniłem jakieś błędy. Tylko nie wiem gdzie. I kiedy.

Wychodząc dziś rano z jej mieszkania, zupełnie przypadkowo zauważyłem na wycieracze maleńki brązowy skrawek papieru w kolorze drewna drzwi. Musiała go wetknąć między drzwi i futrynę i kiedy otworzyłem, wypadł. Nie wiadomo, na jakiej wysokości go umieściła. A nie mogłem tkwić zbyt długo pod jej drzwiami. Wszedłem z powrotem do mieszkania, żeby się zastanowić, ale naprawdę nie wiedziałem, co robić. Gdybym go usunął, miałyby potwierdzenie swoich podejrzeń. Umieszczenie go w innym miejscu też potwierdziłoby jej obawy. Ile już takich pułapek na mnie zastawiła, w które wpadłem, nie dostrzegając ich? Naprawdę nie wiedziałem, co robić.

Zdecydowałem się na rozwiązanie radykalne. Zszedłem na dół, kupiłem niewielki łom i wróciłem na podest. Wsunąłem łom w kilka różnych miejsc, otworzyłem nawet drzwi, żeby nie było wątpliwości, że próbowano je wyłamać.

Musiałem działać szybko, bo na klatce jednak rozlegał się hałas, choć starałem się go robić jak najmniej, a budynek nawet w ciągu dnia nigdy nie jest całkiem pusty. Sprawdziłem efekt:

wygląda całkiem wiarygodnie na nieudaną próbę włamania, a szpary w miejscach wetknięcia łomu będą wytłumaczeniem, dlaczego skrawek papieru wypadł.

Mimo to nadal jestem niespokojny. Muszę zdwoić czujność.

Dwudziesty piąty listopada

Kupuję w Monoprix to samo co ona. Dokładnie to samo. Ale w ostatniej chwili przed podejściem do kasy dodaję butelkę zawrotnie drogiej whisky.

Wybieram znajdującą się w ich barku ulubioną markę Vincenta... Kiedy Sophie stoi w kolejce po pieczywo, zamieniam torby i wychodząc, mówię ochroniarzowi, żeby miał oko na tę panią w szarym płaszczu.

Po drugiej stronie ulicy stoję przed bankomatem, żeby wyjąć pieniądze - idealny punkt obserwacyjny - i widzę zaskoczenie Sophie, zatrzymanej przez ochroniarza. Śmieje się. Niedługo. Musi z nim pójść i pokazać, co ma w torbie.

Spędziła w sklepie ponad godzinę. Zjawiło się dwóch policjantów. Nie wiem, co się tam działo. Wyszła z Monoprix załamana. Tym razem już na pewno pójdzie do lekarza. Nie ma innego wyjścia.

Piąty grudnia

Od września regularnie odbywają się u Percy'ego aukcje, a ja wciąż nie rozumiem, dlaczego Sophie na jednych bywa, na innych nie. Nie umiem jej obecności w żaden sposób przewidzieć, ponieważ nie posiadam informacji, co o tym decyduje. Wczorajsza aukcja miała się odbyć wieczorem o dwudziestej pierwszej. Czekałem do kwadrans po dwudziestej pierwszej, a że Sophie wyraźnie nie zamierzała ruszyć się sprzed telewizora, poszedłem na nią sam.

Było mnóstwo ludzi. Stojąca w drzwiach sali dziewczyna z recepcji z uśmiechem wręczała klientom piękne katalogi na

błyszczącym papierze. Od razu mnie rozpoznała, posyłając specjalny, zachęcający uśmiech, na który odpowiedziałem, acz powściągliwie. Aukcja trwała długo. Poczekalem jakąś godzinę i wyszedłem do hallu. Dziewczyna liczyła katalogi, które jej zostały, i wręczała je nielicznym spóźnionym klientom.

Przez chwilę rozmawialiśmy. Dobrze to rozegrałem. Nazywa się Andree; nie znoszę tego imienia. Kiedy stoi, jest jeszcze grubsza, niż gdy siedzi za biurkiem recepcji. Jej perfumy są nadal równie okropne, jakkolwiek z bliska wydały mi się jeszcze okropniejsze. Opowiedziałem jej kilka dykteryjek, których efektu jestem raczej pewny. Rozśmieszyłem ją. Wykonałem ruch, jakbym zamierzał wrócić do sali na dalszy ciąg aukcji, lecz w ostatnim momencie, zrobiwszy już kilka kroków, zagrałem *va banque*. Odwróciłem się i zapytałem, czy zgodzi się pójść ze mną na drinka, kiedy już będzie po wszystkim. Zaczęła się idiotycznie mizdrzyć, ale czułem, że propozycja bardzo jej się spodobała. Dla formy zaznaczyła, że po aukcji jest jeszcze mnóstwo do zrobienia, ale dbała o to, żeby mnie nie zniechęcić. Skutek był taki, że czekałem na nią niecały kwadrans. Wezwałem taksówkę i pojechaliśmy na bulwary.

Pamiętałem pewien lokal naprzeciwko Olympii, bar z przyćmionym światłem, w którym serwują koktajle i angielskie piwo i gdzie można o dowolnej godzinie coś zjeść. Nudny wieczór, ale jestem pewny, że bardzo owocny pod kątem przyszłości.

Dziewczyna wzbudziła we mnie autentyczną litość.

Wczoraj wieczorem podglądałem moje gołąbeczki w trakcie miłosnych igraszek. Sophie wyraźnie nie wkładała w nie serca. Zapewne ma co innego na głowie. Zasnąłem jak zabity.

Ósmy grudnia

Sophie zastanawia się, czy powodem wszystkiego nie jest przypadkiem jej komputer. Zastanawia się, czy ktoś się do niego zdalnie nie podłącza, lecz nie wie, jak to sprawdzić.

Znowu założyła nową skrzynkę, lecz tym razem nie zapisała hasła w komputerze. Potrzebowałam z górą sześciu godzin, żeby się do niej dostać. Skrzynka była pusta. Zmieniłam hasło. Teraz ona nie będzie miała do niej dostępu.

Vincent jest wyraźnie zaniepokojony. W rzeczywistości delikatny z niego facet. Powściągliwie zapytał Sophie, czy u niej wszystko w porządku, ale był to oczywiście eufemizm. W rozmowie telefonicznej z matką wspomniał, że Sophie chyba ma depresję. Matka udawała, że współczuje, co tylko pokazuje, jaką jest hipokrytką. Obie kobiety się nienawidzą.

Dziewiąty grudnia

Dzięki przyjacielowi jej zmarłej matki, z którym utrzymuje luźny kontakt, Sophie udało się szybko załatwić wizytę u specjalisty. Nie wiem, co sobie umyśliła, ale żeby wybrać „terapeutę behawioralnego”... to naprawdę głupie.

Dlaczego nie poszła do jakiegoś porządnego psychiatry? Do kogoś, kto zrobi z człowieka czubka znacznie skuteczniej niż wszyscy inni... Tak jakby przypadek matki niczego jej nie nauczył. Zamiast tego chodzi do doktora Breveta, szarlatana, który, jak pisze w swoim mailu do Valerie, radzi, żeby „zweryfikowała zasadność swoich obaw, ich obiektywność”. I w tym celu ma prowadzić wykazy różnych rzeczy, spisywać daty, wszystko notować. Może się to okazać wyczerpujące.

Robi to w tajemnicy przed mężem, co jest bardzo dobrym znakiem. Dla mnie. A to, co jest dobre dla mnie, jest dobre i dla Sophie.

Dziesiąty grudnia

Bardzo mnie zaniepokoiło to, co usłyszałam u nich wczoraj wieczorem.

Vincent znów zaczął mówić o dziecku. Jak zrozumiałem, nie jest to ich pierwsza rozmowa na ten temat. Sophie opiera się.

Ale z jej głosu wyczuwam, że chętnie dałaby się przekonać. Nie wydaje mi się, żeby naprawdę chciała dziecka, myślę, że pragnie raczej, żeby wreszcie zdarzyło jej się coś normalnego. Skądinąd nie bardzo wiadomo, czy sam Vincent jest w tej sprawie do końca szczerzy. Czy nie uważa, że depresyjne zachowania Sophie są wynikiem niespełnionej potrzeby posiadania dziecka. To oczywiście powierzchowna filozofia. Niejedno mógłbym mu powiedzieć o jego własnej żonie...

Jedenasty grudnia

Kilka dni temu dowiedziałem się, że dzisiaj rano Sophie udaje się do klienta w NeuillysurSeine w sprawie kampanii promocyjnej, za którą jest odpowiedzialna. Oto szuka miejsca, krąży, zawraca i w końcu parkuje. Godzinę później wychodzi, a samochodu nie ma. Nie biegnie na komisariat, znów krąży i szuka, ale teraz już na piechotę, i w końcu znajduje swój wóz grzecznie zaparkowany kilka ulic dalej. Sytuacja wygląda inaczej niż u niej w dzielnicy, brak jej zwykłych punktów orientacyjnych. I już ma od czego zacząć zapiski w zeszytach!

Dwunasty grudnia

Wzdragam się opisywać w moim dzienniku udręki, jakie muszę znosić z tą krową Andree. Dopiero zaczyna mi się do czego przydawać, a już obcowanie z nią z trudem wytrzymuję.

Niemniej kilku rzeczy się dowiedziałem.

Jako attache prasowa Sophie odpowiada też za niektóre kampanie promocyjne, jak w przypadku szczególnie prestiżowych aukcji. Poza tym pracuje nad wizerunkiem firmy, dbając o „właściwy przepływ” informacji.

Jest zatrudniona w domu aukcyjnym od dwóch lat. Dział prasowy obsługują dwie osoby: ona oraz osobnik nazwiskiem Penchenat, pełniący obowiązki szefa. Penchenat pije, jak dowiedziałem się od Andree, która opisując go, stroiła różne

śmieszne miny. Powiedziała, że zionie alkoholem. W ustach osoby gustującej w tak duszących perfumach zabrzmiało to komicznie, ale cóż...

Sophie skończyła studia ekonomiczne. Dostała się do Percy'ego dzięki znajomej, która już odeszła z firmy.

Ona i Vincent wzięli ślub w 1990 roku w merostwie XTV Dzielnicy. A dokładnie trzynastego maja. Andree była na przyjęciu. Tu szczegółowo opisała, co podano do jedzenia; chętnie bym się obył bez tych detali, tym bardziej że nie dowiedziałem się niczego o pozostałych gościach. Zapamiętałem jedynie, że „rodzina męża ma kupę forsy”. I że Sophie nienawidzi teściowej, którą uważa za Jędzę”.

Sophie dobrze się spisuje w pracy. Cieszy się zaufaniem zwierzchników.

Jakkolwiek od pewnego czasu sporo się mówi o jej niesolidności: zapomina o terminach spotkań, zgubiła firmową książeczkę czekową, w ostatnich tygodniach miała stłuczkę w dwóch służbowych samochodach, zapodziała notes, w którym zapisuje spotkania, i przez pomyłkę skasowała akta najważniejszych klientów. Rozumiem to.

Andree opisała ją jako dziewczynę sympatyczną, otwartą, pogodną, z silnym charakterem. Podobno znakomitą profesjonalistkę. Ostatnio nie za dobrze się czuje (co ty powiesz...). Żle sypia, bywa przygnębiona. Mówi, że chodzi do lekarza. Sprawia wrażenie zagubionej. I bardzo samotnej.

Tak naprawdę ona i Andree nie są z sobą blisko, ale w firmie pracuje niewiele kobiet i od czasu do czasu idą razem na obiad. Myślę, że ten posterunek obserwacyjny może się okazać bardzo pożyteczny.

Trzynasty grudnia

Szykując się do świąt, wszyscy biegną jak szaleni i Sophie nie stanowi wyjątku. Dziś wieczorem zakupy we Fnacu. Tłumy ludzi, którzy tłoczą się przy kasach, odkładają swoje torby, żeby zapłacić, kłócą się z innymi klientami, tu i ówdzie coś im się

pomyli... Po powrocie do domu, zamiast znaleźć w torbie płytę Toma Waitsa Real Gone, człowiek znajduje Toma Waitsa, ale - kompletny idiotyzm - Blood Money... A w dodatku widzi, że nabył Dzieci północy Salmana Rushdiego, nie mając pojęcia dla kogo, a że kwit z kasy gdzieś się zapadział, sprawdzić zakupu nie może... Może tylko dodać kolejny dopisek w zeszytach.

Sophie i Andree nie są przyjaciółkami z prawdziwego zdarzenia, wymieniają tylko zdawkowe uwagi. Czy informacje o Sophie i jej mężu, jakich mi dostarczyła Andree, warte są trudnego obcowania z tą tłustą kretynką? Bo właściwie nie dowiedziałem się od niej zbyt wiele. Vincent podobno stoi u siebie w pracy przed wielkim wyzwaniem, a ta perspektywa mobilizuje całą energię małżonków. Sophie nudzi się w swoim domu aukcyjnym. Od śmierci matki bardzo tęskni za ojcem, który mieszka w SeineetMarne. Chciałaby mieć dzieci, ale jeszcze nie teraz. Vincent nie przepada za jej przyjaciółką Valerie. I to by było na tyle... Myślę, że czas skończyć znajomość z tym prosiakiem.

Postępy są niewystarczające. Muszę znaleźć inne źródło informacji.

Czternasty grudnia

Sophie wszystko notuje. Lub prawie wszystko. Nie wie, czy czasami nie zdarzy jej się o czymś zapomnieć. Albo nagle łapie się na tym, że dwa razy zapisała to samo. Sprawa z kradzieżą w supermarkecie w zeszłym miesiącu niebywale nią wstrząsnęła. Strażnicy zamknęli ją w pomieszczeniu bez okien i zmieniali się kolejno, nalegając, żeby podpisała przyznanie się do kradzieży.

Napisała do Valerie, że to okropni idioci, ale mają doświadczenie. Metoda nękania. Nie do końca nawet wiedziała, czego od niej chcą. Potem przyjechali policjanci. Spieszyli się. Już się z nią nie cackali. Miała do wyboru: albo zostanie odstawiona na komisariat i odpowie przed sędzią do wykroczeń, albo przyzna się do kradzieży i podpisze zeznanie. Podpisała. Nie zdoła wytłumaczyć tego Vincentowi, w żadnym

wypadku... Problem w tym, że rzecz się powtórzyła. Teraz będzie jej wszystko dużo trudniej ukryć. W jej torbie znaleziono perfumy i małą kosmetyczkę z przyborami do manikiuru. Ale Sophie ma szczęście. Została zawieziona na komisariat - po przepychance na ulicy - ale dwie godziny później ją wypuszczono. Musiała wymyślić jakiś powód na użytek niecierpliwie na nią czekającego męża.

Następnego dnia znowu zgubiła samochód oraz wiele jeszcze innych rzeczy.

Możliwe, że notowanie wszystkiego jest dobrym rozwiązaniem, ale jak pisze do Valerie: „Staję się paranoiczką, robię się przewrażliwiona... Pilnuję się, jakbym sama sobie była wrogiem”.

Piętnasty grudnia

Moja znajomość z Andree wkroczyła w fazę krytyczną, w której powinienem zaproponować jej łóżko. A ponieważ nie wchodzi to w rachubę, mam problem. Spotkałem się z nią już pięć razy, robiliśmy różne okropnie nudne rzeczy, trzymałem się jednak swojego planu: nie rozmawiać o Sophie, jak najrzadziej poruszać jedyny interesujący mnie temat, czyli jej pracę. Na szczęście Andree jest dziewczyną gadatliwą i bez zahamowań. Opowiedziała mi mnóstwo anegdot o firmie, a ja udawałem zainteresowanie. Śmiałem się razem z nią. Schwyciła mnie za rękę, czemu nie mogłem zapobiec. W irytujący sposób się o mnie ociera.

Wczoraj wieczorem poszliśmy do kina, a potem na drinka do lokalu na Montparnasse, w którym często bywa. Witaa się z różnymi znajomkami, a mnie było trochę wstyd, że pokazuję się z takim pasztetem. Paplała jak najęta, z radosną miną mnie im przedstawiała. Zorientowałem się, że przyprowadziła mnie specjalnie, żeby mnie pokazać, dumna, że może się pochwalić zdobyczą, ewidentnie podnoszącą jej notowania, biorąc pod uwagę wygląd dziewczyny.

Najlepsze, co mogłem w tej sytuacji zrobić, to włączyć się do

gry. Była wniebowzięta. Usiedliśmy przy osobnym stoliku; jeszcze nigdy tak się do mnie nie wdzięczyła. Przez cały wieczór trzymała mnie za rękę. Odsiedziawszy swoje, udałem, że jestem trochę zmęczony. Powiedziała, że to był cudowny wieczór. Wsiadliśmy do taksówki, i wtedy natychmiast wyczułem, że sprawa źle się skończy. W środku od razu bezwstydnie się do mnie przylepiła. Ewidentnie za dużo wypila. Wystarczająco, by postawić mnie w niezręcznej sytuacji. Kiedy dojechaliśmy pod jej dom, byłem zmuszony przyjąć zaproszenie na „strzemienego”. Znalazłem się w kłopotliwym położeniu. Uśmiechała się do mnie, jakby miała do czynienia z osobnikiem chorobliwie nieśmiałym, i oczywiście, kiedy tylko przekroczyliśmy próg, natychmiast wpiła mi się w usta.

Trudno wyobrazić sobie moje obrzydzenie. Ze wszystkich sił myślałem o Sophie i to mi trochę pomogło. Wobec jej namolności (choć powinienem być przygotowany, nigdy jednak nie udało mi się tak naprawdę wczuć w podobną sytuację) wybąkałem, że nie jestem jeszcze „gotowy”. To były pierwsze słowa, jakie przyszły mi wtedy do głowy - jedyny odruch szczerości, na jaki kiedykolwiek zdobyłem się wobec tej dziewczyny. Popatrzyła na mnie z dziwną miną. Zmusiwszy się do głupkowatego uśmiechu, dodałem: „To dla mnie bardzo trudne... Powinniśmy porozmawiać...”. Pomyślała, że kroją się seksualne wyznania, i to ją trochę uspokoiło. Takie dziewczyny z pewnością uwielbiają odgrywanie pielęgniarki przy facecie. Ścisnęła mnie mocniej za rękę, co miało oznaczać: „Nie przejmuj się”. Wykorzystując kłopotliwą sytuację, wziąłem nogi za pas.

Ochłonałem z gniewu dopiero w czasie długiego spaceru nabrzeżem.

Dwudziesty pierwszy grudnia

Przedwczoraj Sophie wróciła do domu z jakąś bardzo ważną pracą dla dyrekcji. Przez dwa wieczory musiała siedzieć do późna w noc, żeby ją wykonać. Śledziłem na swoim komputerze

jej postępy. Widziałem, jak pisze, poprawia, sprawdza, i znów pisze, i poprawia. Przez dwa wieczory. Oceniam, że zajęło jej to łącznie prawie dziewięć godzin. Prawdziwy z niej pracuś, bez dwóch zdań. A dzisiaj rano trach! i nie może znaleźć dyskietki, którą, dałaby głowę, włożyła do torebki przed pójściem spać. Rzuciła się do komputera.

Włączyła go - już była spóźniona - a tu okazuje się, że plik z oryginałem zniknął! Przez godzinę wszystkiego próbowała, grzebała, szukała, płakała. I w końcu pojechała na zebranie dyrekcji bez pracy, którą miała wykonać.

Domyślam się, że nie było jej łatwo.

A jak pech, to pech: tego dnia przypadają urodziny matki Vincenta. Z wściekłości Vincenta - chłopak kocha swoją matkę - wywnioskowałem, że Sophie odmówiła pójścia do niej. Vincent biegł po mieszkaniu i wrzeszczał.

Muszę jak najszybciej odsłuchać taśmę. Ale w końcu Sophie zmieniła zdanie.

Już mieli wyjść, kiedy okazało się, że nie może znaleźć prezentu (który od wczoraj leży u mnie, za kilka dni go odniosę): kolejny atak wściekłości Vincenta. Opuścili mieszkanie koszmarne spóźnieni. Zaraz potem poszedłem tam ja, żeby odmierzyć jej dawkę środka prodepresyjnego.

Dwudziesty trzeci grudnia

Okropnie niepokoję się o Sophie. Tym razem już naprawdę przesadziła. I to jak!

W czwartek wieczorem po ich powrocie z urodzinowej kolacji zorientowałem się, że zdarzyło się coś złego (Sophie od zawsze nienawidzi teściowej, i nie ma oczywiście powodu, żeby teraz się to zmieniło...). Między kobietami doszło do okropnej kłótni. Przypuszczam nawet, że Sophie zażądała, żeby wyszli wcześniej. Przed końcem kolacji urodzinowej! Kiedy się zgubiło prezent, nie urządza się potem takiego skandalu!

Nie wiem dokładnie, jakie padły słowa: najważniejsze Sophie i Vincent powiedzieli sobie w samochodzie w drodze powrotnej

do domu. Gdy wchodzili do mieszkania, byli już na etapie wyzwisk. Nie bardzo mogłem odtworzyć sytuację, ale jestem pewny, że teściowa zachowywała się agresywnie i szydziła z niej. Podzielałam zdanie Sophie: ta kobieta to wiedźma. Podpuszcza jednych na drugich, manipuluje ludźmi, jest obłudna. Tak przynajmniej krzyczała Sophie do Vincenta, dopóki w końcu ten, wykończony i rozjuszony, nie trzasnął drzwiami i nie poszedł spać na kanapie...

Moim zdaniem trochę to trąci wodewilem, no ale co kto lubi. Sophie nie mogła ochłonąć z gniewu. I pewnie wtedy wpadła na ów pomysł... Dzięki pigułkom zapadła w sen głęboki jak śpiączka, ale co mnie zdziwiło, rano wstała.

Chwiała się na nogach, ale wstała. Nie zamienili z Vincentem ani słowa. Zjedli osobno śniadanie. Zanim na nowo zmorzył ją sen, wypila herbatę i zajrzała do swojej skrzynki mailowej. Vincent, trzaskając drzwiami, wyszedł, a wtedy ona na MSN opowiedziała Valerie swój sen: zepchnęła teściową ze szczytu schodów w jej domu, stara potoczyła się po stopniach, odbiła się od ściany, od poręczy i wylądowała na dole ze skrzyconym karkiem. Trup na miejscu. Sen był tak realistyczny - „Hiperrealistyczny, nie uwierzysz...” - że Sophie się obudziła. Nie od razu poszła do pracy. Nie czuła się na siłach zrobić cokolwiek. Valerie, jako dobra przyjaciółka, dotrzymywała jej towarzystwa przez godzinę, po czym Sophie postanowiła wyjść i zrobić zakupy, żeby Vincent dziś wieczorem na dokładkę nie zastał pustego stołu... To właśnie powiedziała do Valerie, kończąc z nią rozmowę: zakupy, mocna herbata, prysznic i jeszcze zdąży zjawić się w biurze i pokazać, że wciąż istnieje. Na etapie numer dwa do akcji wkroczyłem ja. Odwiedziłem jej mieszkanie, żeby się zająć herbatą.

Sophie nie poszła tego dnia do pracy. Drzemała i zupełnie nie pamięta, co robiła. Ale pod koniec dnia do Vincenta zadzwonił jego ojciec: pani Duguet spadła ze schodów i nie żyje.

To wydarzenie Sophie już do reszty załamało.

Dwudziesty szósty grudnia

Dziś odbył się pogrzeb: wczoraj wieczorem widziałem, jak zdruzgotani małżonkowie wychodzą z bagażami i odjeżdżają. Musieli dotrzymać towarzystwa wdowcowi. Sophie zmieniła się nie do poznania. Jest wyczerpana, twarz ma zapadniętą, porusza się jak automat, wygląda, jakby była o krok od załamania.

I trudno jej się dziwić: Boże Narodzenie z trupem na pierwszym piętrze musi być ciężkim przeżyciem. Poszedłem do nich i schowałem prezent dla nieboszczki teściowej z powrotem w rzeczach Sophie. Myślę, że po powrocie z pogrzebu wzruszy ich to odkrycie.

Szósty stycznia 2001 roku

Sophie jest w całkowitej rozsypce. Od śmierci teściowej nie daje jej spokoju okropny lęk o przyszłość. Na wieść o śledztwie mocno się zaniepokoiłem. Na szczęście chodziło o zwykłą formalność. Prawie natychmiast zapadło orzeczenie o śmierci przypadkowej. Ale Sophie, podobnie jak ja, wie najlepiej, co o tym myśleć. Od tej pory muszę mieć ją bardziej na oku. Tak żeby nic mi nie umknęło, w przeciwnym razie ona sama może mi się wymknąć. Moja czujność jest wyostrzona jak krawędź brzytwy. Czasami aż sam się boję.

Po wydarzeniach ostatnich dni Sophie nie może się już zwierzyć ze swoich problemów Vincentowi. Jest skazana na samotność.

Piętnasty stycznia

Dzisiaj rano znowu wybrali się na wieś. Dawno już nie odwiedzali Oise. Wyjechałem z Paryża pół godziny później, wyprzedziłem ich na autostradzie i spokojnie czekałem przy zjeździe na Senlis. Tym razem śledzenie ich nie było trudne.

Najpierw podjechali do agencji nieruchomości, ale wyszli bez sprzedawcy. Przypomniałem sobie dom, który oglądali w jakiejś dziurze pod CrepyenValois; do niego chyba pojedą. Ale tam ich nie było. Już myślałem, że ich zgubiłem, ale kilka kilometrów dalej zobaczyłem ich samochód zaparkowany przed jakąś bramą.

To wielki, dość dziwny dom. Inny niż budynki, które zwykle widuje się w tych okolicach: kamienny, z drewnianymi balkonami i prawdopodobnie dość skomplikowanym rozkładem wnętrza, pełnego różnych załomów i zakamarków.

Jest tu stara stodoła, z której pewnie zrobią garaż, i przybudówka, gdzie przykładowy mąż będzie majsterkował... Dom stoi w parku otoczonym kamiennym murem, z wyjątkiem fragmentu od północy, który się zawalił.

Zostawiłem motor na skraju niewielkiego pobliskiego lasu i przez dziurę w murze dostałem się na teren posesji. Musiałem skradać się jak Indianin, żeby podejść bliżej. Obserwowałem ich przez lornetkę. Dwadzieścia minut później zobaczyłem, jak objęci spacerują po ogrodzie, coś do siebie szepcząc.

Idiotyczne. Tak jakby ktoś mógł ich podsłuchać w tym opustoszałym parku, przed tym pustym domem, na obrzeżach tej zabitej deskami dziury... Cóż, pewnie tak wygląda miłość. Mimo nieco przygnębionej miny Vincenta sprawiali wrażenie ludzi, którym z sobą dobrze, raczej szczęśliwych. Zwłaszcza Sophie.

Od czasu do czasu przyciskała mocno ramię Vincenta, jakby chcąc upewnić się o jego obecności, jego wsparciu. Widok ich objętych, spacerujących po tym wielkim zimowym parku sprawiał mimo wszystko dość smutne wrażenie.

Kiedy weszli z powrotem do domu, nie bardzo wiedziałem, co z sobą zrobić. Nie miałem tu jeszcze swojej kwatery i trochę się bałem, że ktoś może mnie zauważyć. W miejscach takich jak to nigdy nie ma się tak naprawdę spokoju. Wydaje się, że wokół nie ma żywej duszy, ale kiedy człowiek chce pobyć sam, od razu zjawia się jakiś kretyn na traktorze, jakiś myśliwy, jakiś szczeniak jadący na rowerze do lasu, żeby zbudować szałas. Po chwili, ponieważ wciąż nie wychodzili, schowałem motor za

niewielkim murkiem i ruszyłem przez ogród. Wiedziony przecuciem pobiegłem na tyły domu. Po drodze się zdyszałem, więc odczekałem ze dwie minuty, żeby przestało mi tak walić serce i żebym mógł cokolwiek usłyszeć. Ale było cicho. Przekradłem się wzdłuż ściany domu, uważnie patrząc, gdzie stawiam stopy, i znalazłem się pod oknem, w którego zniszczonych okiennicach brakowało kilku dolnych szczebelków. Stałem na kamiennej obmurówce i wspierałem się na palce. Za szybą zobaczyłem kuchnię, staroświeckie pomieszczenie, wymagające wielkich nakładów pracy. Ale nie o tym bynajmniej myśleli moi kochankowie! Sophie stała oparta o nogę zlewu ze spódnicą zadartą na biodra, a Vincent ze spodniami opuszczonymi do kostek z zapalem ją posuwał. Wyraźnie żałoba po matce nie odebrała mu wszystkich sił. Ze swojego punktu obserwacyjnego widziałem tylko jego plecy i pośladki, które zaciskały się, kiedy w nią wchodził. Widok był naprawdę komiczny. Pięknie za to wyglądała twarz Sophie. Oplatała ramionami szyję męża, stała na koniuszkach palców, zamknęła oczy, a intensywna rozkosz malująca się na jej obliczu całkowicie przeobraziła jej rysy. Piękna kobieca twarz, blada i napięta, nieobecna, jak twarz śpiącej... W tym jej zatraceniu się było coś rozpaczliwego. Zrobiłem kilka całkiem udanych fotek. Malownicze ruchy kopulacyjne jej durnego męża nabrały dynamiki i siły. Z twarzy Sophie poznałem, że jest bliska orgazmu. Wytrzeszczyła oczy, otworzyła usta i nagle wydała z siebie głośny krzyk. Coś fantastycznego, dokładnie to, co chcę zobaczyć u niej w dniu, kiedy ją uśmiercę. W gwałtownym spazmie odrzuciła głowę w tył, po czym opuściła ją na ramię Vincenta, wgrzyzając się zębami w jego marynarkę i drżąc na całym ciele.

Szczytuj do woli, mój aniele, korzystaj z chwili, korzystaj...

I dopiero w tym momencie zorientowałem się, że ostatnio nie widuję w łazience jej tabletek antykoncepcyjnych. Ewidentnie postanowili mieć dziecko.

To mi nie przeszkadza. Odwrotnie, podsuwa mi nawet pewne pomysły...

Pozwoliłem im spokojnie wrócić do Paryża i czekałem do

południowej przerwy w agencji. Na fotografii domu w witrynie umieszczono napis:

„Sprzedany”. W porządku. A więc czekają nas weekendy na wsi. Czemu nie.

Siedemnasty stycznia

Pomysły to dziwna rzecz. Przychodzą człowiekowi do głowy w stanie pewnej gotowości ducha. I tak oto przedwczoraj krążyć po ich mieszkaniu bez konkretnego celu i nagle, nie wiedzieć czemu, moją uwagę zwraca stos książek, zgromadzonych przez Sophie na podłodze obok biurka. Wśród nich, prawie na samym spodzie, dwie pozycje z Ośrodka Dokumentacji Prasowej: monografia o Albercie Londres i Słownik francuskoangielski terminologii medialnej. Obie wypożyczone tego samego dnia. Odniosłem je do ośrodka. Dla czytelników, którym się spieszy, przewidziano osobny kontuar, na którym mogą książki zostawić. To pozwala uniknąć niepotrzebnego czekania. Moim zdaniem bardzo praktyczne rozwiązanie.

Osiemnasty stycznia

To również Sophie powinna zanotować w swoim zeszycie: nie zauważyła dwóch monitów w sprawie niezapłaconego rachunku za telefon. Skutkiem czego został wyłączony. Vincent nie jest tym zachwycony. Sophie płacze. Ostatnio między nimi nie jest dobrze, często się kłócą. A przecież Sophie stara się uważać na siebie, na niego, na wszystko, chyba nawet stara się nie zasnąć. W każdym razie dzwoni do terapeuty z pytaniem, czy ten może ją przyjąć wcześniej, niż byli umówieni... Trudno jej opanować napady senności, raz śpi, raz nie śpi, potem znów śpi, zapada prawie w śpiączkę, a potem całymi nocami nie może zmrużyć oka. Przez długie godziny siedzi w oknie i pali... Gotowa się jeszcze zaziębić.

Dziewiętnasty stycznia

Dziwka! Nie wiem, co knuje, nie wiem nawet, czy zrobiła to specjalnie, ale jestem wściekły - na nią i na siebie. Zachodzę w głowę, czy się w czymkolwiek połapała, czy próbowała zastawić na mnie pułapkę... Wiedząc o jej spotkaniu, poszedłem zabrać z szuflady jej biurka zeszyt, w którym notuje wszystko, co robi - lub co powinna zrobić - w mieszkaniu, zeszyt w czarnej sztucznej skórce. Dobrze go znam, często do niego zaglądam. A tu zeszyt jest pusty! Jest identyczny jak tamten, ale wszystkie strony są puste! Co by oznaczało, że ma dwa zeszyty, i teraz nie wiem, czy ten tutaj nie jest aby przynętą dla mnie. Dziś wieczorem musiała się zorientować, że zniknął...

Po namyśle dochodzę jednak do wniosku, że raczej nie zdołała odkryć mojej obecności. Możliwe, że próbuję tylko sam siebie uspokoić, ale gdyby tak było, natknąłbym się na inne ślady, tymczasem reszta układa się jak należy, normalnie.

Nie wiem, co o tym myśleć. Prawda jest taka, że ta historia z zeszytem mocno mnie niepokoi.

Dwudziesty stycznia

Opatrzność jednak czuwa nad ludźmi działającymi w słusznej sprawie! Sądzę, że udało mi się z całej sytuacji wybrnąć. Gwoli uczciwości muszę jednak przyznać, że naprawdę najadłem się strachu; bałem się pójść do mieszkania Sophie, miałem niejasne przeświadczenie, że czyha na mnie jakieś niebezpieczeństwo, że w końcu zostanę nakryty, no i miałem rację.

Poszedłem do niej, odłożyłem pusty zeszyt z powrotem do szuflady biurka, a potem musiałem przetrząsnąć całe mieszkanie, żeby znaleźć ten drugi. Bo byłem pewny, że go z sobą nie zabrała: uratował mnie jej ciągły strach przed gubieniem wszystkiego. Na to potrzebny był mi jednak czas, a nie lubię

siedzieć u nich zbyt długo, bo wiem, że to niezdrowe, że należy ograniczyć ryzyko do minimum. Upłynęła z górą godzina, nim go w końcu znalazłem! Pociły mi się ręce w lateksowych rękawiczkach, co chwila przerywałem poszukiwania, nasłuchując odgłosów w budynku, popadałem w coraz większą nerwowość, nie wiedziałem, jak ją opanować, byłem bliski paniki. I nagle jest! Był schowany za spłuczką w toalecie. Niedobrze, bo to znak, że ma się na baczności. Zresztą niekoniecznie przede mną... Pomyślałem, że może się mieć na baczności przed samym Vincentem - co z kolei byłoby dobrym znakiem. I nagle, prawie zaraz po tym, jak go znalazłem, usłyszałem klucz w zamku. Znajdowałem się w toalecie, drzwi były uchylone, ale miałem na tyle przytomności umysłu, żeby nie wyciągnąć ręki i ich nie domknąć: toaleta mieści się na końcu korytarza, dokładnie naprzeciwko drzwi wejściowych! Gdyby przyszła Sophie, byłoby po mnie; dziewczyny po powrocie do domu biegną od razu do toalety. Ale to był

Vincent, poznałem męskie kroki. Serce waliło mi tak mocno, że przestałem słyszeć cokolwiek, nie byłem w stanie nawet myśleć. Wpadłem w panikę.

Przechodząc obok drzwi toalety, Vincent pchnął je, a ich trzask przyprawił mnie o paraliż. O mało nie zemdlałem. Oparłem się o ścianę, zrobiło mi się niedobrze.

Vincent wszedł do gabinetu i od razu włączył muzykę, mnie zaś uratowała własna panika. Natychmiast otworzyłem drzwi, w stanie bliskim obłądu przemknąłem na palcach przez korytarz, otworzyłem drzwi i nawet ich za sobą nie zamknąwszy, pognałem jak strzała na dół. W tamtej chwili byłem przekonany, że wszystko stracone, że będę musiał odpuścić sprawę. Ogarnęła mnie nieopisana rozpacz.

Pomyślałem o mamie i do oczu napłynęły mi łzy. To tak, jakby po raz drugi umarła. Odruchowo zaciskałem w kieszeni rękę na zeszytach Sophie.

Szedłem ulicą i płakałem.

Dwudziesty pierwszy stycznia

Odsłuchując taśmę, przeżyłem jeszcze raz tę scenę i dopiero teraz widzę, co to był za horror! Usłyszałem włączoną przez Vincenta muzykę (chyba jakiś kawałek Bacha), wydaje mi się nawet, że słyszę, jak ostrożnie stąpam w korytarzu, ale nie jestem pewny. Potem wyraźniejsze, zdecydowane kroki Vincenta w stronę wyjścia, dłuższa chwila ciszy i zamykanie drzwi.

Przypuszczam, że zastanawiał się, czy ktoś nie wszedł, być może zszedł kilka stopni, wrócił na podest, wychylił się przez poręcz, czy kogoś nie zobaczy itp.

Usłyszałem odgłos starannie zamykanych drzwi. Pewnie myśli, że to on ich za sobą nie zamknął. Wieczorem nie wspomniał nawet o tym incydencie Sophie, co byłoby katastrofą. Ależ się najadłem strachu!

Dwudziesty trzeci stycznia

Rozpaczliwy mail do Valerie. Jutro Sophie ma spotkanie z terapeutą, a nie może znaleźć zeszytu... Schowała go w toalecie, jest tego pewna, tymczasem rano zagląda, a zeszytu nie ma. Popłakała się. Jest zdenerwowana, drażliwa i zmęczona. Przybita.

Dwudziesty czwarty stycznia

Spotkanie z terapeutą. Kiedy powiedziała mu o zgubionym zeszycie, pocieszył ją. Takie rzeczy się zdarzają, powiedział, zwłaszcza kiedy człowiek się nimi za bardzo przejmuje. Ogólnie był bardzo wyważony, wcale go to nie zaniepokoiło. Relacjonując mu swój sen o teściowej, Sophie rozplakała się. Nie mogła się powstrzymać i opowiedziała mu o wypadku, do którego doszło w identycznych okolicznościach jak w jej śnie. I o tym, że kompletnie nie pamięta, co tamtego dnia robiła.

Spokojnie jej wysłuchał; nie wierzy w prorocze sny.

Przedstawił teorię, którą nie bardzo rozumiała, której nawet za dobrze nie usłyszała, bo była zbyt otepiała, żeby za nim nadążyć. Nazwał te zdarzenia „drobnymi nieszczęściami”. Co nie zmienia faktu, że na koniec spotkania zapytał, czy nie pomyślała o wyjeździe, „żeby trochę odpocząć”. I to ją najbardziej przeraziło. Myślę, że odebrała jego słowa jako sugestię zamknięcia w zakładzie. Wiem, że się tego okropnie boi.

Valerie bardzo szybko odpowiada na jej maile. Chce pokazać, że jest z nią. Lecz wyczuwa - a ja to wiem - że Sophie nie mówi jej wszystkiego.

Możliwe, że kieruje się myśleniem magicznym. To, o czym się nie mówi, nie istnieje, nie ma obawy, że okaże się zaraźliwe...

Trzydziesty stycznia

Zaczynałem już wpadać w rozpacz z powodu tej historii z zegarkiem. Pięć miesięcy wcześniej zgubiła ładny zegarek, prezent od ojca. A Bóg świadkiem, że swego czasu przetrząsnęła cały dom do góry nogami w nadziei, że go znajdzie. Bez skutku. Zegarek trzeba było spisać na straty. Prawdziwa żaloba.

I oto proszę! Nagle Sophie go znajduje. Zgadnijcie gdzie? W szkatułce z biżuterią swojej matki! Na samym spodzie. Fakt, że nieczęsto do niej zagląda, że nie nosi tych rzeczy. Ale jednak od końca sierpnia musiała ją z pięć, sześć razy otworzyć. Próbowwała sobie nawet przypomnieć, ile razy dokładnie, ale po wakacjach z całą pewnością do niej zaglądała, wymieniła Valerie wszystkie te razy, jakby pragnęła jej coś udowodnić. Mimo to zegarka nigdy w niej nie widziała. Nie dałaby głowy, oczywiście, ale szkatułka nie jest zbyt głęboka, no i nie ma w niej tylu znów rzeczy... Zresztą, czemu miałyby go schować akurat tam? To niedorzeczne.

A już szczytem wszystkiego jest to, że nie wygląda na specjalnie zadowoloną, że w końcu swój zegarek znalazła.

Ósmy lutego

Zdarza się, że człowiek zgubi pieniądze, ale żeby mieć ich za dużo, to już raczej rzadka sprawa. A przede wszystkim niezrozumiała.

Sophie i Vincent mają pewne plany. W mailach do Valerie Sophie zachowuje na ów temat powściągliwość. Píše, że „nie jest to jeszcze pewne”, wkrótce jej o wszystkim powie, że Valerie będzie wręcz „pierwszą, która się dowie”. Tak czy inaczej zdecydowała się rozstać z niewielkim płótnem, które kupiła jakieś pięć, sześć lat temu. Rozpuściła informację w środowisku, w którym się obraca, i przedwczoraj je sprzedała. Zażyczyła sobie trzy tysiące euro. Rozsądna cena. Obraz przyszedł obejrzeć jakiś pan. Potem jakaś pani. W końcu Sophie zeszła do dwóch tysięcy siedmiuset euro pod warunkiem, że będzie to gotówka. Sprawiała wrażenie zadowolonej. Włożyła pieniądze do koperty, którą schowała w sekretarzyku. Ale nie lubi trzymać dużej gotówki w domu. Więc dziś rano Vincent poszedł wpłacić ją do banku. I wtedy wyszło na jaw coś niezrozumiałego; Vincent wygląda na bardzo poruszonego tą sprawą.

Od tej pory bezustannie się kłócą. W kopercie były trzy tysiące euro. Sophie obstaje przy swoim: dwa tysiące siedemset. Vincent również: trzy tysiące. Mam do czynienia z parą uparciuchów. Bawi mnie to.

Co nie zmienia faktu, że Vincent spogląda na Sophie dziwnym wzrokiem.

Stwierdził nawet, że od pewnego czasu „dziwnie się zachowuje”. Sophie nie sądziła, że cokolwiek zauważył. Rozpląkała się. Potem odbyli rozmowę.

Vincent powiedział, że powinna odwiedzić lekarza. Że to nawet odpowiedni moment.

Piętnasty lutego

Przedwczoraj Sophie przekopła całe mieszkanie. Jej karta biblioteczna nie może kłamać, pożyczyła dwie książki, bardzo dobrze pamięta, bo je przejrzała. Wypożyczyła je z ciekawości, z powodu artykułu przeczytanego kilka tygodni wcześniej. Pamięta nawet, jak wyglądały. Ale nigdzie nie może ich znaleźć. Albert Londres i słownik terminów branżowych. Sophie teraz już wszystko przeraża. Z byle powodu od razu puszczają jej nerwy. Zadzwoiła do Ośrodka Dokumentacji Prasowej, żeby poprosić o przedłużenie terminu. I okazuje się, że już je oddała. Bibliotekarka powiedziała jej nawet kiedy: ósmego stycznia. Zajrzała do notesu - tego dnia była u klienta pod Paryżem. Pewnie po drodze wpadła do ośrodka... Ale nijak nie przypomina sobie, żeby wtedy oddała obie książki. Zapytała o to Vincenta, lecz nie dociekała; musi się z nim teraz obchodzić jak z jajkiem, jak napisała do Valerie. Książki nadal są w ośrodku, nikt ich jeszcze nie wypożyczył. To było silniejsze od niej: pojechała, zapytała, którego dnia zostały zwrócone. Potwierdziło się, że ósmego stycznia.

Widziałem, jak wychodzi z ośrodka. Z miną naprawdę strapioną.

Osiemnasty lutego

Osiem dni temu Sophie zorganizowała konferencję prasową z okazji ważnej aukcji starodruków. W czasie koktajlu, który się potem odbył, robiła zdjęcia bufetu, dziennikarzy, członków zarządu - dla firmowej gazety, ale również by oszczędzić prasie konieczności przysyłania na imprezę fotografów.

Następnie przez cały dzień i część weekendu obrabiała te cyfrowe zdjęcia na komputerze w domu, bo ma je przedstawić kierownictwu oraz dziennikarzom obecnym na konferencji i tym, którzy nie mogli przyjść. Potem wrzuciła wszystkie do dokumentu „Prasall-02”) który umieściła w załączniku do maila.

Stawka musi być poważna, bo wahała się, sprawdzała, nanosiła kolejne poprawki, znów sprawdzała. Wyczuwałem w niej niepewność. To było wyzwanie zawodowe. A potem się wreszcie zdecydowała. Zanim wysłała maila, zasejwowała materiał. Nigdy nie nadużywam kontroli, jaką przez Internet sprawuję nad jej komputerem. Obawiam się, że coś może zauważyć. Ale tym razem nie mogłem się oprzeć. W czasie sejwowania wstawiłem do dokumentu dwa dodatkowe zdjęcia. Ten sam format, ten sam retusz, ta sama ręka. Ale nie zdjęcia bufetu, nie dziennikarzy Czy ważnych klientów. Tylko fotografie attache prasowej robiącej laskę mężowi pod słońcem Grecji. Fakt, że prawie męża na nich nie widać, natomiast attache prasową widać bardzo wyraźnie.

Dziewiętnasty lutego

Sytuacja w pracy u Sophie wygląda niewesoło. Ta historia z dossier prasowym wywołała prawdziwą aferę. Niespodzianka ją załamała. W poniedziałek zadzwoniła do niej do domu osoba z kierownictwa. Od samego rana telefonowało również wielu dziennikarzy.

Sophie jest kompletnie ogłuszona. Rzecz jasna nie wspomniała o incydencie nikomu, a już na pewno nie Vincentowi. Pewnie się niewyobrażalnie wstydzi. Ja sam dowiedziałem się o wszystkim z maila od „zaprzyjaźnionego” dziennikarza: zdruzgotana nowiną, musiała go poprosić o przysłanie jej tych zdjęć. Nie mogła uwierzyć własnym oczom! Trzeba przyznać, że wybrałem dobrze: z kutasem Vincenta w ustach spogląda w górę na jego twarz lubieżnym wzrokiem. Te małe mieszcзки, jak już przyjdzie im ochota zabawić się w dziwkę, są bardziej naturalne od profesjonalistek. Drugie zdjęcie jest nieco bardziej kompromitujące, że tak powiem. Zrobione na sam koniec, pokazuje, że Sophie umie się w takich razach znaleźć, młody mężczyzna zaś został hojnie obdarzony przez naturę...

Krótko mówiąc, katastrofa. Nie poszła do pracy, tylko siedziała zdrętwiała przez cały dzień ku wielkiemu przerażeniu

Vincenta, któremu nie chciała powiedzieć, co się stało. Nawet Valerie powiedziała tylko, że spotkała ją właśnie „coś koszmarnego”. Wstyd jest czymś strasznym, paraliżuje człowieka.

Dwudziesty lutego

Sophie przez cały dzień płakała. Większość czasu przesiedziała w oknie, paląc papierosa za papierosem. Zrobiłem jej sporo zdjęć. Nie poszła do biura, gdzie, jak przypuszczam, rejwach musi panować jak w ulu. Założę się, że sprawa stała się tajemnicą poliszynela, a ludzie przy ekspresach z kawą wymieniają się odbitkami zdjęć. To samo pewnie wyobraża sobie Sophie. Nie sądzę, żeby mogła tam wrócić. Prawdopodobnie dlatego z taką obojętnością przyjęła wiadomość o czasowym zawieszeniu w czynnościach zawodowych. Na tydzień. Wygląda na to, że udało się ograniczyć szkody, ale cóż, moim zdaniem co złego miało się stać, już się stało... A w karierze zawodowej takie sprawy ciągną się za człowiekiem bardzo długo. W każdym razie Sophie wygląda jak cień samej siebie.

Dwudziesty trzeci lutego

Już początek wieczoru zapowiadał pułapkę: miałem po nią wstąpić i zabrać ją na kolację. Zarezerwowałem stolik u Julienu, ale moja niestrudzona miłośnica miała na ten wieczór inne plany. Gdy wszedłem do jej mieszkania, zobaczyłem stolik nakryty dla dwóch osób. Kretynka, która, czego przykładem są jej perfumy, nie cofnie się przed żadną demonstracją złego gustu, postawiła nawet na stoliku świecznik, koszmarny pretendent do miana sztuki nowoczesnej.

Zatkało mnie, lecz teraz, kiedy już byłem w środku, kiedy poczułem zapach potrawy w piekarniku, trudno mi było, wręcz nie mogłem, nie przyjąć zaproszenia. Dla formy zaprotestowałem, przyrzekając sobie, że nigdy więcej się z nią nie

zobaczą. Decyzja zapadła. Myśl ta trochę mnie uspokoiła, a ponieważ okrągły stolik uniemożliwiał Andree dotykanie mnie, co zwykła robić przy każdej możliwej okazji, poczułem się chwilowo bezpieczny.

Andree zajmuje ciasne mieszkanie na czwartym piętrze starej, pozbawionej wszelkiego wdzięku kamienicy. Salonjadalnia ma tylko jedno okno, co prawda jest ono bardzo wysokie, ale nie wpuszcza wiele światła, bo wychodzi na podwórze. W takim miejscu przez cały boży dzień trzeba mieć zapalone światło, żeby nie popaść w depresję.

Rozmowa, jak i cały wieczór, nie kleiła się. Dla Andree jestem Lionelem Chalvinem i pracuję w biurze sprzedaży nieruchomości. Straciłem już rodziców, co - za sprawą zboląłego spojrzenia, ilekroć wypłynie ten temat, oszczędza mi wszelkich wspominek z dzieciństwa. Mieszkam sam i, jak sądzi ten gruby pasztet, jestem impotentem. A przynajmniej cierpię na impotencję. Udaje mi się unikać owego tematu, niekiedy napomykam tylko o namacalnych tego skutkach.

Lawiruję.

Rozmowa zeszła na wakacje. W zeszłym miesiącu Andree wybrała się na kilka dni do rodziców do Pau, musiałem więc wysłuchać opowieści o charakterze jej ojca, o lękach jej matki, o wyczynach jej psa. Uśmiechnąłem się.

Na nic więcej, doprawdy, nie mogłem się zdobyć.

Była to kolacja w zamyśle „wykwintna”. W każdym razie ona za wykwintną pewnie ją uważała. Na takie określenie zasługiwało jedynie wino, ale wino wybrał za nią właściciel sklepu, bo sama się na tym kompletnie nie zna. Zaserwowała „kuchnię domową”, nieodparcie kojarzącą się z jej perfumami.

Po posiłku, jak się obawiałem, podała kawę na niskim stoliku przed kanapą. Usadowiwszy się obok mnie, po dłuższej chwili milczenia, w jej przekonaniu głębokiego i wymownego, ta straszna dziewczucha z omdlewającą miną, uduchowionym głosem świętoszki oznajmiła, że „rozumie moje kłopoty”.

Załóżę się, że jest zachwycona taką gratką. Ewidentnie wiele by zrobiła, żeby ją przelecieć, bo z pewnością nieczęsto jej się to zdarza, a trafienie na amanta nie całkiem sprawnego musi

dawać jej poczucie, że do czegoś się nareszcie przyda.

Udałem zakłopotanego. Zapadła cisza. W takich razach, chcąc przerwać milczenie, zaczyna opowiadać o pracy jak wszyscy, którzy nie mają nic do powiedzenia. Anegdoty, zawsze te same. Ale w pewnym momencie wspomniała o dziale prasowym. Natychmiast natężyłem uwagę. Chwilę potem udało mi się nakierować rozmowę na Sophie, najpierw ogólnikowo stwierdzając, że takie prestiżowe aukcje muszą wiązać się z gigantyczną pracą dla wszystkich.

Wymieniwszy niemal połowę personelu, dotarła wreszcie do Sophie. Aż się paliła, żeby mi opowiedzieć o historii ze zdjęciami. Chichotała jak kretynka.

Fajna kumpelka...

- Żałuję, że odchodzi... - powiedziała. - Zresztą wyjeżdża...

Nastawiłem ucha. I wtedy wszystko zrozumiałem. Sophie opuszcza Percy'ego, ale nie tylko. Sophie opuszcza też Paryż.

To nie wiejskiego domu szukają od miesiąca, tylko domu na wsi. Jej mąż otrzymał nominację na dyrektora nowej placówki badawczej w Senlis, dokąd się przeniosą.

- Ale co ona tam będzie robić? - zapytałem.

- Jak to?

Wyglądała na bardzo zdziwioną, że może mnie coś takiego interesować.

- Mówisz, że to osoba bardzo aktywna, więc zastanawiam się... co ktoś taki może robić na wsi.

Andree z łakomą miną, w duchu przyjacielskiej konspiracji zdradziła, że Sophie spodziewa się dziecka. Nie była to dla mnie nowina, niemniej wiadomość zrobiła na mnie wrażenie. W jej obecnym stanie nie wydaje się to zbyt roztropne...

- I znaleźli coś? - spytałem.

Powiedziała, że kupują jakiś piękny dom w Oise, niezbyt daleko autostrady.

Dziecko. I Sophie, przy tej okazji zostawiająca i firmę, i Paryż... Swoim numerem z dossier prasowym miałem nadzieję spowodować, że na pewien czas przerwie pracę. Ale ciąża plus wyprowadzka z Paryża... To było coś nowego, musiałem sprawę przemyśleć. Szybko wstałem. Wybąkałem, że zrobiło się późno i

muszę już iść.

- Ależ nie wypieś nawet kawy... - zaprotestowała z ubolewaniem.

Jej kawa, też mi coś... Poszedłem po marynarke i ruszyłem do wyjścia.

Andree odprowadzała mnie aż do drzwi. Nie tak wyobrażała sobie nasz wieczór.

Mówiła, że szkoda, że nie jest znów tak późno, tym bardziej że to piątek.

Wymamrotałem, że jutro pracuję. Andree do niczego więcej już mi się nie przyda, ale żeby nie przepaść do końca w jej oczach, na odczepnego powiedziałem coś mającego ją uspokoić. A wtedy się na mnie rzuciła. Przytuliła się, zaczęła całować po szyi. Musiała wyczuć mój opór. Nie pamiętam już, co mamrotała, coś w stylu, że się mną zajmie, że będzie potrafiła być cierpliwa, że nie mam się czego obawiać, takie rzeczy... I na tym by się skończyło, gdyby celem ośmielenia mnie nie położyła mi ręki na brzuchu. Na podbrzuszu. A wtedy nie mogłem się już opanować. Cały ten wieczór i nowiny, jakie przed chwilą usłyszałem - tego już było za wiele. Stałem niemal przyparty plecami do drzwi; gwałtownie ją odepchnąłem. Zaskoczyła ją moja reakcja, lecz nie zamierzała rezygnować. Uśmiechnęła się i uśmiech tej grubaski był tak wstrętny, tak lubieżny... u brzydkich dziewczyn pożądanie seksualne jest czymś bardzo obscenicznym... że nie mogłem się powstrzymać i przyłożyłem jej w twarz. Z całej siły. Natychmiast podniosła rękę do policzka, a jej spojrzenie wyrażało bezgraniczne zdumienie. Uświadomiłem sobie wtedy całą potworność sytuacji i bezużyteczność tej dziewczyny. Przypomniało mi się wszystko, co musiałem z nią robić. Więc przyłożyłem jej jeszcze raz, z drugiej strony, i jeszcze raz, aż zaczęła krzyczeć. Niczego się już nie bałem. Popatrzyłem na pokój, na stół z resztkami posiłku, na kanapę i filiżanki z kawą, której oboje nie tknęliśmy. I to wszystko napełniło mnie głębokim obrzydzeniem. Więc złapałem ją za ramiona i przyciągnąłem do siebie, jakbym zamierzał ją uspokoić. Pozwoliła na to, zapewne licząc, że ów bolesny epizod już się kończy.

Potem podszedłem do okna, otworzyłem je na oścież, jakbym chciał zaczerpnąć powietrza, i czekałem. Z tyłu słyszałem jej komiczne chlipanie. Wiedziałem, że podejdzie. Czekałem nie więcej jak dwie minuty. Potem usłyszałem, że się zbliża, poczułem po raz ostatni jej perfumy. Wzięłem głęboki oddech, odwróciłem się, schwyciłem ją za ramiona i kiedy już stała przytulona do mnie, skowycząc jak szczeniak, łagodnie się pochyliłem jak do pocałunku i wciąż trzymając ją za ramiona, gwałtownym ruchem ją pchnąłem. Zdażyłem jeszcze zobaczyć przerażone spojrzenie dziewczyny w chwili, gdy znikwała za oknem. Nawet nie krzyknęła. Dwie sekundy później usłyszałem okropny stuk.

Rozplakałem się. Trząsałem się na całym ciele, próbując odpędzić powracający do mnie obraz mamy. Musiałem mimo wszystko zachować trochę trzeźwości umysłu, bo kilka sekund później złapałem marynarkę i zbiegłem na dół.

Dwudziesty czwarty lutego

Upadek Andree ogromnie przeżyłem. Rzecz jasna nie z powodu śmierci tej kretynki, ale okoliczności, w jakich zginęła. Patrząc wstecz, jestem zdziwiony, że po śmierci matki Vincenta nic nie poczułem. Pewnie dlatego, że schody to jednak co innego. Dzisiejszej nocy wcale nie Andree poszybowała w powietrzu, tylko oczywiście mama. Nie było to jednak tak straszne jak w tylu innych snach w ciągu ostatnich lat. Tak jakby coś we mnie się wyciszało. Myślę, że to zasługa Sophie. Zapewne chodzi tu o przeniesienie, czy coś w tym stylu.

Dwudziesty szósty lutego

Dziś rano Sophie pojechała na pogrzeb swojej drogiej koleżanki. Ubrała się na czarno. Widząc, jak wychodzi z domu cała w czerni, stwierdziłem, że wygląda bardzo ładnie jak na przyszlą nieboszczkę. Dwa pogrzeby w tak krótkim czasie - to

musi być wstrząs. Nie ukrywam, że ja też jestem wstrząśnięty. Andree, a zwłaszcza okoliczności, w jakich umarła...! Dla mnie to świętokradztwo. Obraza mojej matki. Znów powróciły do mnie bolesne obrazy z dzieciństwa, z którymi tak wytrwale walczyłem. Możliwe, że wszystkim kobietom, które mnie kochają, pisany jest upadek z okna.

Podsumowałem sytuację. Pewnie, że nie ma się z czego cieszyć, ale nie jest to też katastrofa. Muszę być ostrożniejszy. Jeśli tylko nie popełnię jakiegoś głupstwa, wszystko będzie dobrze. W domu aukcyjnym nikt mnie nie widział.

Po ostatnim spotkaniu z grubaską więcej się tam nie pokazałem.

Zostawiłem u niej oczywiście mnóstwo odcisków palców, ale nie figuruję w kartotekach policyjnych i, nie licząc wypadku, niewielkie są obawy, bym znalazł się w sytuacji pozwalającej policji na jakiegokolwiek skojarzenia. Co nie zmienia faktu, że wskazana jest jak największa ostrożność; nie mogę już sobie pozwolić na podobny numer, jeśli nie chcę narazić swojego planu na niebezpieczeństwo.

Dwudziesty ósmy lutego

Jeśli chodzi o Sophie, nie ma tragedii. Wyjeżdża z Paryża; trzeba się będzie do tego dostosować, i tyle. Denerwujący jest tylko fakt, że tym samym cała zorganizowana przeze mnie logistyka staje się bezużyteczna. Cóż, trudno.

Na pewno nie trafi mi się już równie dogodny punkt obserwacyjny, ale z pewnością znajdę inny.

Dziecko ma się urodzić latem. Zaczynam uwzględniać je w mojej strategii na najbliższe miesiące.

Piąty marca

Przygotowania do akcji: dziś rano pod ich dom podjechała ciężarówka z firmy transportowej. Nie było jeszcze siódmej, ale

już od piątej paliły się u nich wszystkie światła i widziałem krzątających się Sophie i jej męża. O pół do dziewiątej Vincent pojechał do firm, zostawiając prace domowe małżonce.

Facet jest naprawdę okropny.

Nie ma już powodu, żebym dłużej zajmował ten pokój, który nieustannie będzie mi przypominał cudowne chwile, kiedy żyłem tak blisko Sophie, kiedy o dowolnej porze mogłem popatrzeć w jej okna, zobaczyć ją, sfotografować...

Mam ponad setkę jej zdjęć. Sophie na ulicy, w metrze, za kierownicą samochodu, naga Sophie przechodząca przed oknem, Sophie na klęczkach przed mężem, Sophie opiłowująca paznokcie u nóg przy oknie w salonie...

Któregoś dnia na dobre jej zabraknie. Ale ta chwila jeszcze nie nadeszła.

Siódmy marca

Drobny problem techniczny: udało mi się odzyskać tylko dwa z trzech mikrofonów. Trzeci musiał gdzieś się zapodziać w trakcie przeprowadzki; te urządzenia są takie maleńkie...

Osiemnasty marca

Okropnie zimno na tej wsi. I, dobry Boże, jak strasznie smutno! Że też Sophie przyjechała w takie miejsce... Ale cóż, żonka podążyła za swoim wielkim małżonkiem. Daję jej niecałe trzy miesiące, a potem zaczniesz konać z nudów.

Brzuch będzie jej dotrzymywał towarzystwa, ale ile czekają kłopotów... Co prawda jej Vincent otrzymał piękny awans, niemniej uważam go za wielkiego egoistę.

Zamieszkanie Sophie na prowincji zmusi mnie do robienia wielu kilometrów i to w środku zimy... Znalazłem więc mały hotelik w Compiègne.

Uchodzę w nim za pisarza. Natomiast znalezienie stanowiska obserwacyjnego wymagało już więcej czasu. Ale i to się udało.

Dostaję się na posesję przez zwalony mur na tyłach domu. Motor zostawiam w ruinach jakiejś szopy, w której ocalał spory fragment dachu. Szopa leży daleko od domu; nie można też zobaczyć mojego motoru z drogi, którą zresztą prawie nikt nie przejeżdża.

Tak więc, nie licząc zimna, wszystko układa się dla mnie dobrze. Nie mogę jednak tego samego powiedzieć o Sophie. Ledwie tu zamieszkała, a już ma kłopot za kłopotem. Przed wszystkim nawet dla osoby bardzo aktywnej w tak ogromnym domu dni okropnie się dłużą. Początkowo trochę rozrywki wnieśli robotnicy, ale nieoczekiwanie znów nastał mróz i przerwali pracę, nie wiadomo na jak długo. Efekt jest taki, że rozjeżdżony przez ciężarówki dziedziniec przed domem cały zamarł i za każdym wyjściem na dwór Sophie skręca kostkę. Nie wspominając już o tym, jak smętnie taki dziedziniec wygląda. Drewno do kominka było blisko, kiedy nie było potrzebne, ale teraz...

A poza tym jest sama. Od czasu do czasu wychodzi na ganek z filiżanką herbaty. Trudno zachować entuzjizm, kiedy pracuje się samotnie przez cały boży dzień, a mężuś wieczorami wraca tak późno...

Dowód? Dzisiaj rano uchyliły się drzwi wejściowe i na dwór wyszedł kot.

Piękny czarnobiały kot. Przez chwilę posiedział na progu, obserwując park.

Jakiś czas potem udał się za swoją kocią potrzebą, ale niezbyt daleko od domu.

Musiało to być jedno z jego pierwszych wyjść na dwór, bo Sophie obserwowała go z okna kuchni. Obszedłem wielkim kołem dom i na jego tyłach stanęliśmy z sobą niemal nos w nos. Zatrzymałem się. Nie był to żaden dziki kot, tylko grzeczny pokojowiec. Nachyliłem się i przywołałem go. Chwilę odczekał, po czym podszedł i pozwolił się pogłaskać, wzorem wszystkich kotów wyginając grzbiet i prężąc ogon. Wziąłem go na ręce. Zaczął mruścić. Poczulem ogarniające mnie napięcie i ekscytację... Zaniósłem go do szopy, w której Vincent trzyma narzędzia. Kot przez całą drogę mruzczał.

Dwudziesty piąty marca

Nie przyjeżdżałem od kilku dni, a konkretnie od tamtego wieczoru, kiedy Sophie znalazła swojego ukochanego kotka przybitego do drzwi szopy. Przeżyła wstrząs, i trudno jej się dziwić.

Pojawilem się dziś koło dziewiątej rano; właśnie wyjeżdżała. Zdążyłem jeszcze zobaczyć, jak wkłada do bagażnika torbę podróżną. Dla ostrożności odczekałem pół godziny, potem wyłamałem jedną z okiennic na parterze z tyłu domu i wszedłem do środka. Sophie nie próżnowała. Zdążyła pomalować już większą część parteru, kuchnię, salon i drugi pokój, którego przeznaczenia nie znam. Na ładny bladożółty kolor z ciemnożółtym szlaczkiem, belki w salonie na zieleń w odcieniu chyba pistacjowym, ale również bardzo ładną. Benedyktyńska robota. Dziesiątki godzin pracy. Robotnicy zostawili ją z łazienką niewykończoną, ale działającą; jest ciepła woda. W kuchni również trwa w najlepsze odnawianie. Wszystkie meble stoją na podłodze; przypuszczam, że najpierw trzeba zakończyć prace hydrauliczne, żeby rzeczy można było na stałe rozmieścić. Zaparzyłem herbatę i zacząłem się zastanawiać. Pochodziłem po pokojach, zabrałem kilka drobiazgów z rodzaju tych, których zniknięcia się nie zauważa, ale znalezienie ich w jakiś czas potem zawsze zaskakuje. W końcu podjąłem decyzję. Przyniosłem pojemniki z farbą oraz wałki i w czasie o wiele krótszym, niż zajęło to Sophie, pomalowałem wszystko jeszcze raz, od podłogi do sufitu, ale w stylu znacznie bardziej „spontanicznym”. Meble kuchenne nadają się teraz już tylko na podpałkę do kominka, wytarłem nacieki farby obrusami, przy okazji dodałem też bardziej żywiołowy akcent kolorystyczny do urządzeń i sprzętów, pociąłem rury kanalizacyjne w łazience i odkręciwszy wszystkie krany, wyszedłem.

Śmiało mogę wrócić dopiero za kilka dni.

Dwudziesty szósty marca

Zaraz po przyjeździe Sophie zawarła znajomość z Laure Dufresne, nauczycielką z miasteczka. Obie są mniej więcej w tym samym wieku, poczuły do siebie sympatię. W czasie, kiedy tamta miała lekcje w szkole, poszedłem rozejrzeć się w jej mieszkaniu. Nie lubię niespodzianek. Ale nic ciekawego.

Zwykle spokojne życie. Zwykła spokojna kobieta. Widują się dość często. Laure chętnie wpada późnym popołudniem do Sophie na kawę. Sophie pomagała jej ustawić nowe meble w klasie. Przez lornetkę widziałem, że dobrze się bawiły.

Mam wrażenie, że ta znajomość dobrze Sophie robi. Zaczynają mi chodzić po głowie pewne odważne pomysły. Pytanie tylko, w jaki sposób to wykorzystać.

Ale chyba już wiem.

Dwudziesty siódmy marca

Laure na próżno ją pociesza; Sophie jest zdruzgotana. Najpierw śmierć kota, teraz zdemolowanie domu pod jej nieobecność - wszystko jest dla niej strasznym ciosem. Uważa, że to sprawka wrogo nastawionych sąsiadów. Laure utrzymuje, że to niemożliwe; ona sama spotkała się z bardzo życzliwym przyjęciem, tutejsi ludzie są bardzo sympatyczni, zapewnia. Sophie ma co do nich poważne wątpliwości, a fakty, które przytacza, zdają się to potwierdzać. No i trzeba sprowadzić rzeczoznawców, wnieść skargę, znaleźć robotników, zamówić nowe meble - nie zrobi się wszystkiego w jeden dzień. Potrwa to wiele tygodni, jeśli nie miesięcy. I od nowa to wszystko malować - ręce opadają. W dodatku jeszcze Vincent co wieczór wraca bardzo późno, utrzymując, że to normalne na nowym stanowisku, że na początku zawsze tak jest (ten Vincent to już naprawdę...). Sophie czuje, że sprawa z domem źle się zaczyna. Broni się przed negatywnymi myślami (słusznie, Sophie, nie ulegaj emocjom). Żeby ją uspokoić, Vincent kazał zainstalować

alarm, lecz ona i tak czuje się tu nieswojo.

Miodowy miesiąc z departamentem Oise nie potrwał długo. Jej ciąża? Rozwija się. To już czwarty miesiąc. Ale Sophie naprawdę nie wygląda dobrze.

Drugi kwietnia

Tylko tego brakowało: w domu są szczury! Nie było, i nagle jest ich mnóstwo. A podobno jak się widzi jednego, to tak, jakby się zobaczyło dziesięć.

Na początku parka, a potem rozmnażają się jak króliki! I wszędzie się to mrowi, biega, chowa po kątach; naprawdę jest się czego bać. Nocami słycać ich drapanie. Zakłada się pułapki, stosuje różne wyszukane metody, żeby je zwabić i uśmiercić. Naprawdę, aż się człowiek zastanawia, ile tego jest. Ja tymczasem kursuję tam i z powrotem, dowożąc w torbach bagażowych kolejne parki szczurów, które podczas jazdy wariują ze strachu. I to jest najbardziej uciążliwe.

Czwarty kwietnia

Laureę jest teraz dla Sophie największą podporą psychiczną. Pojechałem do nauczycielki jeszcze raz, żeby sprawdzić kilka drobiazgów. Zastanawiałem się nawet, czy dziewczyna nie jest aby cichą lesbą, ale chyba nie. A jednak tak właśnie twierdzi autor anonimowych listów, które zaczynają krążyć po miasteczku i okolicach. Pierwszy dostało merostwo, następne służby socjalne i inspekcja akademicka. Wypisuje się w nich straszne rzeczy o Laureę: że jest nieuczciwa (w jednym z listów autor utrzymuje, że podciąga pieniądze ze szkolnej spółdzielni), że zachowuje się skandalicznie (stosuje szykany wobec niektórych uczniów), że jest niemoralna (podobno utrzymuje grzeszny związek z... Sophie Duguet); atmosfera w miasteczku robi się nieprzyjemna. W takich miejscach, gdzie nigdy nic się nie dzieje, tego typu sprawy robią więcej szumu

niż gdzie indziej. W mailach do Valerie Sophie opisuje Laureę jako „bardzo dzielną”. Ma okazję pomóc trochę bliźniemu, czuje się użyteczna.

Piętnasty kwietnia

Nareszcie pojawiła się sławna Valerie! Moim zdaniem ona i Sophie są bardzo do siebie podobne. Poznały się w liceum. Valerie pracuje w międzynarodowej firmie transportowej w Lyonie. W Internecie nie ma nic o „Valerie Jourdain”, ale pod hasłem „Jourdain” jest mnóstwo wpisów o całej rodzinie, poczynając od dziadka, twórcy rodzinnej fortuny, po wnuka, Henriego, starszego brata Valerie. Pod koniec dziewiętnastego wieku, kiedy zbili już spory majątek w branży włókienniczej, dziadek Alphonse Jourdain wpadł na genialny pomysł opatentowania syntetycznej nici bawełnianej, co zapewniło dostatnie życie dwóm pokoleniom jego potomków. Syn Alphonse’a zaś, a ojciec Valerie, drogą pomyślnych spekulacji (głównie na rynku nieruchomości) przedłużył pomyślną passę rodziny z dwóch do ośmiu - przyszłych - pokoleń. Jak zdołałem ustalić, sama tylko sprzedaż mieszkania zapewniłaby mu wolną od trosk egzystencję do sto trzydziestego roku życia.

Widziałem, jak obie spacerowały po parku. Jak Sophie z przybitą miną pokazuje jej usychające rośliny. Nawet drzewa. Nie wiadomo, co się dzieje.

Lepiej nie wiedzieć.

Valerie stara się, jak może. Pomaga trochę w malowaniu, ale już po chwili zapala papierosa, przysiadła na drabince i papie tak długo, aż zorientuje się, że Sophie już od godziny pracuje sama. Problem w tym, że boi się szcurów, że alarm, który samoistnie włącza się czasem nawet po cztery razy w ciągu nocy, wzbudza w niej paniczny lęk (wymaga to ode mnie oczywiście mnóstwa pracy, ale naprawdę warto). Uważa też, że straszne to zadanie. Wcale jej się nie dziwię.

Sophie przedstawiła jej swoją nową przyjaciółkę Laureę. Wygląda na to, że się polubiły. Ale dla Valerie pobyt w takiej

dziurze w towarzystwie Sophie, od długich miesięcy ciągle przygnębionej, oraz Laure, udręczonej falą anonimowych listów nieprzerwanie zalewającą miasteczko, to nie są żadne prawdziwe wakacje...

Trzydziesty kwietnia

Jeśli tak będzie dalej, w końcu nawet Valerie rozzłości się na Sophie. Co do Vincenta, to jest jak sfinks, nie wiadomo, co naprawdę o tym wszystkim myśli... Ale z Valerie jest inaczej. To chodząca spontaniczność, nie ma w niej za grosz wyrachowania.

Od wielu dni Sophie ją prosiła, żeby jeszcze trochę została. Chociaż kilka dni. Na próżno Valerie tłumaczyła, że nie może; Sophie nalegała. Nazywała ją

„maleńką”, ale przyjaciółką, która zapewne mogłaby przedłużyć pobyt, nie czuła się tu dobrze. Myślę, że za nic w świecie nie zostałaby dłużej. Tyle że w dniu wyjazdu nagle okazuje się, że nie może znaleźć biletu na pociąg.

Oczywiście od razu pomyślała, że to sprawka Sophie robiącej wszystko, żeby ją tu zatrzymać. Sophie zarzeka się, że to nie ona, Valerie udaje, że nie ma problemu, Vincent zdaje się uważać to za nieistotny incydent. Valerie zamówiła więc przez Internet nowy bilet. Była mniej rozmowna niż zwykle. Na dworcu pocałowały się. Valerie klepała po plecach Sophie, która płacząc, kiwała tylko głową. Myślę, że Valerie cieszyła się, że już wyjeżdża.

Dziesiąty maja

Kiedy zobaczyłem, że Laure zepsuł się samochód, natychmiast domyśliłem się, co będzie dalej, i postanowiłem ubiec fakty. Nie pomyliłem się. Nazajutrz Laure poprosiła, żeby Sophie pożyczyła jej samochód na cotygodniowe zakupy. Sophie uwielbia oddawać przysługi. Wszystko już było gotowe.

Zrobiłem, co miałem zrobić, a i dopisało mi też trochę szczęście, bo równie dobrze Laurę mogła niczego nie zauważyć. Ale zauważyła.

Otworzywszy bagażnik, żeby wypakować zakupy, dostrzegła w głębi kilka pism wystających z plastikowej torby. Teraz, kiedy jej życie przebiega pod znakiem napływających anonimów, musiało ją to zaintrygować. I kiedy w tych pismach zobaczyła strony, z których ktoś powycinał wiele liter, od razu skojarzyła fakty.

Oczekiwałem, że się wścieknie. Nic z tych rzeczy. Laurę jest osobą bardzo zrównoważoną, spokojną, i to właśnie lubi w niej Sophie. Pojechała do swojego mieszkania, zabrała kopie zgromadzonych w ostatnim czasie anonimów i z plikiem listów udała się prosto na komisariat w najbliższym mieście, gdzie wniosła skargę. Sophie zaczynała się już niepokoić, że przyjaciółka nie wróciła jeszcze z zakupów. W końcu Laurę przyjechała. Przez lornetkę widziałem, jak stoją naprzeciwko siebie. Laurę milczała. W ślad za nią zjawili się policjanci z nakazem przeszukania domu. Oczywiście nie musieli długo szukać; niebawem znaleźli inne czasopisma, które porozkładałem po całym domu. Przez kilka dobrych tygodni całe towarzystwo będzie żyło procesem o zniesławienie.

Sophie jest zrozpaczona. Tylko tego jej brakowało. Będzie musiała powiedzieć o tym Vincentowi. Mam wrażenie, że czasami odechciewa jej się żyć. I jest w ciąży.

Trzynasty maja

Całkowity upadek morale. Przez wiele dni dosłownie nie mogła dojść do siebie. Pracowała w domu, ale niewiele i nie wkładając w to serca.

Przypuszczam, że nie chce nawet wychodzić z domu.

Nie wiem, co z robotnikami, ale już ich tam nie widzę. Obawiam się, że ci od ubezpieczeń mogą stwarzać pewne trudności. Możliwe, że alarm powinien zostać wcześniej zainstalowany, nie wiem, ci ludzie są takimi formalistami.

Jednym słowem brak jakiegokolwiek postępu. Na twarzy Sophie widać strapienie i zniechęcenie. Spędza długie godziny na dworze, paląc papierosy. W jej stanie to niezbyt wskazane.

Dwudziesty trzeci maja

Pod koniec dnia na niebie zaczęły się kłębić wielkie ciemne chmury. Koło dziewiętnastej spadł deszcz. Kiedy Vincent Duguet mnie wyprzedził, było kwadrans po dwudziestej pierwszej i łało jak z cebra.

Vincent jest człowiekiem ostrożnym i sumiennym. Prowadzi samochód z rozsądną szybkością i włącza kierunkowskazy, kiedy trzeba. Wjechałszy na szosę krajową, przyspieszył. Przez wiele kilometrów szosa biegnie po prostej, a potem dziwnie, powiedziałbym wręcz gwałtownie, skręca w lewo. Mimo sygnalizacji wielu kierowców musiało to zaskoczyć, tym bardziej że droga w tym miejscu jest obsadzona dużymi drzewami, zasłaniającymi zakręt, w który wjeżdża się ze sporą szybkością. Nie Vincent, oczywiście, który rzadko ulega emocjom i który od wielu tygodni kursuje tą trasą. Co nie zmienia faktu, że przyzwyczajony do czegoś człowiek zapomina o zagrożeniu, nawet o nim nie myśli. Vincent wszedł w zakręt z pewnością osoby znającej teren. Deszcz był coraz bardziej ulewny. Jechałem tuż za nim. W odpowiednim momencie wyprzedziłem go, a potem wykonałem gwałtowny skręt, tak gwałtowny, że tył motoru otarł się o jego przedni zderzak. Na zakończenie manewru wpadłem w kontrolowany poślizg, po czym ostro zahamowałem, żeby wyprostować maszynę. Efekt zaskoczenia, deszcz, nagłe pojawienie się motoru, który skręca przed maską tak blisko, że się o nią ociera, i który nagle wpada przed jego samochodem w poślizg... Vincent Duguet dosłownie stracił głowę. Ostro, zbyt ostro zahamował. Próbował wyprostować auto, a wtedy przed maską zobaczył mnie na motorze stojącym na jednym kole. Chcąc uniknąć zderzenia, gwałtownie skręcił kierownicą i... Stało się. Jego wozem obróciło o trzysta sześćdziesiąt stopni, opony złapały pobocze i

to był początek końca.

Samochodem rzucało w prawo, w lewo, silnik wył i wóz z przeraźliwym szczękiem metalu rąbnął w drzewo; dosłownie się w nie wbił, stanął na tylnych kołach, z przodem maski uniesionym prawie pół metra nad ziemią.

Zsiadłem z motoru i podbiegłem do samochodu. Mimo rześkiego deszczu bałem się pożaru, musiałem działać szybko, podszedłem do przednich drzwi od lewej strony. Vincent miał klatkę piersiową zmiażdżoną na desce rozdzielczej, nie wiem, jak to możliwe, ale poduszka powietrzna chyba zawiodła.. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem, prawdopodobnie chciałem się upewnić, że nie żyje.

Uniosłem daszek kasku, złapałem go za włosy i odwróciłem głowę Vincenta w swoją stronę. Jego twarz ociekała krwią, ale nikt by nie uwierzył w to, co zobaczyłem: szeroko otwartymi oczami wpatrywał się we mnie! To spojrzenie sparaliżowało mnie... Gęsty deszcz zalewał wnętrze wozu, krew zalewała twarz Vincenta, tymczasem jego oczy wpatrywały się we mnie z napięciem, które napełniło mnie autentyczną grozą. Przez dłuższą chwilę tak na siebie patrzyliśmy. Puściłem jego głowę, która ciężko opadła z powrotem na bok, i przysięgam: nadal miał otwarte oczy. Ale teraz był w nich już inny rodzaj nieruchomości. Jakby nareszcie umarł. Pognałem z powrotem do motoru i w te pędy ruszyłem. Kilka sekund później minął mnie jakiś samochód, a w lusterku wstecznym ujrzałem jego zapalające się światła stopu...

Spojrzenie Vincenta dosłownie wlepione w moje oczy nie pozwalało mi zasnąć. Czy w końcu wyzionął ducha? A jeśli nie, to czy mnie będzie pamiętał?

Czy skojarzy mnie z motocyklistą, którego niedawno potracił?

Dwudziesty piąty maja

Jestem na bieżąco dzięki mailom Sophie do jej ojca. Ten ostatni upiera się, żeby do niej przyjechać, ale Sophie się nie

zgadza. Mówi, że potrzebuje samotności. Zważywszy, jak wygląda jej życie, ma wszystkiego dosyć...

Vincent został natychmiast przewieziony do Garches. Chciałbym jak najszybciej się czegoś dowiedzieć. Nie mam pojęcia, jaki obrót przybiorą teraz sprawy.

Trochę się jednak uspokoilem: z Vincentem jest źle. Można powiedzieć, że wręcz bardzo źle.

Trzydziesty maja

Musiałem poczynić pewne kroki, w przeciwnym razie mógłbym ją stracić. Teraz już zawsze będę wiedział, gdzie w danej chwili przebywa Sophie.

Tak jest bezpieczniej.

Patrzę na nią: nikt by nie powiedział, że jest w ciąży. Są kobiety, u których widać ten stan właściwie dopiero pod koniec.

Piąty czerwca

Oczywiście musiało do tego dojść. To z pewnością efekt kumulacji: najpierw długie miesiące napięcia i przykrości, po czym w ostatnich tygodniach przyspieszenie: pozew Laurę o zniesławienie, wypadek Vincenta. Wczoraj Sophie w środku nocy pojechała, rzecz dziwna, do Senlis. Zastanawiałem się, jaki to może mieć związek z Vincentem. Nie miało żadnego. Sophie poroniła.

Pewnie skutkiem nadmiaru emocji.

Siódmy czerwca

Wczoraj w nocy fatalnie się poczułem. Obudził mnie jakiś dziwny niepokój. Od razu rozpoznałem symptomy. Tak na mnie działa wszystko, co ma związek z macierzyństwem. Nie zawsze,

ale często. Kiedy śnią mi się moje własne narodziny i wyobrażam sobie uszczęśliwioną twarz mamy, jej nieobecność napełnia mnie dotkliwym bólem.

Ósmy czerwca

Vincent został przewieziony do kliniki SainteHilaire na rekonwalescencję. Wieści są jeszcze bardziej alarmujące, niż myślałem. Za jakiś miesiąc prawdopodobnie wróci do domu.

Dwudziesty drugi lipca

Przez pewien czas nie widywałem Sophie. Pojechała do swojego ojca. Spędziła u niego tylko cztery dni. Stamtąd pojechała prosto do Garches zobaczyć się z Vincentem.

Wieści naprawdę nie są dobre...

Trzynasty września

Dobry Boże...! Wciąż jeszcze nie mogę ochłonąć z wrażenia.

Spodziewałem się tego, ale żeby aż do tego stopnia... Z maila Sophie do ojca dowiedziałem się, że Vincent dziś rano ma opuścić szpital. Wczesnym rankiem zająłem stanowisko w parku przy klinice, na jego północnym skraju, skąd miałem widok na cały budynek. Znajdowałem się na posterunku od jakichś piętnastu minut, kiedy pojawili się przy wejściu do głównego budynku. Sophie popychała fotel męża po rampie dla niepełnosprawnych. Nie widziałem ich zbyt wyraźnie. Wstałem więc i ruszyłem równoległą aleją, żeby podejść bliżej. Co za widok...! Mężczyzna na wózku inwalidzkim jest cieniem dawnego Vincenta.

Jego kręgosłup musiał zostać paskudnie uszkodzony, ale to nie tylko to. Waży teraz chyba nie więcej niż czterdzieści pięć kilo. Dosłownie zapadł się w sobie; jego głowę podtrzymuje

kołnierz ortopedyczny, z tego, co zdołałem zobaczyć, spojrzenie ma szkliste, a skórę żółtą jak cytryna. Strach pomyśleć, że ten człowiek nie ma jeszcze trzydziestu lat.

Sophie pcha fotel z cudownym poświęceniem. Jest spokojna, patrzy prosto przed siebie. Mam wrażenie, że porusza się krokiem nieco mechanicznym, ale to zrozumiałe; dziewczyna ma poważne kłopoty. Podoba mi się w niej to, że nawet w takich okolicznościach nie popada w wulgarność: nie zachowuje się jak siostra miłosierdzia czy udręczona pielęgniarka. Po prostu popycha fotel. A przecież musi myśleć i zastanawiać się, co pocznie z takim warzywem. Skądinąd ja też.

Osiemnasty października

To bardzo smutne. Ta dziura sama w sobie nie była nigdy, oględnie mówiąc, zbyt radosna, ale teraz to już zupełna groza. Ogromny dom i młoda, samotna kobieta, która przy najmniejszym promyku słońca wyprowadza na ganek fotel z kaleką absorbującym każdą jej chwilę, pochłaniającym całą jej energię... to takie patetyczne. Okrywa go szalami, przysiadła na krześle obok jego fotela i paląc papierosa za papierosem, mówi do niego. Nie wiadomo, czy on rozumie jej słowa, bo nieustannie kiwa głową: i wtedy, kiedy Sophie mówi, i kiedy milczy. Przez lornetkę widzę, że ciągle się ślini, co wygląda raczej nieprzyjemnie. Próbuje coś powiedzieć, ale nie może. To znaczy stracił dar mowy. Wydaje z siebie jakieś dźwięki, pomruki, oboje starają się jakoś porozumieć. Sophie wykazuje anielską cierpliwość... Ja bym tak nie mógł.

Co do reszty, jestem bardzo dyskretny. Z niczym nie wolno przedobrzyć.

Zjawiam się w nocy między pierwszą a czwartą nad ranem, z całej siły trzaskam okiennicą, a pół godziny później rozbijam żarówkę na ganku. Czekam, aż w sypialni Sophie, a potem w oknie na klatce schodowej zapali się światło, i spokojnie wracam. Ważne jest podtrzymanie atmosfery.

Dwudziesty szósty października

Zima nadeszła dość wcześnie.

Dowiedziałem się, że Laurę wycofała skargę przeciwko Sophie. A nawet ją odwiedziła. Między nimi nigdy nie będzie już jak dawniej, ale Laurę ma miękkie serce i widocznie nie jest zawzięta. Sophie jest po prostu przezroczyista.

Składałam jej wizytę przeciętnie dwa razy w tygodniu (dozuję lekarstwa, czytam pocztę z poprzednich dni); w pozostałym czasie informacje czerpię z jej maili. Nie bardzo mi się podoba cała ta sytuacja. Możemy całymi miesiącami, a nawet latami trwać w takim przygnębiającym letargu. Trzeba będzie to zmienić.

Sophie próbuje zorganizować sobie życie, poprosiła o pomoc domową, lecz tutaj trudno taką znaleźć, nie mówiąc już o tym, że wcale mi na tym nie zależy.

Wybrałem metodę drobnych kroków. Liczę, że w jej wieku, nawet przy wielkiej miłości, Sophie w końcu się zmęczy, zacznie zadawać sobie pytania, co ona tu robi, jak długo zdoła wszystko wytrzymać. Widzę, że szuka różnych rozwiązań; rozgląda się za innym domem, rozważa powrót do Paryża. Mnie tam wszystko pasuje. Jedyne, czego nie chcę, to cackać się zbyt długo z tym warzywem.

Szesnasty listopada

Sophie nie ma chwili wytchnienia. Początkowo Vincent spokojnie siedział w fotelu, a wtedy ona mogła zająć się czym innym i tylko do niego zaglądać... Teraz zrobiło się to trudniejsze. A od pewnego czasu nawet dużo trudniejsze. Kiedy zostawi go na ganku, kilka minut później jego fotel przesuwają się i niewiele brakuje, żeby zleciał w dół. Sprowadziła więc robotnika, który zainstalował rampę oraz barierki ochronne wszędzie tam, dokąd ewentualnie mógłby się zapuścić. Nie wiadomo, jak to możliwe, ale czasami potrafi dojechać nawet

do kuchni. Od czasu do czasu udaje mu się chwytać różne przedmioty, co może być niebezpieczne, albo zaczyna krzyczeć. Sophie nadbiega, nie może jednak zrozumieć, skąd nagle taki wrzask. Jej mąż zdążył mnie już dobrze poznać. Ilekroć widzi, że nadchodzę, wytrzeszcza oczy i zaczyna coś bełkotać.

Ewidentnie się boi. Czuje się już teraz całkowicie bezbronny.

Sophie pisze o wszystkich tych przykrych incydentach do Valerie (która wciąż obiecuje, że do niej przyjedzie, ale jakoś nie może się zdecydować kiedy).

Trudno jej opanować lęki, pochłania mnóstwo leków, sama nie wie, co robić, pyta o radę ojca, Valerie, całymi godzinami siedzi w Internecie, szukając domu, mieszkania, do reszty traci już głowę... Valerie, ojciec, wszyscy radzą jej, żeby umieściła Vincenta w specjalistycznym ośrodku, ale na tym się kończy.

Dziewiętnasty grudnia

Druga pomoc domowa nie chciała zostać. Jak również nie chciała powiedzieć dlaczego. Sophie nie ma pojęcia, jak sobie poradzi; ośrodek pomocy uprzedza, że inną będzie znaleźć trudno.

Nie wiedziałem, czyjej mąż zachował libido, czy normalnie funkcjonuje, a jeśli tak, to jak ona rozwiąże ów problem. Okazało się, że to drobiazg. Vincent oczywiście nie ma już tej zdobywczości i wigoru co zeszłego roku podczas sławnych (zbyt sławnych) wakacji w Grecji. Sophie po prostu oddaje mu drobną przysługę. Bardzo się stara, ale wyczuwa się, że duchem jest trochę nieobecna.

Tyle że wtedy nie płacze. Dopiero potem.

Dwudziesty trzeci grudnia

Smutna Gwiazdka, tym smutniejsza, że dziś wypada pierwsza rocznica śmierci matki Vincenta.

Dwudziesty piąty grudnia

Pierwszego dnia świąt! W salonie, w którym spokojnie drzemał Vincent, wybuchł pożar. W kilka minut choinka zajęła się ogniem - płomienie strzelały w górę naprawdę wysoko. Sophie ledwie zdążyła odciągnąć fotel z Vincentem (który był jak potępieniec) i oblać wodą drzewko, jednocześnie dzwoniąc po straż. Więcej było strachu niż szkody. Za to strachu prawdziwego. Nawet strażacy ochotnicy, których poczęstowała kawą w wilgoci pomieszczenia będącego kiedyś salonem, życzliwie doradzili jej umieszczenie Vincenta w ośrodku.

Dziewiąty stycznia

Wystarczyło się zdecydować. Listów urzędowych nie zatrzymuję. Dzięki temu Sophie znalazła ośrodek opieki na przedmieściach Paryża. Tam zajmą się Vincentem jak należy; miał wysokie ubezpieczenie. Zawiozła go na miejsce; klęka przy jego fotelu, trzyma go za ręce, cicho do niego przemawia, przedstawia mu plusy takiego rozwiązania. On coś niezrozumiale bełkocze.

Zostawszy sama, Sophie wybucha płaczem.

Drugi lutego

Złagodziłem nieco presję na Sophie, dając jej czas na zorganizowanie sobie życia. Poprzestaję na podciąganiu różnych drobiazgów, lekkiej ingerencji w jej kalendarz, ale dla niej to coś tak zwykłego, że nawet jej już nie niepokoi.

Przyzwyczaiła się z tym żyć. I nagle nieco odetchnęła. Z początku jeździła do Vincenta codziennie, ale przy takich postanowieniach trudno długo wytrwać.

Dopadają więc nieznośne poczucie winy, o czym świadczą jej kontakty z ojcem, któremu nie ma odwagi nawet o tym

wspomnieć.

Teraz, kiedy Vincent jest w ośrodku, wystawiła dom na sprzedaż. I wyprzedaje rzeczy. Odwiedzają ją różni dziwni ludzie: handlarze starzyzną, antykwariusze, ochotnicy z fundacji charytatywnej. Samochody zjawiają się jeden po drugim; Sophie z podniesioną głową stoi na ganku, patrząc, jak nadjeżdżają, ale nigdy jej nie widać, kiedy odjeżdżają. A w tym czasie trwa pakowanie kolejnych kartonów i mebli, nieprawdopodobnych gratów. To zabawne: kiedy zobaczyłem te meble i przedmioty tamtej nocy w jej domu, wydały mi się ładne, a teraz, kiedy widzę je pakowane, przestawiane, wynoszone, nagle zaczęły wyglądać brzydko i posepnie. Samo życie.

Dziewiąty lutego

Przedwczoraj, koło dwudziestej trzeciej, Sophie odjechała pędem taksówką.

Pokój Vincenta znajduje się na drugim piętrze. Udało mu się odryglować drzwi prowadzące na stare, monumentalne schody i stoczył się z fotelem na dół. Pielęgniarki nie mają pojęcia, jak zdołał to zrobić, ale facet musiał mieć jeszcze niesamowitą siłę.

Wykorzystał tę porę dnia po posiłku, kiedy pensjonariusze zbierają się, żeby zagrać w zespołowe gry, a inni są masowani przed telewizorami. Śmierć na miejscu. Skądinąd dziwne - zginął w identyczny sposób jak jego matka. I jak tu nie mówić o ręce przeznaczenia...

Dwunasty lutego

Sophie postanowiła Vincenta skremować. W ceremonii wzięło udział niewiele osób: ojciec Sophie, ojciec Vincenta, jego dawni koledzy, kilku rzadko przez Sophie widywanych członków obu rodzin. Dopiero w takich sytuacjach widać, jak bardzo odseparowała się od ludzi. Valerie przyjechała.

Siedemnasty lutego

Liczyłem, że po śmierci Vincenta Sophie odczuje pewną ulgę. Od wielu tygodni musiała wyobrażać sobie, co ją czeka, tę konieczność odwiedzania go przez długie lata... Ale ona reaguje inaczej: nie dają jej spokoju wyrzuty sumienia. Gdyby nie oddała męża do ośrodka, gdyby miała odwagę zajmować się nim do końca, Vincent jeszcze by żył. Na próżno Valerie pisze, że trudno to nazwać życiem; Sophie dręczy okropne poczucie winy. Myślę, że mimo wszystko rozsądek weźmie górę. Wcześniej czy później.

Dziewiętnasty lutego

Sophie pojechała na kilka dni do ojca. Nie uznałem za konieczne, żeby jej towarzyszyć. Zresztą i tak zabrała lekarstwa.

Dwudziesty piąty lutego

Dzielnica jest porządna. Może ja sam niekoniecznie bym ją wybrał, ale jest w porządku. Sophie wprowadziła się do mieszkania na trzecim piętrze. Będę musiał znaleźć sposób, żeby któregoś dnia tam wpaść. Nie mam co liczyć, rzecz jasna, na znalezienie punktu obserwacyjnego równie dogodnego jak tamten, który mi się trafił kiedyś, gdy Sophie była młodą szczęśliwą kobietą... Ale postaram się.

Nie przywiozła tu z sobą prawie nic. A przecież po wielkiej wyprzedaży w Oise musiało zostać trochę rzeczy. Wielkość ciężarówki, którą wynajęła, nijak się miała do wozu z poprzedniej przeprowadzki. Ja, który przywiązuję wagę do symboli, upatruję w tym pewien znak, skądinąd dość pomyślny. Kilka miesięcy wcześniej wyjechała z Paryża z mężem, z mnóstwem mebli, książek i obrazów oraz z dzieckiem

w brzuchu. Teraz wraca sama, tylko z małą furgonetką. To już nie ta dawna młoda kobieta, zakochana i tryskająca energią.

Zupełnie nie. Czasami oglądam fotografie z tamtych czasów, zdjęcia z wakacji.

Siódmy marca

Sophie postanowiła poszukać pracy. Nie w branży, nie ma już żadnych znajomości, a przede wszystkim przebojowości koniecznej przy tego typu zajęciu. Nie mówiąc już o okolicznościach, w jakich odeszła z pracy... Z daleka śledzę jej poczynania. Mnie wszystko pasuje. Odwiedza firmy, umawia się na spotkania. Wyraźnie weźmie byle co. Tak jakby chodziło jej tylko o to, żeby się czymś zająć. W swoich mailach prawie o szukaniu pracy nie wspomina. To sprawa czysto praktyczna.

Trzynasty marca

Tego się nie spodziewałem: niańka! W ogłoszeniu mowa jest o „opiekunce do dziecka”. Sophie spodobała się szefowej agencji pośrednictwa pracy. I potem już poszło szybko: jeszcze tego samego wieczoru została zatrudniona u państwa Gervais. Muszę się o nich czegoś dowiedzieć. Widziałem Sophie z chłopczykiem na oko pięcio, sześcioletnim. Po raz pierwszy od miesięcy dostrzegłem uśmiech na jej twarzy. Nie bardzo mogę się połapać w godzinach jej pracy.

Dwudziesty czwarty marca

W południe przychodzi sprzątaczką. Do mieszkania najczęściej wpuszcza ją Sophie. Ale ponieważ przychodzi również w te dni, kiedy Sophie ma wolne, wywnioskowałem, że ma własne klucze do mieszkania. To gruba kobieta w nieokreślonym wieku, nierozstająca się ze swoją brązową

plastikową torbą na zakupy. W weekendy nie przychodzi. Przez wiele dni ją obserwowałem, poznałem trasy, którymi się porusza, jej przyzwyczajenia; stałem się prawdziwym ekspertem. Przed rozpoczęciem pracy wstępuje do Triangle, kafejki na rogu ulicy, żeby wypalić ostatniego papierosa. Widocznie w domu państwa Gervais nie może palić. Jej słabość to obstawianie wyścigów konnych.

Usiadłem przy sąsiednim stoliku i kiedy ustawiła się w kolejce do bukmachera, sięgnąłem ręką do jej torby. Znalezienie pęku kluczy zajęło mi tylko chwilę. W sobotę rano wybrałem się do Villeparisis (niesamowite, jaką trasę odbywa ta kobieta!) i kiedy robiła zakupy, włożyłem klucze z powrotem do torby. Skończy się na strachu... Odtąd w mieszkaniu państwa Gervais jestem stałym gościem.

Drugi kwietnia

Tak naprawdę nic się nie zmieniło. Wystarczyły dwa tygodnie i Sophie znów zgubiła dokumenty, jej budzik nie dzwoni na czas (już w pierwszym tygodniu przyszła spóźniona)... Zwiększam presję i czekam na stosowną okazję.

Dotąd umiałem zachować cierpliwość, ale teraz chciałbym już przejść do planu B.

Trzeci maja

Od dwóch miesięcy, i to mimo faktu, że lubi swoją nową pracę, Sophie znów zaczęła mieć te same dolegliwości psychiczne, co przed rokiem.

Identyczne. Ale pojawiło się też u niej coś zupełnie nowego - rozdrażnienie.

Czasami nawet mnie trudno za nią nadążyć. Prawdopodobnie jej podświadomość buntuje się i burzy. Wcześniej tego nie było; Sophie pogodziła się ze swoim obłędem. Ale teraz, sam nie wiem, chyba przebrała się miarka.

Widzę, że złości się, z trudem mityguje gniew: odzywa się do ludzi arogancko, jakby miała do nich wciąż o coś pretensję, jakby nikogo nie lubiła. Choć to przecież nie wina innych, że taka jest. Moim zdaniem zrobiła się agresywna. W krótkim czasie zyskała w dzielnicy paskudną reputację... Za grosz w niej cierpliwości. W przypadku opiekunki do dziecka to grzech niewybaczalny. A problemy osobiste (przyznaję, że ma ich całkiem sporo...) odbija sobie na otoczeniu. Czasem ma się wrażenie, że chodzą jej mordercze myśli po głowie.

Gdybym ja był rodzicem, nigdy nie powierzyłbym sześciolatniego dziecka dziewczynie takiej jak Sophie.

Dwudziesty ósmy maja

I nie myliłem się... Zobaczyłem ich oboje na skwerze Dantremonta.

Wszystko wyglądało spokojnie. Sophie siedziała na ławce, sprawiała wrażenie zamyślanej. Nie wiem, co się stało, ale kilka minut później z rozjuszoną miną maszerowała wielkimi krokami po chodniku. Daleko w tyle szedł nadąsany dzieciak. Kiedy Sophie odwróciła się i wystartowała do niego, od razu wiedziałem, że to się źle skończy. Policzek! Wymierzony z nienawiścią policzek, z rodzaju tych, które mają oduczyć, ukarać. Małego zatkało. Ją też.

Jakby ocknęła się z koszmarnego snu. Przez chwilę stali naprzeciwko siebie, nic nie mówiąc. Światło zmieniło się na zielone, więc spokojnie ruszyłem. Sophie rozglądała się wokół jakby w obawie, że ktoś to zobaczył, że zażąda od niej wyjaśnień. Coś mi się wydaje, że nie znosi tego dziecka.

Wczoraj została u nich na noc. Zdarza się to bardzo rzadko. Najczęściej, niezależnie od godziny, woli wrócić do domu. Znam mieszkanie państwa Gervais. Kiedy Sophie tam nocuje, są dwa rozwiązania, ponieważ są dwa pokoje gościnne. Obserwowałem, w którym pojawi się światło. Sophie opowiedziała małemu bajkę, potem zobaczyłem, jak wypala w oknie ostatniego papierosa, zapala światło w łazience, a potem

w całym mieszkaniu zapadła ciemność. Żeby dostać się do pokoju dziecka, trzeba przejść przez pokój, w którym śpi Sophie.

Jestem pewny, że w takie wieczory, nie chcąc jej obudzić, rodzice nie zaglądną już do swojej pociechy.

O pierwszej dwadzieścia nad ranem wrócili rodzice. Wieczorne ablucje i przed drugą światło w oknach w ich sypialni zgasło. Wszedłem na górę o czwartej. W drugim korytarzu znalazłem jej buty sportowe, wyjąłem z nich sznurowadła i tą samą drogą wróciłem. Przez chwilę nasłuchiwałem oddechu śpiącej Sophie, po czym powoli, bardzo cicho przeszedłem przez jej pokój.

Mały głęboko spał, lekko pochrapując. Myślę, że nie cierpiał długo. Owinąłem mu sznurowadło wokół szyi, unieruchomiłem jego głowę poduszką przytrzymywaną ramieniem, a potem poszło już bardzo szybko. Ale to było straszne. Zaczął się wściekle rzucać. Czulem, że zaraz zwymiotuję, do oczu napłynęły mi łzy. Raptem poczułem pewność, że te sekundy czynią ze mnie innego człowieka. To było najbardziej przykre ze wszystkiego, co dotąd zmuszony byłem zrobić. Udało mi się, ale już nigdy nie dojdę do siebie. Wraz z tym dzieckiem coś we mnie umarło. Coś, dziecko we mnie, o którym nie wiedziałem, że jeszcze we mnie żyło.

Rankiem zaniepokoiło mnie, że nie widzę Sophie wychodzącej z budynku. To do niej niepodobne. Nie mam pojęcia, co działo się w mieszkaniu.

Dwukrotnie zatelefonowałem. A kilka minut później, kilka niekończących się minut później, nareszcie ujrzałem, jak spanikowana Sophie wybiega. Pojechała metrem, a potem popędziła do swojego mieszkania zabrać trochę ubrań. Bierze taksówkę i wpada do banku dosłownie w ostatniej chwili przed zamknięciem.

Sophie była uciekinierką.

Nazajutrz rano w „Le Matin” pojawił się tytuł: „Sześćioletnie dziecko uduszone we śnie. Policja poszukuje jego opiekunki”.

Styczeń 2004 roku

Zeszłego roku w lutym w „Le Matin” pojawił się tytuł: „Gdzie podziewa się Sophie Duguet?”.

W owym czasie wyszło na jaw, że zaraz po małym Leo Gervais Sophie ukatrupiła również niejaką Veronique Fabre, której dokumenty umożliwiły jej ucieczkę. A wtedy jeszcze nie wiadomo, że w czerwcu następnego roku to samo spotka kierownika fastfoodu, który zatrudniał ją na czarno.

Ta dziewczyna ma energię, o jaką nikt by jej nie podejrzewał. Nawet ja, choć jestem osobą, która zna ją najlepiej. „Instykt przetrwania” to nie są czcze słowa. Żeby Sophie się powiodło, musiałem jej na odległość trochę pomóc, lecz skłonny jestem przypuszczać, że być może wyszłaby obronną ręką nawet i beze mnie. W każdym razie fakt jest faktem: Sophie nadal przebywa na wolności.

Wielokrotnie zmieniała miasta, fryzurę, wygląd, zwyczaje, zawód, znajomości.

Mimo komplikacji, jakie pociągała jej ucieczka, skazująca ją na życie bez dokumentów oraz ciągle zmiany miejsca pobytu, udało mi się wywierać na nią skuteczną presję, albowiem moje metody są niezawodne. W ciągu tych długich miesięcy ona i ja byliśmy jak dwójka ślepych bohaterów tej samej tragedii: pisane jest nam spotkać się, i chwila ta się zbliża.

Podobno o sukcesie wojen napoleońskich przesądziła zmiana strategii. I również to zadecydowało o sukcesie Sophie. Setki razy zmieniała trasę. A niedawno znów zmieniła plany. Teraz zamierza po raz kolejny zmienić nazwisko... To stosunkowo nowy pomysł. Przy pomocy poznanej przez nią prostytutki udało jej się kupić prawdziwe fałszywe dokumenty. Dokumenty nawet bardzo fałszywe, lecz wydane na prawdziwe nazwisko, wręcz do sprawdzenia, w każdym razie nazwisko bez zarzutu, niczym nieobciążone. I zaraz potem znów zmieniła miasto. Muszę przyznać, że w pierwszym momencie nie bardzo mogłem zrozumieć, czemu ma służyć nabycie za tak kosmiczną cenę wyciągu z aktu urodzenia, którego ważność nie przekracza trzech miesięcy.

Zrozumiałem to, kiedy ujrzałem ją wchodzącą do agencji matrymonialnej.

To bardzo sprytnie posunięcie. Mimo że nadal dręczą ją bezimienne koszmary, że od rana do wieczora trzęsie się jak osika, że obsesyjnie kontroluje swoje gesty i poczynania, to muszę przyznać, że posiada rzadko spotykaną zdolność reagowania. I to zmusiło mnie do szybkiego przystosowania się.

Skłamałbym, twierdząc, że nie było to łatwe. W końcu tak dobrze ją znam... Doskonale wiedziałem, jak zareaguje i czym będzie zainteresowana.

Doskonale wiedziałem, czego szuka i że tylko ja jeden zdołam bezbłędnie wstrzelić się w jej oczekiwania. Dla pełnej wiarygodności nie powinienem być idealnym kandydatem, trzeba to było rozegrać z wyczuciem. Z początku mnie odprawiła. A potem czas zrobił swoje. Wahala się, znowu wróciła. Potrafiłem się wtedy zachować na tyle niezręcznie, by wypaść wiarygodnie, na tyle sprytnie, by jej nie zniechęcić. Starszy sierżant w oddziale łączności, kretyn, ale do wytrzymania. A że miała tylko trzy krótkie miesiące, kilka tygodni temu postanowiła zwiększyć tempo. Spędziliśmy kilka nocy razem. Myślę, że i w tym przypadku rozegrałem sprawę z niezbędną finezją.

Skutkiem czego przedwczoraj Sophie poprosiła mnie o rękę. Zgodziłem się.

FRANTZ I SOPHIE

Mieszkanie nie jest duże, ale bardzo ustawne. W sam raz dla dwóch osób.

Tak powiedział Frantz, kiedy się wprowadzili, i Sophie przyznaje mu rację. Trzy pokoje na ostatnim piętrze, w tym dwa z balkonowymi oknami wychodzącymi na niewielki park przy ich budynku. Miejsce jest ciche i spokojne. Niedługo po tym, jak tu zamieszkali, Frantz pokazał jej bazę wojskową znajdującą się zaledwie dwanaście kilometrów dalej, ale nie weszli na jej teren. Tyle że przechodząc, Frantz dyskretnym skinięciem pozdrowił strażnika, który z pewnym roztargnieniem odpowiedział tym samym. Ponieważ ma stałe, a zarazem elastyczne godziny pracy, wychodzi z domu dość późno i wraca stosunkowo wcześnie.

Pobrali się w merostwie w ChateauLuc. Do Frantza należało sprowadzenie dwóch świadków. Sophie spodziewała się raczej, że przedstawi jej dwóch kolegów z bazy, ale on powiedział, że woli uroczystość czysto prywatną (musi być jednak dość zaradny, skoro udało mu się z tej okazji załatwić osiem dni wolnego...), na schodach merostwa czekało na nich dwóch pięćdziesięcioletnich mężczyzn wyglądających na znajomków. Niezgrabnie uściśliła dłoń Sophie, ale Frantzowi skinęła tylko głową. Zastępczyni mera zaprosiła ich do sali ślubów, a stwierdziwszy, że jest ich tylko czworo, zapytała:

„To wszyscy?” i zasznurowała usta. Sprawiała wrażenie osoby pragnącej jak najszybciej odbębnić uroczystość.

- Najważniejsze, że wykonała zadanie - stwierdził Frantz.

Wyrażenie wojskowe.

Frantz mógłby wziąć ślub w mundurze, ale wolał garnitur, skutkiem czego Sophie nigdy, nawet na zdjęciu, nie widziała go

w stroju wojskowym; sama wystąpiła we wzorzystej sukience, zgrabnie podkreślającej biodra. Kilka dni później Frantz, rumieniąc się, pokazał jej ślubną suknię swojej matki. Choć trochę już podniszczona, wspaniała muślinowa kreacja barwy topniejącego śniegu zauroczyła Sophie. Jakkolwiek suknia ta swoje musiała przejść; w niektórych miejscach materiał był ciemniejszy, jakby niegdyś został czymś poplamiony. Frantz wyraźnie kierował się ukrytą intencją - ale kiedy stwierdził rzeczywisty stan sukni, sprawa sama z siebie upadła. Sophie wyraziła zdziwienie, że zachował ten relikwiarz przeszłości. „Owszem - odparł zaskoczony. -

Sam nie wiem dlaczego... Powinienem ją wyrzucić, w końcu to tylko stary łach”. Mimo wszystko schował ją z powrotem do szafy w korytarzu, wywołując tym uśmiech Sophie. Kiedy wyszli z merostwa, wręczył swój aparat cyfrowy jednemu ze świadków i krótko wyjaśnił, jak skadrować zdjęcie. „Potem wystarczy nacisnąć o, tutaj...”. Sophie z ociąganiem stanęła obok niego na schodach merostwa. Potem Frantz odszedł na bok ze świadkami, a ona odwróciła głowę, nie chcąc widzieć, jak banknoty zmieniają właściciela. „W końcu to ślub...”, pomyślała trochę od rzeczy.

Jako mąż Frantz nie do końca odpowiada wyobrażeniu, jakie Sophie wyrobiła sobie o nim jako „narzeczonym”. Jest delikatniejszy, mniej obcesowy w słowach. Jak to często bywa w przypadku osób dość prostych, potrafi czasami powiedzieć coś zaskakująco głębokiego. Od kiedy nie czuje się już w obowiązku podtrzymywania konwersacji, stał się też bardziej małomówny, lecz nadal patrzy na Sophie jak na ósmy cud świata, jak na spełnione marzenie. Z taką łagodnością nazywają „Marianę”, że Sophie w końcu przywykła do tego imienia. Jest wręcz żywym przykładem „mężczyzny troskliwego”. Sophie z zaskoczeniem stwierdza, że zaczyna odkrywać w nim pewne zalety. Pierwszą, i to taką, o jakiej nigdy by nie pomyślała, jest fizyczna siła Frantza. Choć muskularni mężczyźni nigdy nie stanowili obiektu jej erotycznych fantazji, od pierwszych

wspólnych nocy z Frantzem była szczęśliwa, czując jego mocne ramiona, twarde brzuch, rzeźbę klatki piersiowej. Zaczęła się w niej budzić tęsknota za opiekuńczością. Jakieś skrajne zmęczenie i napięcie w głębi niej nieco zelżało. To wszystko, co spotkało ją w życiu, odebrało jej wszelką nadzieję na prawdziwe szczęście, tymczasem teraz odczuwa zadowolenie, które niemal jej wystarcza. W oparciu o taki model wiele par przeżyło razem dziesięciolecia. Wybrała Frantza z pewnym lekceważeniem, ponieważ był nieskomplikowany. A teraz z poczuciem ulgi zaczyna darzyć go pewnym szacunkiem. Nie do końca tego świadoma wtulała się w niego w łóżku, pozwalala się obejmować, pozwalała się całować, pozwalała się brać i tym sposobem pierwsze tygodnie małżeństwa upłynęły jej w nowych proporcjach czerni i bieli. Jeśli chodzi o czarną stronę - twarze zmarłych nie zniknęły, ale powracały już rzadziej, jakby nabierały dystansu. Co do stron jasnych - sypiała teraz lepiej, czuła nie tyle, że odżywa, ile że przynajmniej coś się w niej budzi: znajdowała istic dziecięcą przyjemność w sprzątanu, w urządzaniu kuchni - jak w zabawie w domek dla lalek - w szukaniu pracy, niezbyt zresztą pilnie, bo jak zapewniał Frantz, jego żołd wystarczy do zapewnienia im spokojnego życia.

Z początku Frantz wychodził do bazy przed dziewiątą i wracał między szesnastą a siedemnastą. Wieczorem szli do kina lub na kolację do pobliskiej restauracji Templier. Podążali odwrotnością zwykłej drogi: zaczęli od ślubu i dopiero teraz się poznawali. Mimo to rozmawiali z sobą niewiele. Sophie nie potrafiłaby powiedzieć, co sprawia, że wieczory upływają im w tak naturalnej atmosferze. Chociaż nie - jeden temat często powracał. Jak u wszystkich par rozpoczynających wspólne życie, Frantza niezwykle interesowało wcześniejsze życie Sophie: rodzice, dzieci, studia. Czy miała wielu kochanków? W jakim wieku straciła cnotę...? Wszystkie te sprawy, które dla mężczyzn, jak sami twierdzą, są zupełnie bez znaczenia, ale o które wciąż wypytuje. Więc Sophie opowiadała mu o rodzicach, o ich rozwodzie, w dużej mierze wzorując się na rozwodzie własnych rodziców, wymyśliła nową matkę, która miała niewiele wspólnego z jej prawdziwą, oraz oczywiście ani

słowem nie wspomniała o małżeństwie z Vincentem. Co do kochanków oraz swojego dziewictwa - czerpała z bogatego zasobu utartych komunałów, co Frantzowi wystarczyło. Dla niego życie Mariannę kończy się pięć, sześć lat wcześniej i zaczyna od nowa wraz z ich ślubem. Jest tu więc wielka luka. Sophie przypuszcza, że wcześniej czy później będzie zmuszona wypełnić ją jakąś wiarygodną historią. Ma jeszcze czas. Frantza ciekawią różne rzeczy związane z jej życiem erotycznym, ale nie jest specjalnie wścibski.

Osiągnąwszy ów nowy spokój ducha, zaczęła znowu czytać. Frantz regularnie przynosi jej wydania kieszonkowe z księgarni. Od bardzo dawna nie śledząc nowości, Sophie zdaje się na przypadek, to znaczy na Frantza, który w materii wyboru ma doprawdy szczęśliwą rękę: przyniósł jej oczywiście trochę chłamu, ale również *Portret kobiety* Citatiego i jakby wyczuwając, że może lubić autorów rosyjskich, *Życie i los Wassilija Grossmana* oraz *Najnowsze wieści z bagna* Ikonnikowa. Oglądali też filmy w telewizji, inne Frantz przynosił z wypożyczalni wideo. Tu też czasami dokonuje trafionych wyborów, dzięki czemu miała okazję obejrzeć *Wiśniowy sad* z Piccolim; spektakl ten szedł przed paroma laty w Paryżu, ale nie udało jej się go wtedy zobaczyć. Z upływem tygodni Sophie czuje narastające w niej niemal błogie otępienie, stan przypominający owo przyjemne małżeńskie rozleniwienie, jakie niekiedy ogarnia niepracujące żony.

I to odrętwienie wprowadziło ją w błąd. Wzięła je za przejaw odzyskanej równowagi ducha, a tymczasem było wstępem do nowej fazy depresji.

Którejś nocy zaczęła miotać się przez sen, rzucać po posłaniu.

I nagle zobaczyła przed sobą Vincenta.

We śnie Vincent miał ogromną, zdeformowaną twarz, jak ogladaną przez lupę lub w krzywym zwierciadle. To nie była tak naprawdę twarz jej Vincenta, tego Vincenta, którego kochała. To był Vincent po wypadku, z załzawionymi oczami, z rozdziawionymi ustami, niemogący się wysłowić. Ale Vincent z jej snu już nie bełkocze. Normalnie mówi. I kiedy Sophie szamocze się we śnie, próbując przed nim uciec, on, utkwivszy

w niej wzrok, mówi do niej spokojnym, poważnym głosem. Nie jest to jego prawdziwy głos, tak samo jak nie jest to też jego twarz, ale to on, bo mówi o rzeczach, o których on jeden wie.

Prawie nie porusza ustami, ale jego źrenice coraz bardziej się rozszerzają, aż w końcu zamieniają się w mroczne, hipnotyczne talerze. *Jestem tu, Sophie, moja miłości, mówię do ciebie z zaświatów, do których mnie posłałaś. Zaraz ci powiem, jak bardzo cię kochałem, i pokażę, jak bardzo nadal kocham.* Sophie na próżno szarpie się, na oślep wymachuje ramionami; spojrzenie Vincenta przygwaźdża ją do łóżka. *Dlaczego posłałaś mnie na śmierć, ukochana?” I to dwukrotnie, pamiętasz? W jej śnie jest noc. Za pierwszym razem to było po prostu przeznaczenie.* Vincent ostrożnie prowadzi samochód po drodze tonącej w strugach deszczu. Przez przednią szybę Sophie widzi, jak z wolna ogarnia go senność, jak kiwa mu się głowa, jak z wysiłkiem ją podnosi, widzi, jak mruga oczami, jak mruży powieki, odganiając senność, tymczasem deszcz robi się coraz ulewniejszy, całkowicie zatapia drogę, a porywy wiatru nawiewają ciężkie liście platanów, przyklejają je do wycieraczek. *Byłem tylko zmęczony, wtedy jeszcze nie byłem martwy. Dlaczego pragnęłaś mojej śmierci?* Sophie szarpie się, próbuje mu odpowiedzieć, ale język ma ciężki, sztywny, wypełnia całe wnętrze jej ust. Nic nie mówisz, prawda? Sophie chciałaby mu powiedzieć...

Powiedzieć: Ukochany, tak bardzo mi ciebie brak, tak bardzo brak mi życia, odkąd umarłeś, od kiedy cię nie ma, ja też jestem martwa. Ale słowa nie wydostają się z jej ust. *Pamiętasz, jaki byłem kiedyś? Wiem, że pamiętasz. Bo odkąd jestem martwy, nie mówię ani nie poruszam się, słowa we mnie grzęzną, tylko się ślinię, pamiętasz, jak się ślinię, głowę mam ciężką, i tak okropnie ciężko mi na duszy i na sercu, gdy widzę, jak na mnie tej nocy patrzysz! I ciebie też dokładnie widzę. Ciebie tego dnia, kiedy po raz drugi umarłem. Masz na sobie tę niebieską sukienkę, której nigdy nie lubilem. Stoisz obok choinki z założonymi rękami, taka milcząca (rusz się, Sophie, obudź się, nie zostawaj więźniarką wspomnienia, bo będziesz*

cierpiała... nie dopuść do tego) patrzysz na mnie, a ja się tylko ślinię, jak zwykle nie mogę nic powiedzieć, ale patrzę z miłością na moją Sophie, ty zaś wpatrujesz się we mnie z wielką bezwzględnością, z wielką pretensją i odrazą, czuję, że moja miłość nic już nie zdziała; zaczęłaś mnie nienawidzić, stałem się dla ciebie martwym ciężarem, który będziesz musiała dźwigać do końca swoich dni (nie pozwól na to, Sophie, obróć się na łóżku, nie pozwól, żeby ten koszmar tobą zawładnął, kłamstwo cię zabije, ciebie tutaj nie ma, obudź się, za wszelką cenę staraj się obudzić), i spokojnie się odwracasz, ujmujesz gałązkę choinki, nie odrywasz ode mnie wzroku, patrzysz obojętnie, i kiedy pocierasz zapalną, kiedy zapalasz jedną z małych świeczek (nie pozwól mu tego mówić, Sophie. Vincent się myli, nigdy byś tego nie zrobiła. Czuje żal, bezbrzeżny smutek, ponieważ jest martwy, ale ty, Sophie, żyj. I obudź się!), ogień jednym zachłannym rzutem ogarnia choinkę i widzę, jak po drugiej stronie pokoju nikniesz za ścianą płomieni, a tymczasem ogień przerzuca się na kotary, ja zaś, przykuty do fotela, przerażony, daremnie wyteżam wszystkie mięśnie, ale ty, Sophie, mój płomieniu, już zniknęłaś (skoro nie możesz się ruszyć, krzycz!), Sophie, mój mirażu, teraz widzę cię na szczycie schodów, na tym szerokim podeście, z którego zepchnęłaś mój fotel. Dopełniając swojego dzieła sprawiedliwości... Jakże stanowcza i zdeterminowana jest twoja twarz (broń się, Sophie, nie dopuść, by śmierć Vincenta tobą zawładnęła). Przynajmniej otchłań kamiennych schodów szeroka jak cementarna aleja, głęboka jak studnia, i ty, Sophie, moja śmierci, która łagodnie muskasz dłonią moją twarz gestem ostatniego pożegnania, twoja dłoń na moim policzku, a potem zaciskasz usta, ujmujesz z tyłu uchwyt fotela (broń się, Sophie, walcz, krzycz głośniej) i fotel, gwałtownie pchnięty, ulatuje w przestworza, i razem z nim ulatuję ja, Sophie, moja zabójczyni, dla ciebie jestem już w niebie i tam na ciebie czekam, bo chcę cię mieć blisko siebie; niedługo już będziesz blisko (krzycz, wrzeszcz!), możesz sobie krzyczeć, ukochana; wiem, że wstałaś już na drogę, która wiedzie do mnie. Dziś jeszcze się przed tym bronisz, ale jutro,

spotykając mnie na nowo, poczujesz ulgę. I zostaniemy razem już po wieki wieków...

Zdyszana, złana potem Sophie usiadła na łóżku. W sypialni wciąż jeszcze rozbrzmiewa echo jej krzyku przerażenia... Siedząc obok, Frantz wpatruje się w nią z przestraczem.

- Co się stało? - pyta.

Krzyk utkwił w gardle Sophie, która nie może złapać tchu, zaciska pięści, wbija kurczowo paznokcie w skórę. Frantz ujmuje jej dłonie i, łagodnie przemawiając, prostuje jej palce jeden po drugim, ale w tym momencie wszystkie głosy brzmią w jej uszach identycznie i nawet głos Frantza jest podobny do głosu Vincenta. Głosu z jej snu. Tego Głosu.

Odtąd kończą się dziewczęce zabawy w dom. Jak w okresach najgorszej depresji Sophie cała koncentruje się na tym, żeby nie ulec obłędowi. Stara się nie spać w ciągu dnia. Boi się snów. Ale niekiedy cały jej opór na nic, dopada ją senność, zasypia. Nocami i dniami nawiedzają ją zmarli. Czasem jest to Veronique Fabre, która z uśmiechem na zakrwawionej twarzy, śmiertelnie ranna, ale żywa, opowiada jej o swojej śmierci. Ale nie jest to jej prawdziwy głos; mówi do Sophie tym Głosem, zawsze tym konkretnym Głosem, Głosem, który wie o wszystkim, który zna wszystkie szczegóły, który zna całe jej życie.

Czekam na ciebie, Sophie - mówi Veronique Fabre - od kiedy mnie zabiłaś, wiem, że wkrótce do mnie dołączysz. Nie wyobrazasz sobie nawet, jak bardzo mnie bolało... Opowiem ci o tym, kiedy do mnie dołączysz... Wiem, że przyjdiesz... Wkrótce zapragniesz do mnie dołączyć, dołączyć do nas wszystkich. Do Vincenta, do Leo, do mnie. Zbierzemy się wszyscy, żeby cię powitać... W ciągu dnia Sophie siedzi bez ruchu, przybita. Frantz jest przerażony, chce wezwać lekarza, ale Sophie gwałtownie protestuje. Bierze się w garść, próbuje uspokoić męża. Ale z jego miny widzi, że Frantz nie rozumie, że dla niego w takiej sytuacji niewzwwanie lekarza jest czymś niepojętym.

Wraca z pracy coraz wcześniej. Jest okropnie zaniepokojony. Wkrótce oświadcza:

- Wystąpiłem o krótki urlop. Zostało mi jeszcze kilka wolnych dni...

Teraz jest przez cały czas z nią. On ogląda telewizję, a Sophie znów morzy senność. W środku dnia. Patrzy na zarys wygolonego karku Frantza na tle ekranu, zapada w sen. A w nim zawsze te same słowa, zawsze ci sami umarli. W jej snach mały Leo mówi męskim głosem, głosem, którego nigdy nie będzie miał. Leo mówi do niej tym Głosem. Nie szczędząc szczegółów, opowiada Sophie, jak bardzo go bolało, gdy zaciskała sznurowadło na jego gardle, jaki był wyczerpany, próbując złapać oddech, jak rozpaczliwie się szarpał, jak próbował krzyżeć... I tak dzień po dniu, noc po nocy wszyscy do niej powracają. Frantz parzy jej ziółka, gotuje buliony, nieustannie nalega, żeby wezwać lekarza. Ale Sophie nie chce nikogo widzieć, udało jej się zniknąć, nie chce ryzykować żadnego wypytywania, nie chce okazać się wariatką, nie chce, żeby ją zamknięto w zakładzie; przysięga, że sama sobie z tym poradzi. Ataki powodują, że lodowacieją jej dłonie, że rytm serca staje się niepokojąco nierówny. Trzęsie się z zimna, ale jej ubrania są mokre od potu. Przesypia całe dni i noce. „To tylko ataki lęku. Jak przyszły, tak i miną”, zapewnia. Frantz uśmiecha się, ale nie jest przekonany. Któregoś dnia Sophie wychodzi z domu.

Na kilka zaledwie godzin.

- Cztery godziny! - woła Frantz tonem sprawozdawcy ogłaszającego rekord sportowy. - Byłem przerażony. Gdzie byłaś?

Ujmuje jej ręce. Jest szczerze zaniepokojony.

- Przecież wróciłam - mówi Sophie, jakby takiej odpowiedzi oczekiwał.

Frantz stara się zrozumieć, jej zniknięcie bardzo go zdenerwowało. To umysł prostoliniyjny, ale racjonalny. Wariuje, kiedy czegoś nie może zrozumieć.

- Co pocznę, jeśli zaczniesz ot tak sobie znikać! (To znaczy... jak zdołam cię znaleźć)!

Sophie mówi, że nie pamięta, gdzie była. Frantz daje za wygraną.

- Cztery godziny - powtarza - to niemożliwe, żebyś nie pamiętała! Sophie ma dziwny, zamglony wzrok.

- W kawiarni - mówi wreszcie, jakby sama do siebie.

- Kawiarnia... Byłaś w kawiarni... Której kawiarni? - chce wiedzieć.

Sophie patrzy na niego rozkojarzona.

- Nie jestem pewna.

I zaczyna płakać. Frantz obejmuje ją. Sophie wtula się w jego ramiona.

Działo się to w kwietniu. O co jej chodziło? Czyżby chciała ze wszystkim skończyć? A jednak wróciła. Czy pamięta, co robiła przez te cztery godziny? Co można zrobić w ciągu czterech godzin?

Miesiąc później, na początku maja, Sophie, doszczętnie już wyczerpana, naprawdę uciekła.

Frantz wyszedł na kilka minut, mówiąc: „Nie bój się, szybko to załatwię i zaraz wracam”. Sophie zaczekała, aż ucichną jego kroki na schodach, włożyła kurtkę, mechanicznie pozbierała kilka rzeczy, wzięła portfel i uciekła. Opuściła budynek przez pomieszczenie z kubłami na śmieci, skąd wyjście prowadzi na inną ulicę. Biegnie. W głowie jej huczy, serce bije jak szalone. Ten łomot promieniuje na całe jej ciało, od brzucha po skronie. Robi się jej gorąco, ściąga kurtkę, rzucają na chodnik, wciąż biegnie i odwraca się. Czyżby się bała, że dogonią ją zmarli? 6.7.5.3. Musi zapamiętać te cyfry. 6.7.5.3. Brak jej tchu, czuje pieczenie w piersiach, biegnie, jest już na przystanku, wskakuje do autobusu. Nie wzięła z sobą pieniędzy. Przetrzęsa kieszenie, nie ma. Kierowca patrzy na nią jak na wariatkę, którą przecież jest. Wreszcie Sophie wygrzebuje z dzinsów zapomnianą monetę dwa euro. Kierowca zadaje jej pytanie, którego nie słyszy, ale na które odpowiada: „Wszystko w porządku” - słowami zawsze skutecznymi, kiedy chce się kogoś uspokoić. Wszystko w porządku. 6.7.5.3. Nie zapomnieć tych cyfr. Oprócz

niej w autobusie są trzy czy cztery osoby, które ukradkiem jej się przyglądają. Sophie próbuje poprawić ubranie. Zajmuje miejsce w głębi i przez tylną szybę obserwuje ruch na drodze. Ma ochotę zapalić, ale tutaj nie wolno, a zresztą papierosy też zapomniała zabrać. Autobus zmierza w stronę dworca. Długo stoi na czerwonych światłach, znów mozolnie rusza. Sophie zdążyła już nieco odetchnąć, ale niedaleko dworca na nowo dopadają strach. Boi się świata, boi się ludzi, boi się pociągów. Boi się wszystkiego. Przez głowę przemyka jej myśl, że tak łatwo nie uda jej się uciec.

Ciągle odwraca się za siebie. Czy twarze, które widzi przez tylną szybę, noszą maskę zbliżającej się śmierci? Zaczyna się coraz bardziej trząść; po tych wszystkich wyczerpujących dniach i nocach zwykły wysiłek podbiegnięcia do autobusu kompletnie ją wykończył. „Do Melun”, mówi. 6.7.5.3. Nie, nie ma zniżki. „Tak, przez Paryż”, wyciąga kartę kredytową, chciałaby, żeby kasjer w okienku natychmiast ją od niej odebrał, chciałaby uwolnić się od tego kodu, zanim go zapomni: 6.7.5.3., chciałaby, żeby podał jej już bilet, pozwolił wsiąść do pociągu, chciałaby już oglądać mijane za szybą kolejne dworce, znaleźć się już na miejscu... Wreszcie kasjer stuka w klawiaturę, drukuje, oto bilet już przed nią leży, urzędnik mówi: „Proszę wprowadzić kod”. 6.7.5.3. Zwycięstwo. Nad kim? Sophie odwraca się i odchodzi od okienka, zostawiając w czytniku swoją kartę. Jakaś kobieta z wyniosłym uśmiechem zwraca jej na to uwagę i Sophie gwałtownym ruchem wyciąga kartę z czytnika. Przez cały czas nie odstępuje jej wrażenie jakiegoś deja vu, wciąż przeżywa te same sceny, te same ucieczki od...

Od kiedy? Trzeba z tym skończyć. Obmacuje kieszenie, szukając papierosów, znajduje kartę kredytową, którą przed chwilą włożyła, a kiedy z powrotem unosi głowę, stoi przed nią Frantz, który pyta przerażony: „Dokąd się wybierasz?”, Frantz, który trzyma kurtkę porzuconą przez Sophie na ulicy. Który kręci głową i mówi: „Musisz wrócić do domu. Tym razem trzeba już wezwać lekarza...

Sama widzisz...”. Przez chwilę Sophie chce się sprzeciwić.

Przez bardzo krótką chwilę, bo zaraz potem bierze się w garść. „Nie, żadnych lekarzy... Wróć”.

Frantz z uśmiechem ujmuje jej ramię. Sophie czuje, że ogarniają ją mdłości, lekko się kuli. Frantz nie wypuszcza jej ramienia: „Wracamy... - mówi. - Zaparkowałem blisko wejścia”. Sophie ogląda się na dworzec, który za sobą zostawia, zamyka oczy, jakby zmuszona podjąć jakąś decyzję. A potem odwraca się do Frantza, obejmuje go za szyję, przytula się i mówi: „Och, Frantz...”. Płacze, kiedy on - bardziej ją niosąc, niż podtrzymując - prowadzi ją do wyjścia, do samochodu, do domu; upuszcza na ziemię zwinięty w kulkę bilet i z łkaniem ukrywa twarz we wgłębieniu jego ramienia.

Frantz nie odstępował jej na krok. Oprzytomniawszy, Sophie zaczyna przeproszać go za życie, jakie mu zgotowała. Frantz nieśmiało prosi o wyjaśnienia. Sophie obiecuje, że o wszystkim opowie. Ale najpierw musi odpocząć. Wciąż ta sama śpiewka: „musi odpocząć” - słowa, które na kilka godzin odseparowują ją od wszystkiego, dają jej chwilę wytchnienia, czas potrzebny do zebrania sił, przygotowania się na kolejne walki, na sny, na tych nienasyconych gości, jakimi są umarli. Zakupy robi Frantz. „Nie chcę, żebyś musiała biegać po całym mieście”, mówi z uśmiechem, zamykając drzwi na klucz. W odpowiedzi Sophie, wdzięczna mu za to, również się uśmiecha. Frantz sprząta, odkurza, zmuszają do jedzenia, przynosi pieczone kurczaki, dania hinduskie, dania chińskie, wypożycza filmy, patrzy na nią spragniony aprobaty. Sophie chwali sprzątanie, komplementuje jedzenie, uważa, że filmy są świetne, ale ledwie kilka minut po początkowych napisach zasypia przed telewizorem. I już wkrótce znowu obcuje ze śmiercią, a kiedy budzi się, leżąc na podłodze, niema, zziębnięta, niemal bez życia, Frantz trzyma ją w ramionach.

Aż w końcu stało się to, co się stać musiało. Jest niedziela. Sophie od wielu dni nie zmrużyła oka. Tak krzyczała, że straciła

głos. Frantz zawsze obok, troskliwie się nią opiekuje, karmi, bo Sophie nie chce nic przełknąć.

Zadziwiająco, jak ten człowiek zdołał się pogodzić z obłądkiem kobiety, którą tak niedawno pojął za żonę. Prawdziwy święty. Oddany, gotowy do poświęceń.

„Czekam, aż zgodzisz się, żebym sprowadził lekarza, a wtedy poczujesz się lepiej”, powtarza. Sophie odpowiada, że już wkrótce i bez tego poczuje się lepiej. Frantz nie daje za wygraną. Stara się zgłębić powody jej odmowy. Boi się zająrzeć za kulisy jej życia, dokąd do tej pory nie został jeszcze wpuszczony. Co dzieje się w jej głowie? Sophie próbuje usmierzyc jego obawy, czuje, że powinna zrobić coś normalnego, żeby go uspokoić. Więc czasami kładzie się na nim, przymila, a poczuwszy jego narastające pożądanie, otwiera się na niego, prowadzi go, stara się zrobić mu przyjemność, wydaje kilka okrzyków i jęków, zamyka oczy i czeka, aż Frantz się zatraci.

Jest niedziela. Spokojna jak nuda. Rankiem dom rozbrzmiewał głosami mieszkańców wracających z targu, myjących na parkingu samochody. Sophie całe przedpołudnie przesiedziała w oknie, paląc papierosy, z dłońmi wsuniętymi w mankiety swetra, tak jej zimno. To zmęczenie. „Zimno mi”, powiedziała.

Poprzedniej nocy obudziła się i zaczęła wymiotować. Do tej pory boli ją brzuch.

Czuje się brudna. Prysznic to za mało, chce się wykapać. Frantz napuszcza do wanny wody - jak zwykle za gorącej - wrzuca sole kąpielowe, które on uwielbia, a których ona w skrytości ducha nienawidzi, wyczuwa w nich chemię i ten lekko mdlący zapach... ale nie chce go denerwować. Co za różnica... Teraz marzy tylko o gorącej wodzie, o czymś, co rozgrzeje jej zziębnięte kości. Frantz pomaga jej się rozebrać. W lustrze Sophie dostrzega swoją sylwetkę, kościste ramiona, wystające biodra, tę chudość, nad którą chciałoby się zapłakać, gdyby nie budziła takiej grozy... Ile może ważyć? I jeszcze ta oczywistość, którą nagle głośno wypowiada: „Myślę, że umieram”.

Zdumiewają ją własne słowa.

Powiedziała to takim samym tonem, jak kilka tygodni wcześniej: „Czuję się dobrze”. I tak rzeczywiście jest; Sophie z wolna gaśnie. Dzień po dniu, noc po nocy, koszmar po koszmarze marnieje i niknie. Rozpływa się. Niedługo zrobi się zupełnie przezroczysta. Jeszcze raz spogląda na swoją twarz, na wystające kości policzkowe, na podkrążone oczy. Frantz szybko ją przytula. Mówi jej coś miłego i niemądrego. Udaje, że śmieje się z tej bzdury, którą przed chwilą usłyszał. Nagle - co jest już pewną przesadą - klepie ją energicznie po plecach, jakby mieli się przez dłuższy czas nie widzieć. Mówi, że woda jest gorąca.

Sophie, dygocząc, sprawdza jej temperaturę. Zaczyna się cała trząść. Frantz dopuszcza zimnej wody, Sophie nachyla się, mówi, że teraz jest dobra. Frantz z ufnym uśmiechem wychodzi, ale drzwi jak zwykle zostawia uchylone.

Usłyszawszy, że włączył telewizor, Sophie wyciąga się w wannie, sięga po leżące na blacie szafki nożyczki, z uwagą wpatruje się w swoje przeguby, w bladoniebieską nitkę żył. Przykłada ostrze nożyczek do skóry, ustawia je pod kątem bardziej ukośnym, spogląda na kark Frantza, który to widok zdaje się ostatecznie upewniać ją w decyzji. Bierze głęboki oddech i wykonuje szybkie cięcie. Potem odpręża się na całym ciele i powoli osuwa w wodę.

Pierwsze, co widzi potem, to Frantza siedzącego przy jej łóżku. Później swoją płasko wyciągniętą wzdłuż ciała, grubo obandażowaną lewą rękę. A na końcu pokój. Wpadające przez okno nieokreślone światło może równie dobrze oznaczać początek dnia, co koniec. Frantz posyła jej wyrozumiały uśmiech. Delikatnie trzyma w dłoni opuszki jej palców, jedyne, co wystaje spod bandaża.

Głaszcz je, ale milczy. Sophie ma okropnie ciężką głowę. Obok łóżka stolik na kółkach, na nim taca z posiłkiem.

- Musisz to zjeść... - mówi Frantz.

To jego pierwsze słowa. Nie pytanie, nie wyrzut, nawet nie strach. Nie, Sophie nie chce nic jeść. Frantz kiwa głową, jakby

go coś gryzło. Sophie zamyka oczy. Wszystko bardzo dobrze pamięta. Niedziela, papierosy w oknie, zimno przejmujące do szpiku kości, jej martwa twarz w lustrze w łazience. I jej decyzja. Żeby odejść. Koniecznie. Na odgłos otwieranych drzwi uchyla powieki. Wchodzi pielęgniarka. Uprzejmie uśmiechnięta, obchodzi łóżko i sprawdza kroplówkę, której Sophie dotąd nie zauważyła. Wprawnym gestem przykłada kciuk pod jej podbródek i po kilku sekundach znów się uśmiecha.

Wychodząc, mówi:

- Proszę odpoczywać. Zaraz przyjdzie lekarz.

Frantz nie rusza się z miejsca, wygląda przez okno, próbując robić dobrą minę. Sophie mówi: „Tak mi przykro...”, na co on nie odpowiada. Nadal wygląda przez okno, poklepując koniuszki palców Sophie. Jest w nim jakaś zaskakująca siła bezwładu. Sophie czuje, że Frantz pozostanie z nią do końca.

Lekarz jest niskim, korpulentnym mężczyzną, zaskakująco energicznym.

Pięćdziesiątka na karku, wzbudzająca zaufanie łysinka. Jedno jego spojrzenie i krótki uśmiech wystarczą, żeby Frantz poczuł się w obowiązku opuścić pokój.

Jego miejsce zajmuje lekarz.

- Nie pytam, jak się pani czuje. Domyślam się. Powinna pani spotkać się ze specjalistą, i tyle.

Wszystko to mówi jednym tchem; typ lekarza nieowijającego rzeczy w bawelnę.

- Mamy tutaj świetnych ludzi. Będzie pani mogła porozmawiać. Musiał wyczuć, że Sophie, choć na niego patrzy, myślami jest nieobecna, bo przykręca śrubę:

- Co do reszty, efekt był spektakularny, ale nie było to...

Od razu się poprawia:

- Oczywiście, gdyby nie obecność pani męża, już by pani nie żyła.

Celowo wyraził się tak brutalnie i obcesowo; chciał sprawdzić jej zdolność reakcji. Sophie postanawia mu pomóc, bo sama

wie najlepiej, jak wygląda sytuacja.

- Poradzę sobie.

Tylko tyle zdołała wymyślić. Ale to prawda. Naprawdę uważa, że sobie poradzi. Lekarz uderza dłońmi w kolana i wstaje. Ale przed wyjściem, wskazując drzwi, pyta:

- Czy mam z nim porozmawiać?

Sophie kręci głową, że nie, ale jej odpowiedź nie jest wystarczająco jasna, więc dodaje:

- Nie, sama to zrobię.

- Napędziłaś mi strachu...

Frantz bezradnie się uśmiecha. Nadeszła pora wyjaśnień. Sophie nie ma żadnego. Bo co miałyby mu powiedzieć? Zmusza się do uśmiechu.

- Wszystko ci powiem, jak wrócę. Ale nie tutaj... Frantz udaje, że rozumie.

- To ta część mojego życia, o której nigdy ci nie mówiłam. Wszystko ci wytłumaczę.

- Aż tyle tego jest?

- Owszem, całkiem sporo. A potem sam zdecydujesz... Kiwa głową lecz nie bardzo wiadomo, co ów gest ma znaczyć.

Sophie zamyka oczy. Nie jest zmęczona, ale chciałaby zostać sama.

Najpierw jednak potrzebuje informacji.

- Czy długo spałam?

- Prawie trzydzieści sześć godzin.

- Gdzie jestem?

- W dawnym klasztorze urszulanek. To najlepsza tutejsza klinika.

- Która godzina? Czy to pora wizyt?

- Dochodzi południe. Normalnie wizyty zaczynają się od drugiej, ale mnie pozwolili zostać.

W zwykłych okolicznościach dodałby coś w rodzaju „zważywszy sytuację”, ale tym razem poprzestaje na krótkich zdaniach. Sophie wyczuwa, że Frantz zbiera się na odwagę. Nie przeszkadza mu.

- To wszystko... (nieokreślonym gestem wskazuje bandaż na jej nadgarstku)... Czy to z powodu nas...? Bo nie za bardzo nam idzie, dlatego?

Sophie mogłaby potwierdzić, uśmiechnąć się. Ale nie może i nie chce. Musi się trzymać swojej linii postępowania.

- To nie ma nic wspólnego z nami, uwierz mi. Ale miło, że pytasz.

Odpowiedź nie spodobała mu się, ale ją przełyka. Jest miłym mężem. Kim innym mógłby być? Sophie chciałaby zapytać, gdzie są jej ubrania, ale zamyka oczy. Nic więcej już nie potrzebuje.

Zegar na korytarzu wskazuje dziewiętnastą czterdzieści cztery. Pora wizyt upłynęła już ponad pół godziny temu, ale szpital nie przestrzega zbyt rygorystycznie regulaminu i w pokojach słychać jeszcze głosy odwiedzających.

W powietrzu unoszą się resztki kuchennych woni, cienkiej zupy i kapusty. Jak to możliwe, żeby we wszystkich szpitalach pachniało dokładnie tym samym?

Przez szerokie okno na końcu korytarza wpada szare światło zmierzchu. Kilka minut wcześniej Sophie zgubiła się w labiryncie korytarzy. Pielęgniarka z parteru pomogła jej wrócić do pokoju. Zna już rozkład budynku. Zauważyła drzwi wychodzące na parking. Teraz wystarczy przejść z podniesioną głową przed pokojem pielęgniarek na swoim piętrze i jest już za zewnątrz. W szafie znalazła ubranie, które musiał przynieść Frantz na okoliczność jej wyjścia.

Jedno nie pasuje do drugiego. Sophie czeka, wpatrzona w szparę uchylonych drzwi swojego pokoju wychodzących na korytarz. Pielęgniarka ma na imię Jenny. Jest szczupłą kobietą z platynowymi pasemkami we włosach, roztaczającą woń kamfory i poruszającą się spokojnym, zdecydowanym krokiem. Właśnie opuściła swój pokój, trzymając ręce w kieszeniach bluzy; zawsze tak robi, kiedy wychodzi na papierosa. Pielęgniarka popycha wahadłowe drzwi prowadzące do hallu z windami. Sophie liczy do pięciu, otwiera drzwi swojego pokoju,

rusza korytarzem, przechodzi przed kantorkiem Jenny, ale tuż przed wahadłowymi drzwiami skręca i schodzi schodami. Za kilka minut znajdzie się na parkingu. Przyciska do piersi swoją torebkę. I zaczyna po cichu powtarzać: 6.7.5.3.

Żandarm Jondrette, żółta twarz i szpakowate wąsy. Towarzyszy mu drugi, który nic nie mówi, tylko ze skupioną i zafrasowaną miną wpatruje się w czubki własnych butów. Frantz zaproponował im kawę. Zgodzili się - kawa, czemu nie - ale nadal stoją. Jondrette jest pełen współczucia. Nazywa Sophie „zoneczką” Frantza, i nie mówi nic, o czym ten by już nie wiedział. Frantz patrzy na żandarmów i gra swoją rolę. Jego rolą jest bycie zaniepokojonym i odgrywanie jej przychodzi mu bez trudu, ponieważ jest rzeczywiście zaniepokojony.

Pamięta, że siedział przed telewizorem. Bardzo lubi teleturnieje, dość łatwo zgaduje wszystkie odpowiedzi, nawet jeśli zwykle trochę szachruje. Oklaski, zachwyty prowadzącego, durne żarty, śmiechy z taśmy, wykrzykiwanie wyników - telewizja bardzo hałasuje. Tak czy inaczej Sophie zrobiła to po cichu. Nawet jeśli w tym momencie zajęty był czym innym... Pytania w kategorii: „Sport”. On i sport... Mimo to spróbował szczęścia. Pytania o olimpiady, z rodzaju tych, na które nikt nie zna odpowiedzi oprócz garstki wyspecjalizowanych neurotyków. Kiedy się odwrócił, Sophie leżała z głową odrzuconą w tył, opartą o brzeg wanny, z zamkniętymi oczami, zanurzona w pianie po brodę. Ma ładny profil. Nawet tak wychudzona, nadal jest ładna.

Naprawdę bardzo ładna. Często nachodzi go ta refleksja. Odwracając się z powrotem do telewizora, pomyślał, że mimo wszystko powinien zachować czujność; kiedy ostatnim razem zasnęła w wannie, wyciągnął ją skostniałą z zimna i potem musiał długo nacierać wodą kolońską, żeby odzyskała kolory.

Nie tak się powinno umrzeć. Jakimś cudem znalazł odpowiedź, nazwisko bułgarskiego tyczkarza, i... nagle włączył się w nim wewnętrzny alarm. Znowu się odwrócił. Głowa Sophie zniknęła. Poderwał się i pobiegł do łazienki. Piana była

czerwona, ciało Sophie osunęło się na dno wanny. Frantz z okrzykiem „Sophie!” zanurzył ramiona w wodzie i wyciągnął ją z wanny. Nie kasłała, ale oddychała. Jej ciało było koloru trupio białego, a z przegubu nadal płynęła krew.

Niedużo; sączyła się maleńkimi kropelkami w rytm uderzeń serca, nasiąkłe wodą brzegi rany obrzmiały. I wtedy na moment wpadł w panikę. Nie chciał, żeby umarła. „Nie w taki sposób...”, pomyślał. Nie chciał, żeby mu się wymknęła. Sophie chciała mu ukraść swoją śmierć. Sama wybrać gdzie, kiedy i jak. Ta samowola wydała mu się całkowitą negacją wszystkich jego poczynań, to samobójstwo - obrazą jego inteligencji. Jeśli Sophie w taki sposób umrze, Frantz nigdy już nie zdoła pomścić śmierci swojej matki. Więc wyciągnął ją z wanny, położył na podłodze, okręcił jej przegub ręcznikiem i przez cały czas do niej mówiąc, pobiegł do telefonu i wezwał strażaków¹. Remiza jest niedaleko; za trzy minuty byli na miejscu. Czekaając na ich przyjazd, z niepokojem zastanawiał się nad różnymi sprawami. Jak daleko może się posunąć nachalność administracji w grzebaniu, w dociekaniu tożsamości Sophie? Takie postępowanie, co gorsza, mogłoby ujawnić jej, kim naprawdę jest starszy sierżant Berg, który nigdy w życiu, nawet przez minutę, nie był żołnierzem.

Kiedy odwiedził ją w szpitalu, zdążył się już całkowicie pozbierać i z powrotem wejść w swoją rolę. Wiedział dokładnie, co mówić, co robić, jak odpowiadać, jaką postawę zaprezentować.

A teraz na nowo ogarnął go gniew. Sophie uciekła ze szpitala, a administracja dopiero po sześciu godzinach to spostrzegła! Pielęgniarka, która do niego zadzwoniła, nie bardzo wiedziała, jak poruszyć temat. „Panie Berg, czy pana żona wróciła do domu?” Usłyszawszy odpowiedź Frantza, natychmiast się wycofała i przekazała słuchawkę lekarzowi.

Minęło trochę czasu, od kiedy Frantz dowiedział się o jej ucieczce, i zdążył się już zastanowić. Żandarmi mogą spokojnie pić kawę. Nikt nie odnajdzie Sophie równie szybko jak on. Od trzech lat podążał za wielokrotną morderczynią, której cała żandarmeria nie potrafiła znaleźć. On tę kobietę stworzył

1 We Francji pierwszej pomocy udziela straż pożarna (przyp. tłum.).

własnoręcznie od nowa, nic w jej życiu nie było dla niego tajemnicą, a skoro nawet on nie jest w stanie powiedzieć, gdzie się w tym momencie znajduje, więc co dopiero żandarmi... Niecierpliwi się, najchętniej posłałby ich w diabły. Ale głosem pełnym napięcia pyta:

- Myślicie, że zdołacie ją szybko znaleźć?

O to chyba zapytałby mąż, prawda? Jondrette unosi brwi. Nie taki z niego matoł, na jakiego wygląda.

- Znajdziemy ją, proszę pana, na pewno. i znad filiżanki z gorącą kawą, którą popija małymi łykami, obrzuca Frantza uważnym, badawczym spojrzeniem. Potem odstawia filiżankę.

- Pewnie do kogoś pojechała; jeszcze dziś wieczór albo jutro zadzwoni.

Jedyne, co można w tej sytuacji zrobić, to zachować cierpliwość. I nie czekając na odpowiedź, dodaje:

- Zrobiła to już kiedyś? Uciekła tak ni stąd, ni zowąd? Frantz odpowiada, że nie, ale żona jest w lekkiej depresji.

- Lekka depresja... - powtarza Jondrette. - A ma pan jakąś rodzinę? To znaczy, czy pana żonka ma jakąś rodzinę? Dzwonił pan już do nich?

Frantz nie miał czasu o tym pomyśleć i raptem sprawa nabiera przyspieszenia. Jaką rodzinę może mieć Mariannę Berg, z domu Leblanc? W minionych miesiącach, na pytania Frantza o jej życie, Sophie wymyśliła sobie rodzinę, którą policji trudno by było znaleźć... To śliski teren. Frantz dolewa żandarmom kawy, cały czas intensywnie się zastanawiając. Postanawia zmienić strategię. Na jego twarzy pojawia się wyraz niezadowolenia.

- Co znaczy, że tak naprawdę sami nic nie zrobicie? - pyta z irytacją.

Jondrette nie odpowiada. Spogląda na swoją pustą filiżankę.

- Jeśli nie pojawi się w ciągu najbliższych, powiedzmy, trzech, czterech dni, rozpoczniemy śledztwo. Widzi pan, najczęściej w takich sytuacjach ludzie po kilku dniach sami wracają. Prawie zawsze okazuje się, że schronili się u rodziny, u przyjaciół. Czasem wystarczy tylko trochę podzwonić.

Frantz mówi, że rozumie. Jak tylko się czegoś dowie, nie

omieszka...

Jondrette stwierdza, że to najlepsze, co można zrobić. Dziękuje za kawę. Jego pomocnik, ze wzrokiem utkwionym w wycieracze, w milczeniu przytakuje.

Frantz postanowił odczekać trzy godziny, taką zwłokę uznał za rozsądną. W tym czasie po raz ostatni rzuca okiem na ekran swojego laptopa z mapą regionu, na której migocze różowy kwadrat, wskazujący lokalizację komórki Sophie. Ten punkt na mapie to ich dom. Szukał komórki Sophii i najzwyczajniej w świecie znalazł ją w szufladzie sekretarzyka. Po raz pierwszy od czterech lat nie jest w stanie określić co do sekundy miejsca pobytu Sophie. Musi jak najszybciej działać. Znaleźć ją. Przez chwilę zastanawia się nad sprawą leków, pociesza się jednak, że depresja, którą u niej wywołał, tak szybko nie ustąpi. Ale i tak musi ją sprowadzić z powrotem. To imperatyw. Skończyć. Skończyć z tym. Narasta w nim gniew, który stara się opanować za pomocą ćwiczeń oddechowych. Rozpatrzył sprawę pod każdym możliwym kątem. Najpierw Lyon.

Spogląda na zegarek i w końcu podnosi słuchawkę. Łączą go z żandarmem Jondrette'em.

- Żona jest u przyjaciółki - z miejsca oznajmia Frantz, jednocześnie jakby z zadowoleniem i ulgą. - Niedaleko Besancon.

Czeka na reakcję. Postawił wszystko na jedną kartę. Jeśli żandarm zapyta o nazwisko przyjaciółki...

- To dobrze - mówi Jondrette zadowolonym tonem. - Dobrze się czuje?

- Tak... To znaczy chyba. Myślę, że jest trochę skołowana.

- Dobrze - powtarza Jondrette. - Chce wrócić? Powiedziała panu, że chce wrócić?

- Tak, tak powiedziała. Że chce wrócić do domu. W słuchawce zapada krótkie milczenie.

- A kiedy?

Umysł Frantza wchodzi na najwyższe obroty.

- Myślę, że powinna trochę odpocząć. Za kilka dni ją przywiozę, tak chyba będzie najlepiej.

- Dobrze. Kiedy wróci, będzie musiała zajrzeć na komisariat. Podpisać papiery. Proszę jej powiedzieć, że nie ma z tym pośpiechu. Najpierw niech odpocznie...

I już mając się rozłączyć, Jondrette pyta:

- Niech mi pan powie... tylko jedną rzecz... Jesteście małżeństwem od niedawna...

- Od niecałych sześciu miesięcy.

Jondrette milczy. Musi mieć teraz ten swój badawczy wzrok.

- A ten jej... gest... Myśli pan, że ma jakiś związek z waszym małżeństwem?

Frantz zdaje się na intuicję.

- Już przed ślubem była trochę neurotyczna... Ale oczywiście nie można tego wykluczyć. Porozmawiam z nią o tym.

- Tak będzie najlepiej, panie Berg. Niech mi pan wierzy, najlepiej.

Dziękuję, że nas pan tak szybko powiadomił. Niech pan porozmawia z żonką, jak pan po nią pojedzie...

Ulica Courfeyrac dochodzi prawie do samego placu Bellecour. Zamożna dzielnica. Frantz zajrzał do Internetu, ale nie dowiedział się niczego więcej niż dwa lata temu.

Trudno mu było znaleźć stanowisko obserwacyjne. Wczoraj musiał co rusz zmieniać kawiarnie. Dziś rano wynajął samochód, z którego łatwiej mu obserwować kamienicę i w razie potrzeby śledzić Valerie. W okresie, kiedy spotykała się z Sophie, pracowała w przedsiębiorstwie przewozowym; teraz działa w firmie chłopaka równie bezużytecznego i bogatego jak ona, który odkrył w sobie talent stylisty. To przedsięwzięcie z rodzaju tych, w których człowiek może przez dwa lata tyrać bez wytchnienia, zanim się spostrzeże, że interes nie przynosi ani grosza. Co akurat nie ma żadnego znaczenia ani dla Valerie, ani dla jej przyjaciela. Rano zdecydowanym i żwawym krokiem wychodzi z domu, na placu Bellecour wsiada do taksówki i jedzie do pracy.

Kiedy tylko Frantz ujrzał ją na ulicy, od razu wiedział, że Sophie u niej nie ma. Valerie jest dziewczyną „otwartą”, od razu widać po niej wszystkie emocje. Z jej kroku, z jej postawy Frantz odgadł, że nie ma żadnych kłopotów, nic jej nie nurtuje;

cała emanuje poczuciem bezpieczeństwa i brakiem jakichkolwiek trosk. Jest prawie pewny, że Sophie się u niej nie schroniła.

Zresztą Valerie Jourdain jest zbyt wielką egoistką, by udzielić schronienia Sophie Duguet, poszukiwanej przez wszystkie policje wielokrotnej morderczynie, nawet jeśli jest ona jej przyjaciółką z dzieciństwa. Ta dziewczyna zna swoje możliwości. Bardzo ograniczone.

Ale jeśli mimo wszystko Frantz się myli? Kiedy Valerie wyszła, poszedł na piętro, na którym znajduje się jej mieszkanie. Pancerne drzwi, potrójny zamek. Przyłożył ucho do drzwi i długą chwilę nasłuchiwał. Ilekroć pojawił się ktoś z mieszkańców, Frantz udawał, że wchodzi albo schodzi po schodach, po czym znów wracał na posterunek. Cisza jak makiem zasiał. Cztery razy powtarzał ten manewr; owego dnia spędził łącznie ponad trzy godziny z uchem przy drzwiach. Od godziny osiemnastej dobiegające z mieszkań hałasy telewizorów, radia, rozmów, nawet stłumione, uniemożliwiły mu dalsze nasłuchiwanie sekretnych dźwięków, które by świadczyły, że w pozornie pustym mieszkaniu Valerie ktoś jednak jest.

Koło dwudziestej, kiedy Valerie wróciła, Frantz nadal tam był; stał kilka stopni powyżej jej podestu. Młoda kobieta w milczeniu weszła do środka. Frantz natychmiast przywarł uchem do drzwi. Przez kilka minut dobiegały go odgłosy zwykłej krzątania (kuchnia, toaleta, szuflady...), potem usłyszał muzykę i w końcu głos Valerie rozmawiającej przez telefon gdzieś w pobliżu korytarza...

Wyraźny głos. Valerie żartuje, mówi jednak, że nie, dziś wieczorem nigdzie nie wychodzi, czekają zaległa praca. Odkłada słuchawkę, kuchenne odgłosy, radio...

Frantz, choć nie do końca pewny, czy słusznie, postanawia jednak zaufać własnej intuicji. Szybkim krokiem opuszcza budynek. La SeineetMarne dzielą od Lyonu niecałe cztery godziny drogi.

NeuvilleSainteMarie. Trzydzieści dwa kilometry od Melun. Frantz najpierw zrobił kilka rundek, sprawdzając, czy miejsca nadal nie nadzoruje policja. Z początku pewnie tak było, ale na dłuższą metę nie ma na to środków.

Poza tym dopóki opinią publiczną nie wstrząśnie kolejne morderstwo...

Zostawił wynajęty samochód na parkingu supermarketu na obrzeżach miasta. Czterdzieści minut zajęło mu dotarcie na piechotę do małego lasku, a następnie starego toru wyścigowego; sforsowawszy jego ogrodzenie, ma teraz dogodny, nieco z góry, widok na dom. Przechodniów jest niewielu. Nocą mogą trafiać się jakieś pary, które przyjeżdżają samochodem. Nie ma obaw, że zostanie zaskoczony; światło reflektorów zdąży go uprzedzić.

Pan Auverney wyszedł z domu tylko trzykrotnie. Za pierwszym i drugim razem po bieliznę - pralnia została urządzona w skrzydle niemającym chyba połączenia z domem; za trzecim po listy - skrzynka pocztowa znajduje się jakieś pięćdziesiąt metrów stąd, nieco poniżej drogi. Za trzecim razem wziął samochód. Frantz przez chwilę się wahał: śledzić go? Zostać? Został. Zresztą i tak trudno byłoby mu go śledzić na piechotę w tak małym mieście.

Patrick Auverney spędził poza domem godzinę dwadzieścia siedem minut; przez ten czas Frantz nie odejmował lornetki od oczu, uważnie obserwując każdy detal domu. Tak jak wcześniej, ujrawszy Valerie Jourdain idącą ulicą, od razu nabrał przekonania, że Sophie u niej nie ma, tak teraz nie jest pewny. Mijający czas, godziny upływające z zatrważającą szybkością sugerują mu raczej jakieś szybkie rozwiązanie. Natomiast do czekania skłania go inna obawa; jeśli Sophie nie ma tutaj, to Frantz nie ma zielonego pojęcia, gdzie mogłaby być. Jest w głębokiej depresji, próbowała się zabić. Jest niesłychanie słaba psychicznie. Odkąd dowiedział się ojej ucieczce ze szpitala, nie odstępuje go gniew. Chce ją odzyskać. Wciąż powtarza: „Trzeba z tym skończyć”. Pluje sobie w brodę, że tak długo zwlekał. Nie mógł zakończyć tego wcześniej? Czyż nie osiągnął już wszystkiego, o co mu chodziło? Musi ją odzyskać i z tym

skończyć.

Zastanawia się, o czym może teraz myśleć Sophie. A jeśli po raz drugi chciała się zabić? Lecz nie, wówczas by nie uciekła. W klinice sposobności, żeby to zrobić, nie brakuje, to wręcz miejsce, w którym umrzeć najłatwiej.

Mogła znowu podciąć sobie żyły, przecież pielęgniarki nie zaglądają do pacjentów co pięć minut... Dlaczego miałyby uciekać? - zachodzi w głowę Frantz. Sophie jest kompletnie skołowana. Kiedy uciekła pierwszy raz, przesiedziała prawie trzy godziny w kawiarni, po czym wróciła, nie pamiętając nawet, co zrobiła. W tej sytuacji wytłumaczenie jest tylko jedno: uciekła z kliniki bez powodu, sama nie wiedząc, dokąd się uda. Nie tyle uciekła, ile ratowała się. Próbuje ująć przed własnym obłędem. W końcu gdzieś się schroni.

Ale na próżno Frantz roztrząsa problem pod każdym możliwym kątem: nie widzi innego miejsca, w którym mogłaby szukać schronienia tak poszukiwana zbrodniarka jak Sophie Duguet, niż tylko dom własnego ojca. Stając się Marianne Leblanc, musiała zerwać wszystkie dotychczasowe znajomości: o ile nie zdała się na kompletny przypadek (a w takim razie niedługo sama wróci do domu), to tylko tutaj, do ojca, mogłaby przyjechać. Wszystko sprowadza się do cierpliwości.

Frantz poprawia ostrość w lornetce i obserwuje, jak pan Auverney parkuje samochód przed swoim garażem.

Ma jeszcze coś do zrobienia, lecz dzień był bardzo długi i chce jak najszybciej wrócić do domu. A ponieważ zaczyna pracę dość późno, zwykle nie opuszcza firmy przed dwudziestą trzydziestą, czasem dwudziestą pierwszą.

Wychodząc, obiecuje sobie zawsze, że jutro przyjdzie wcześniej, z góry wiedząc oczywiście, że nic z tego. Podczas jazdy nie przestaje powtarzać w duchu, co wolno jej zrobić, a czego nie, co musi zrobić, a czego nie. I że to bardzo trudne dla kogoś, kto nigdy nie miał poczucia dyscypliny. W taksówce z obojętną miną przerzuca czasopismo. Na ulicy nie rozgląda się. Wystukuje kod, z werwą otwiera bramę budynku. Nigdy nie

jeździ windą, więc teraz też idzie po schodach. Na swoim piętrze wyjmuje klucz, otwiera drzwi, zamyka je, odwraca się. Przed nią stoi Sophie, ubrana w te same ciuchy co w nocy, kiedy się zjawiała; Sophie, która daje jej znak niecierpliwie jak zdenerwowany policjant kierujący ruchem. Ma robić dokładnie to samo co zwykle! Valerie pokazuje, że OK, wchodzi do mieszkania, usiłując sobie przypomnieć, co zwykła w normalnych okolicznościach robić. Ale tu następuje blokada. Nagle nie może sobie nic przypomnieć. Chociaż Sophie kazała jej wiele razy głośno powtarzać listę tych czynności, teraz... nic nie pamięta. Błada jak prześcieradło, niezdolna się poruszyć, z napięciem wpatruje się w Sophie. Sophie kładzie jej dłonie na ramionach i władczym pchnięciem zmusza Valerie, żeby usiadła na krześle obok drzwi, na którym zwykle kładzie po wejściu torebkę. W następnej sekundzie Sophie klęka, zdejmując jej pantofle, sama je wkłada i zaczyna się krzątać po mieszkaniu. Idzie do kuchni, otwiera, a potem zamyka lodówkę, wchodzi do toalety, nie zamykając za sobą drzwi, spuszcza wodę, idzie do sypialni... W tym czasie Valerie zdążyła oprzytomnieć i teraz jest jej głupio. Nie stanęła na wysokości zadania. W drzwiach znów pojawia się Sophie i posyła jej nerwowy uśmiech. Valerie zamyka oczy, jakby jej ulżyło, a kiedy je z powrotem otwiera, Sophie, z pytającym i niespokojnym spojrzeniem, wręcza jej słuchawkę telefonu. Dla Valerie to jakby druga szansa. Wybiera numer i ze słuchawką przy uchu zaczyna krążyć po mieszkaniu. Uwaga, ostrzegęła Sophie, byle nie przedobrzyć, więc Valerie z umiarkowanym zapalem mówi, że nie, dziś wieczorem nie wychodzi, czekają praca, trochę się śmieje, przez dłuższą niż zwykle chwilę słucha, po czym kończy rozmowę, tak, tak, ja też cię całuję, no to pa, potem idzie do łazienki, myje ręce i zdejmuje szkła kontaktowe. Kiedy z powrotem wychodzi na korytarz, Sophie stoi z uchem przyklejonym do drzwi wejściowych, ze spuszczonego wzrokiem i miną skupioną, jakby się modliła.

Tak jak przykazała Sophie, nie zamieniły z sobą słowa.

Wchodząc do mieszkania, Valerie poczuła nikłą woń moczu. Teraz woń jest wyraźniejsza. Odkładając soczewki, zorientowa-

ła się, że Sophie nasiusiała do wanny. Z pytającą miną wskazuje łazienkę. Sophie na moment odrywa ucho od drzwi i ze smutnym uśmiechem rozkłada ramiona w geście bezsilności. W ciągu dnia musiała siedzieć cicho jak mysz pod miotłą, więc pozostało jej tylko takie wyjście. Teraz z kolei uśmiecha się Valerie, udając, że sięga po prysznic...

Podczas odbywającej się w całkowitym milczeniu kolacji Valerie przeczytała długi elaborat napisany przez Sophie w ciągu dnia. Od czasu do czasu w trakcie tej lektury z pytającym spojrzeniem podawała jej którąś z kartek. Wtedy Sophie brała długopis i pewne słowa bardzo starannie jeszcze raz kaligrafowała. Valerie czytała bardzo powoli, co rusz z niedowierzaniem kręcąc głową, tak bardzo wydawało jej się to wszystko niesamowite. Potem Sophie włączyła telewizor i mogły wreszcie zacząć rozmawiać ściszym głosem. Taki nadmiar ostrożności wydaje się Valerie trochę śmieszny. Sophie w milczeniu, patrząc jej prosto w oczy, ściskają za ramię. Valerie przełyka ślinę. Sophie szeptem pyta: „Możesz mi kupić mały laptop?”. Valerie unosi w górę oczy; co za pytanie...!

Potem dała jej wszystko, co trzeba, i Sophie bardzo starannie zmieniła opatrunek. Sprawiała wrażenie głęboko zamyślanej. Wreszcie uniosła głowę i zapytała:

- Spotykasz się nadal z tą swoją aptekarką? Valerie kiwnęła głową, że tak.

Sophie uśmiechnęła się.

- I nadal nie potrafisz ci niczego odmówić?

Chwilę potem ziewnęła, oczy zaczęły jej łzawić ze zmęczenia.

Uśmiechnęła się przepraszająco. Nie chciała spać sama. Przed zaśnięciem obejmuje Valerie; chce jeszcze coś powiedzieć, ale nie znajduje słów. Valerie też nic nie mówi, tylko mocniej ją przytula.

...Sophie zasnęła jak kamień. Valerie trzymają w ramionach. Ilekroć napotyka wzrokiem jej bandaż, robi jej się słabo i przechodzi ją dreszcz. Co za sytuacja. Od ponad dziesięciu lat Valerie gotowa była dać wszystko, byle znaleźć się z Sophie tak

blisko, w łóżku. „Ale żeby akurat teraz. I w takich okolicznościach...” Na myśl o tym jest bliska łez. Wie, jak bardzo pragnienie to zaważyło na jej gościu, by ją przytulić, kiedy się u niej zjawiała.

Była prawie druga w nocy, kiedy Valerie obudził dzwonek u drzwi; przez prawie dwie godziny Sophie sprawdzała, czy budynek nie jest pod obserwacją...

Otworzyła drzwi i w młodej kobiecie w czarnej bluzie od dresu, stojącej przed nią z opuszczonymi rękami, od razu rozpoznała Sophie, a raczej jej cień. Twarz ćpunka - oto co natychmiast pomyślała. Bo Sophie wyglądała na dziesięć lat starszą, bo miała zgarbione ramiona i podkrążone oczy, a jej wzrok wyrażał rozpacz. Valerie miała ochotę zapłakać. Objęła ją i przytuliła.

A teraz wsłuchuje się w jej miarowy oddech. Nie zmieniając pozycji, próbuje dojrzeć jej twarz, lecz widzi tylko czoło. Chciałaby odwrócić ją do siebie, pocałować. Czuje, że do oczu napływają jej łzy, i otwiera je szeroko, by nie ulec tej zbyt łatwej pokusie.

Przez prawie cały dzień roztrząsała wyjaśnienia, domysły, symptomy i hipotezy, którymi zasypała ją Sophie ubiegłej nocy, kiedy się zjawiała.

Wskrzesiła w pamięci niezliczone telefony i pełne niepokoju maile, które przez długie miesiące od niej dostawała. Te miesiące, kiedy uważała, że Sophie popada w obłąd. Na stoliku nocnym po drugiej stronie łóżka leży małe zdjęcie paszportowe, które przyjaciółka uważa za swój najcenniejszy skarb, swoją zdobycz wojenną. A przecież to nic takiego; jedna z tych nieporadnie robionych w automacie fotografii na ciemnym tle, które od nowości wyglądają jak brudne i na widok których, gdy wysuwają się z aparatu, robi się przykro; człowiek mówi sobie, że to „bez znaczenia”, to tylko zdjęcie do biletu komunikacji miejskiej, ale potem ogląda je przez cały rok z przygnębieniem, że jest taki brzydki. Na tej fotografii, pieczołowicie zabezpieczonej kilkoma warstwami przezroczystego skocza, Sophie ma lekko gapowatą minę i wymuszony uśmiech. Błysk flesza nadał jej twarzy białą, trupią barwę. Mimo wszystkich tych wad

drobiazg ów jest z całą pewnością najcenniejszą rzeczą, jaką posiada. Za to zdjęcie oddałaby życie, jeśli już się tak nie stało...

Valerie wyobraża sobie, jak to wyglądało, kiedy Sophie je pewnego dnia znalazła, domyśla się jej zdumienia. Wyobraża sobie, z jakim niedowierzaniem obraca je w palcach, wtedy jeszcze zbyt zamroczona, by zrozumieć; przespała dwanaście godzin jednym ciągiem, obudziła się otumaniona bardziej niż zwykle, głowa pęka jej z bólu. Ale to odkrycie tak nią wstrząsa, że wlecze się do łazienki, rozbiera i wchodzi do wanny; nakierowuje wylot prysznica na głowę, a potem, po krótkim wahaniu, gwałtownym ruchem odkręca kran z zimną wodą.

Szok jest tak gwałtowny, że krzyk więźnie jej w gardle. Prawie się przewraca, przytrzymuje się fajansowej ścianki, rozszerzają jej się źrenice, lecz z szeroko otwartymi oczami wytrwale stoi pod strumieniem wody. Kilka minut później otulona w szlafrok Frantza siedzi już przy kuchennym stole, trzyma filiżankę gorącej herbaty i z napięciem wpatruje się w leżące przed nią zdjęcie. Na próżno roztrząsa wszystkie elementy, ból głowy rozsadza jej czaszkę - jest to po prostu niemożliwe. Robi jej się niedobrze. Na kartce papieru odnotowała daty, odtworzyła ciągi logiczne, zestawiała wydarzenia. Wpatrując się w zdjęcie, zauważyła swoją ówczesną fryzurę, przypomniała sobie ubranie, które miała na sobie tamtego dnia... Wniosek może być tylko jeden: to to samo zdjęcie, które znajdowało się na jej bilecie rocznym z 2000 roku, bilecie znajdującym się w torebce, którą ukradł jej motocyklista, nagłym szarpnięciem otwierając drzwi jej samochodu na czerwonych światłach na rue de Commerce.

Pytanie: jak to możliwe, że odkryła je pod podszewką podróżnej torby Frantza? Frantz nie mógł go znaleźć w rzeczach należących do Marianne Leblanc, bo zostało skradzione ponad trzy lata temu!

Szukała w szafie w przedpokoju swoich tenisówek, przypadkowo wsunęła rękę za podszewkę starej torby Frantza, skąd wyciągnęła ją z tą fotografią wielkości trzech centymetrów kwadratowych... Spogląda na zegar kuchenny. Za późno, żeby zacząć. Jutro. Jutro.

Nazajutrz i przez wszystkie kolejne dni Sophie, nie pozostawiając żadnych śladów, przekopuje całe mieszkanie. Jest jej bez przerwy niedobrze; przez to zmuszanie się do wymiotowania leków podawanych jej przez Frantza (a to na ból głowy, a to nasennych, a to uspokajających - „to nic takiego, specyfik ziołowy”...) łapią ją czasem takie mdłości, że ledwie ma czas dobiec do łazienki lub toalety. Żołądek ma kompletnie rozstrojony. Mimo to szpera, myszkuje, przeszukuje mieszkanie od deski do deski; i nic. Nic, tylko to zdjęcie, ale to już i tak niemało...

Powracają do niej inne, znacznie dawniejsze pytania. Całymi godzinami, całymi dniami szuka innych odpowiedzi, których nie znajduje. Niekiedy przyprawiają to wszystko dosłownie o gorączkę, jak gdyby prawda generowała gorąco, o które nieustannie parzy sobie dłonie, wciąż nie potrafiąc jej dostrzec.

I nagle - jest. To nie objawienie, raczej intuicja, myśl nagła jak grom z jasnego nieba. Wpatruje się z uwagą w swoją komórkę, która leży na stole w salonie. Spokojnie bierze ją, otwiera, wyjmuje baterię. Czubkiem kuchennego noża odkręca drugą płytkę i odkrywa maleńki pomarańczowy czip przymocowany dwustronnym skoczem, cierpliwie pomagając sobie pęsetką, odkleja taśmę. Przez szkło powiększające widzi jakiś kod, słowo, cyfry: SERV.0879, i nieco dalej kod produktu: AH68-(REV 2.4).

Kilka minut później Google wyświetla amerykańską stronę dostawcy sprzętu elektronicznego, stronę jakiegoś katalogu i przy pozycji AH68 - opis „Sygnalizacja GPS”.

- Gdzie byłaś? - zapytał spanikowany Frantz. - Cztery godziny, masz pojęcie, cztery godziny - powtarzał na okrągło, jakby sam nie mógł w to uwierzyć.

Cztery godziny...

Działo się to dwa dni wcześniej. Tyle czasu potrzebowała Sophie, żeby wyjść z domu, wsiąść w samochód i przejechać osiemnaście kilometrów do Villefranche, zamówić w kawiarni coś do picia i ukryć w toalecie swoją komórkę, a potem wyjść i

zasiąść w panoramicznej restauracji na rynku Villiers, skąd rozciągał się wspaniały widok na miasto, na ulicę i na kawiarnię, przed którą kwadrans później Frantz, wyraźnie zachowując ostrożność, lecz niespokojny, dwukrotnie przejeżdża na motorze, próbując wypatrzeć za szybą Sophie...

Z tego wszystkiego, co Valerie usłyszała od Sophie zeszłej nocy, wynika jedno: mężczyzna, którego poślubiła, by skuteczniej się ukryć, jest jej oprawcą. Mężczyzna, obok którego kładzie się każdej nocy, który kładzie się na niej...

Tym razem łzy Valerie już bez przeszkód spływają na włosy Sophie.

Pan Auverney, ubrany w niebieski kombinezon, w roboczych rękawicach, czyści w tym momencie furtkę z rdzy. Od dwóch dni Frantz odnotowuje jego poczynania i ruchy, wyjazdy i przyjazdy, lecz, nie dysponując żadnym elementem porównawczym, nie jest w stanie stwierdzić, czy w jego zwyczajach zaszła jakakolwiek zmiana. Pod jego nieobecność z wielką uwagą obserwował dom, wypatrując najdrobniejszego znaku życia. Nie dostrzegł żadnego ruchu. Można by przyjąć, że pan Auverney jest sam. Frantz kilkakrotnie śledził go poza domem. Jeździ dużym i stosunkowo nowym volkswagenem, szary metalik. Wczoraj zrobił zakupy w supermarkecie, zatankował benzynę. Dziś rano pojechał na pocztę, potem spędził blisko godzinę w prefekturze, po czym wrócił do domu, po drodze wstępując do sklepu ogrodniczego, gdzie nabył kilka worków z ziemią kompostową, których zresztą jeszcze nie wyładował. Samochód stoi zaparkowany przed szopą pełniącą funkcję garażu, z szerokimi dwuskrzydłowymi drzwiami, choć już jedno skrzydło wystarczy, żeby wprowadzić samochód do środka. Frantz musi walczyć z ogarniającym go zwątpieniem; po upływie dwóch dni takie czekanie wydaje się daremne i nieraz już go kusilo, żeby zmienić strategię. Ale na próżno rozpatruje tę kwestię; to tutaj i nigdzie indziej musi czekać na

Sophie. Koło osiemnastej Auverney zamknął puszkę ze środkiem usuwającym rdzę, poszedł umyć ręce pod ogrodowym kranem. Otworzył bagażnik samochodu, żeby wyjąć worki z ziemią, ale z uwagi na ich ciężar rozmyślił się. Postanowił wprowadzić samochód do szopy i tam go rozładować.

Frantz spogląda w niebo. Na razie nie ma chmur i jego stanowisko jest niezagrożone.

Kiedy samochód wjechał do szopy, a Patrick Auverney po raz drugi otworzył bagażnik i popatrzył na córkę, która leżała w nim skulona od ponad pięciu godzin, niewiele brakowało, a głośno by coś powiedział. Ale Sophie zdążyła już wyciągnąć ku niemu rękę z nakazującym spojrzeniem; zamilkł.

Wysiadła, wykonała kilka ruchów rozciągających, ale już bacznie rozglądała się po szopie.

Potem odwróciła się do ojca. Uznała, że wygląda znakomicie. On nie mógł o niej powiedzieć tego samego: wydała mu się zmieniona nie do poznania.

Wychudzona, wycieńczona. Pod oczami, błyszczącymi jak w gorączce, sine cienie. Pergaminowa cera. Jest przerażony, a ona to rozumie. Zamknęła oczy, przytuliła się do niego i w milczeniu rozplakała. Stali tak przez chwilę. Potem Sophie odsunęła się i uśmiechając się przez łzy, zaczęła szukać chustki do nosa.

Podał jej swoją. Z tylnej kieszeni dżinsów wyjęła kartkę. Ojciec sięgnął do kieszeni koszuli po okulary i zaczął uważnie czytać. Od czasu do czasu w trakcie lektury spogląda na nią z przerażeniem. Spogląda też na bandaż na jej nadgarstku; na ten widok uginają się pod nim nogi. Potrząsa głową, jakby chciał powiedzieć: „To niemożliwe”. Doczytawszy do końca, unosi kciuk na znak zgody, bo taki warunek zawiera dokument. Uśmiechają się do siebie. Wsuwa okulary z powrotem do kieszeni, poprawia ubranie, bierze głęboki oddech i opuszcza szopę, żeby usiąść w ogrodzie.

Po wyjściu z szopy pan Auverney ustawił ogrodowe meble w zacięonym miejscu kilka metrów dalej, po czym ruszył do domu. Przez lornetkę Frantz widział, jak wchodzi do kuchni, a potem do salonu. Kilka minut później pojawił się z laptopem i dwiema kartonowymi teczkami z dokumentacją i usiadł przy ogrodowym stole, żeby popracować. Prawie nie zagląda do swoich notatek, stuka szybko w klawiaturę. Z miejsca, w którym się znajduje, Frantz widzi go od tyłu, pod kątem trzy czwarte. Od czasu do czasu Auverney sięga po plan, rozwija go, sprawdza rzędne, robi odręcznie szybkie obliczenia bezpośrednio na okładce te czki. Patrick Auverney jest człowiekiem rzetelnym.

Cała scena jest okropnie statyczna. Mogłaby uspić czujność każdego, ale nie Frantza. Jakakolwiek byłaby godzina, on opuści swoje stanowisko obserwacyjne dopiero długo potem, jak w domu zgaśnie ostatnie światło.

p.auverney@neuville.fr - jesteś podłączony

- Jesteś tam???

Sophie potrzebowała prawie dwudziestu minut, żeby przygotować odpowiednie miejsce, nie robiąc przy tym najmniejszego hałasu. Ustawiła stos kartonowych pudeł w martwym polu. Nakryła starym kocem stół do majsterkowania. Potem uruchomiła laptop i podłączyła się do domowej sieci WiFi swojego ojca.

zielonamyszka@msn.fr - jesteś podłączony

- Tato? Już jestem.

- Uff!

- PROSZĘ CIĘ, pamiętaj: staraj się urozmaicać ruchy, zaglądaj do notatek, wykonuj gesty „pro”...

- Ja jestem „pro”!

- Jesteś tatapro.

- Co z twoim zdrowiem??????

- Bez obaw.
- Chyba żartujesz?
- To znaczy: już bez obaw. Wyjdę z tego.
- Przerażasz mnie.
- Ja też się siebie przeraziłam. Ale przestań się bać, teraz już będzie dobrze. Czytałeś mój mail?
- Właśnie to robię. Otworzyłem go w innym okienku. Ale przede wszystkim: kocham cię. Bardzo za tobą tęsknię. BARDZO. Kocham cię.
- Ja też cię kocham. Cudownie cię znów zobaczyć, ale proszę, NIE CHCĘ SIĘ TERAZ ROZPŁAKAĆ!!!
- OK. Zostawmy to na później. Na później... Powiedz mi, jesteś pewna, że to, co robimy, czemukolwiek służy, bo jak nie, to oboje wyjdziemy na niezłych idiotów...
- Przeczytaj uważnie mój mail: mogę ci przysiąc, że jeśli on tu jest, to W TEJ WŁAŚNIE chwili cię obserwuje.
- Czuję się jak aktor grający przed pustą widownią.
- No to cię zapewniam: masz JEDNEGO widza. I to BARDZO uważnego!
- Jeśli tu jest...
- Ja WIEM, że tu jest.
- I myślisz, że NIC się przed nim nie uchowa?
- Ja jestem tego żywym dowodem.
- To daje do myślenia...
- Co?
- Nic...
- Hej, hej?
- ...
- Tato, jesteś tam?
- Tak.
- Skończyłeś się już zastanawiać?
- Nie całkiem...
- Co teraz robisz?
- Wykonuję różne gesty. Wracam do twojego maila.
- OK.
- To takie niesamowite, a zarazem sprawia mi niesamowitą radość...!

- Co?
- Wszystko. Widzieć cię, wiedzieć, że tu jesteś. Żywa.
- ...i wiedzieć, że nie zrobiłam żadnej z tych rzeczy, przyznaj!
- Tak, też.
- Miałaś trochę wątpliwości, co?
- ...
- Hej, hej?
- Tak, trochę miałem.
- Nie mam ci tego za złe, nawet ja sama w to uwierzyłam. Co dopiero ty...
- ...
- Halo?
- Kończę czytać twój mail...
- ...
- Dobrze, skończyłem. Jestem oszołomiony.
- Jakies pytania?
- Mnóstwo.
- Wątpliwości?
- Słuchaj, to nie takie łatwe...
- WĄTPLIWOŚCI?????
- No pewnie, do cholery!
- Takiego cię kocham. Zacznij od pytań.
- Ta historia z kluczami...
- Masz rację: od tego się wszystko zaczyna. Na początku lipca 2000 roku jadę samochodem i jakiś facet na motorze wrywa mi torebkę. Torebkę zwracają mi na komisariacie dwa dni później; w tym czasie mógł z powodzeniem wykonać duplikaty wszystkiego. Kluczy do naszego mieszkania, samochodu... Mógł przychodzić do domu, zabierać różne rzeczy, przekładać je z miejsca na miejsce, czytać nasze maile, jednym słowem WSZYSTKO, absolutnie WSZYSTKO!
- Więc w tym okresie zaczęły się twoje... problemy?
- Czasowo się to zgadza. Brałam wtedy tabletki na sen, ziołowe. Nie wiem, co do nich wkładał, ale myślę, że to samo, co mi nadal podaje. Po śmierci Vincenta zatrudniłam się u państwa Gervais. Kilka dni po tym, jak rozpoczęłam u nich pracę, ich sprzątaczką zapodziała gdzieś swoje klucze.

Wszędzie ich szukała, była spanikowana i bała się przyznać pracodawcom. I jakimś cudem podczas weekendu z powrotem je znalazła. Ten sam schemat... Myślę, że posłużył się nimi, żeby wejść i udusić małego. To DLATEGO wydawało mi się, że drzwi były od wewnątrz zamknięte.

- Możliwe... A facet na motorze?

- Facetów na motorach jest mnóstwo, ale ja wiem, że to ciągle ten sam!

Ten, który kradnie mi klucze, ten, który kradnie klucze sprzątaczkę, facet, który nas, mnie i Vincenta, szpieguje, którego Vincent potrąca i któremu udaje się uciec, ten, na którego zastawiam pułapkę, chowając komórkę w toalecie kawiarni w Villefranche...

- OK, w porządku, tak przedstawione wszystko się zgadza. Dlaczego czekasz z zawiadomieniem policji?

- ...

- Masz przecież wystarczająco wiele elementów, nie?

- Nie zamierzam tego zrobić.

-????????? Czego jeszcze chcesz?

- To nie wystarczy...

-??

- Albo inaczej: mnie to nie wystarczy.

- Kompletna bzdura!

- To moje życie.

- Więc ja to zrobię!

- Tato! Jestem Sophie Duguet! Jestem poszukiwana za CO NAJMNIEJ trzy morderstwa! Jeśli policja mnie teraz znajdzie, czeka mnie więzienie.

Dożywocie! Myślisz, że policja potraktuje poważnie moje elukubracje, jeśli nie będę miała niezbitych DOWODÓW?

- Przecież... je masz...!

- Nie! To, co mam, to tylko opis pewnego splotu okoliczności, wszystko bazuje na jednej wyjściowej hipotezie, zupełnie znikomej, która niewiele będzie znaczyć w obliczu trzech morderstw, w tym morderstwa sześciolatniego dziecka!

- OK. Przynajmniej na razie... Inna sprawa: skąd pewność, że ten facet to właśnie TWÓJ Frantz?

- Poznał mnie przez biuro matrymonialne, w którym zarejestrowałam się jako Mariannę Leblanc (nazwisko figurujące w metryce, którą kupiłam). Nigdy nie znał mnie pod innym nazwiskiem.

- A więc?

- A więc wyjaśnij mi, dlaczego, kiedy podciąłam sobie żyły, a on podniósł krzyk, nazwał mnie „Sophie”???

- No tak... Ale... DLACZEGO podcięłaś sobie żyły???????

- Tato! Tylko raz udało mi się uciec; dopadł mnie na dworcu. Od tej pory nie odstępował mnie na krok. Kiedy wychodził, zamykał mieszkanie na klucz.

Przez wiele dni udawało mi się nie łykać tego, co mi podawał; migreny, napady lęku ustąpiły... Zresztą nie miałam innego wyjścia. Musiałam znaleźć jakąś drogę ucieczki: w szpitalu nie mógł mnie pilnować przez dwadzieścia cztery godziny na dobę...

- Mogło się to źle skończyć...

- Niemożliwe. To, co zrobiłam, było widowiskowe, ale niegroźne. W taki sposób się nie umiera... Zresztą on by mi nigdy nie pozwolił umrzeć. Chce mnie uśmiercić osobiście. Tego właśnie chce.

- ...

- Jesteś tam?

- Tak, tak, jestem... Właściwie próbuję się zastanawiać, ale przede wszystkim czuję gniew, dziecinko. To straszne, ale czuję, że ogarnia mnie gniew.

- Ja też, ale z nim gniewem nic się nie działo. Przy nim trzeba czegoś zupełnie innego.

- Czego?

-...!!!

-!!! CZEGO??

- Jest inteligentny, potrzebna jest przebiegłość...

-??? I co zrobisz teraz?

- Jeszcze nie wiem, ale tak czy inaczej: wracam tam.

- Zaczekaj! To szaleństwo! Nie pozwolę ci tam wrócić, NIE MA MOWY!

- Wiedziałam, że to powiesz...

- Nie pozwolę ci z nim odjechać, koniec kropka!
- I znowu będę sama?
- Słucham?
- Pytam cię, czy po raz kolejny mam zostać sama? Jednym słowem: czy twoja pomoc na tym się kończy? Jedyne, co możesz mi ofiarować, to swoje współczucie i gniew? CZY WIESZ, CO JA PRZESZŁAM? Czy zdajesz sobie sprawę? Vincent nie żyje, tato! To on zabił Vincenta! Zabił moje życie, zabił... wszystko! Czy znów mam zostać sama?
- Posłuchaj, zielona myszko...
- Nie wkurzaj mnie z tą swoją zieloną myszką. JA TU JESTEM!!
- Pomożesz mi, do cholery, czy nie???
- ...
- ...
- Kocham cię. I ci pomogę.
- Och, tato, jestem taka zmęczona...
- Zostań tu trochę, odpocznij.
- Muszę wracać. I właśnie w tym mi pomożesz, OK?
- Oczywiście... ale mimo wszystko nadal pozostaje jedno przekłete pytanie...
- ??
- Dlaczego to wszystko zrobił? Znasz go? Znałaś?
- Nie.
- Ma pieniądze, ma czas i ewidentnie patologiczną zawziętość... Ale... dlaczego akurat wobec CIEBIE?
- Właśnie dlatego tu jestem, tato: to ty zabrałaś kartotekę mamy?
- ???
- Myślę, że do tego należałoby się cofnąć. Może był pacjentem mamy?
- On albo ktoś mu bliski? Nie mam pojęcia.
- Trochę rzeczy chyba mam. W kartonie... Nigdy do nich nie zaglądałem.
- Więc myślę, że najwyższy czas.

Frantz spał w swoim wynajętym samochodzie. Pierwszej nocy cztery godziny na parkingu supermarketu, drugiej znów cztery godziny na parkingu dworca autobusowego. Ze sto razy żałował już tej decyzji strategicznej, ze sto razy już chciał zawrócić z drogi, jednak udało mu się wytrwać. Musi tylko zachować zimną krew, nic więcej. Sophie nigdzie indziej nie może się udać.

Zjawia się. Siłą rzeczy. Jest poszukiwaną kryminalistką, nie pójdzie na policję, wróci do domu albo przyjedzie tu, nie ma innego wyboru, może tylko wrócić do domu albo przyjechać tutaj, albo, albo. Co nie zmienia faktu... Tkwienie godzinami w jednym miejscu i obserwowanie przez lornetkę domu, w którym nic się nie dzieje, podkopuje człowiekowi morale, w końcu pojawia się wątpliwość i tylko dzięki czterem latom pracy i wiary w słuszność sprawy można stawić jej czoło.

Pod koniec trzeciego dnia Frantz jedzie do domu. Wchodzi pod prysznic, zmienia ubranie, śpi cztery godziny. Przy okazji zabiera wszystko, czego mu brakuje (termos, aparat fotograficzny, kurtkę, szwajcarski scyzoryk itp.). O pierwszym brzasku jest już z powrotem na posterunku.

Dom pana Auverneya to jeden z tych długich piętrowych budynków, jakich widzi się wiele w tym regionie. Na końcu jego prawego skrzydła mieści się pralnia oraz szopa, w której zimą przechowuje narzędzia ogrodnicze. Po lewej stronie, dokładnie naprzeciwko Frantza, znajduje się przybudówka, gdzie urządził sobie garaż i warsztat. Jest to wielkie pomieszczenie, z mnóstwem narzędzi do majsterkowania, w którym śmiało zmieściłyby się jeszcze dwa inne samochody. Kiedy pan Auverney zamierza wyprowadzić samochód, szeroko otwiera drzwi przybudówki.

Dziś rano wyszedł z domu w garniturze. Być może z kimś się umówił. Otworzył garaż i zdjął marynarkę, żeby wyprowadzić do ogrodu mały traktorek ogrodowy; pojazd z rodzaju tych, które służą do koszenia trawy na polach golfowych. Na pewno zepsuty, ponieważ musiał go pchać i ciągnąć, a zdaje się ważyć

tonę. Na wierzchu położył kopertę. Prawdopodobnie w ciągu dnia ktoś ją zabierze. Korzystając z tego, że oba skrzydła drzwi są otwarte, Frantz obejrzał - i zrobił kilka zdjęć - wewnątrz przybudówki: połowę powierzchni zajmują stosy kartonów, worków z ziemią, walizek oklejonych taśmą. Koło dziewiątej Auverney opuścił dom na dobre. Teraz dochodzi czternasta i nie widać żadnego ruchu.

Karta szpitalna pacjenta

Sarah Berg, z domu Weiss, urodzona 22 lipca 1944.

Rodzice deportowani, zginęli w obozie w Dachau, data ich śmierci nieznana.

Poślubia Jonasa Berga 4 grudnia 1964.

Narodziła syna, Frantza, 14 listopada 1974.

1982 - zdiagnozowana psychoza maniakalnodepresyjna (trzecia postać: depresja lękowa) - Szpital L. Pasteura. 1985 - hospitalizacja w klinice du Parc (dr JeanPaul Roudier). 1987-1988 - hospitalizacja w klinice des Rosiers (dr Catherine Auverney).

1989 - hospitalizacja w klinice ArmandBrussieres (dr Catherine Auverney).

23 września 1989 - po rozmowie z dr Auverney Sarah Berg wkłada swoją ślubną suknię i rzuca się z okna piątego piętra. Ponosi śmierć na miejscu.

Co z tego, że się jest twardym jak skała, czekanie każdego by wykończyło. Oto mijają już trzy pełne dni, odkąd Sophie zniknęła... Auverney wrócił do domu koło szesnastej trzydzieści. Rzucił okiem na kosiarkę i ruchem pełnym rezygnacji zabrał położoną na niej wcześniej kopertę.

W tym dokładnie momencie zadzwonił telefon Frantza.

Najpierw długa cisza. „Marianne...?” - tonem pytania odezwał się Frantz.

Usłyszał jakby szlochanie. Powtórzył:

- Mariannę, czy to ty?

Tym razem nie było już wątpliwości. Płacząc, wykrztusiła:

- Frantz... gdzie jesteś?

I:

- Szybko przyjeźdź.

A potem zaczęła w kółko powtarzać: „Gdzie jesteś?... Gdzie jesteś?...” takim tonem, jakby nie oczekiwała żadnej odpowiedzi.

- Jestem tutaj - próbował wtrącić Frantz.

- Wróciłam... - ciągnęła zachrypniętym, znużonym głosem. - Jestem w domu.

- Nigdzie się nie ruszaj... Nie bój się, jestem tutaj, niedługo wrócę.

- Błagam cię, Frantz... przyjeźdź jak najszybciej...

- Będę za... nie więcej jak dwie godziny. Zostawiam telefon włączony.

Marianne, jestem tutaj, nie musisz się już bać. Jeśli się będziesz bała, zadzwonisz, zgoda?

Ponieważ nie odpowiada, Frantz powtarza:

- Zgoda?

Znów milczenie i w końcu Sophie mówi:

- Przyjeźdź jak najszybciej... I znów wybucha płaczem.

Wyłączył telefon. Czuje niewysłowioną ulgę. Od ponad trzech dni nie brała lekarstw, ale z jej głosu odgaduje, że jest zgaszona, słaba. Na szczęście nie wygląda na to, żeby ucieczka przywróciła jej siły, żeby jej stan się polepszył.

Mimo wszystko musi zachować czujność. Dowiedzieć się, gdzie była. Frantz jest już przy bramie. Wspina się na nią, zeskakuje i rusza biegiem. Jak najszybciej wrócić. Niczego nie może być pewny. A jeśli znów wyjdzie? Co kwadrans, dopóki nie dotrze na miejsce, musi do niej dzwonić. Wciąż czuje niejasny niepokój, ale górę nad wszystkim bierze poczucie ulgi.

Biegnie do samochodu i wtedy puszcza ją w nim emocje. Włączając silnik, jak dziecko wybucha płaczem.

SOPHIE I FRANTZ

Kiedy Frantz wchodzi do mieszkania, Sophie siedzi przy kuchennym stole. Wygląda, jakby siedziała tak tu od wieków, nigdzie się stąd nie ruszała.

Stół jest pusty z wyjątkiem popielniczki, pełnej niedopałków; splecione dłonie Sophie spoczywają bezwładnie na ceracie. Ma na sobie ciuchy, których Frantz nie zna, wymięte, przypadkowe, rodem jak z lumpeksu. Włosy ma brudne, oczy zaczerwienione. Jest przeraźliwie chuda. Odwraca się do Frantza powoli, ruchem zdającym się wymagać od niej nadludzkiego wysiłku. Próbuje wstać, ale nie może. Pochyliła tylko na bok głowę i mówi: „Frantz”.

Frantz przytula ją. Sophie cuchnie papierosami. Pyta:

- Czy coś przynajmniej zjadłaś?

Nie odrywając się od niego, potrząsa głową, że nie. Przrzekał sobie, że nie będzie jej o nic teraz pytał, ale to silniejsze od niego.

- Gdzie byłaś? - pyta.

Sophie z nieobecnyim spojrzeniem kiwa głową, odsuwa się nieco.

- Nie wiem - bąka. - Jechałam stopem...

- Nic ci się chociaż złego nie przydarzyło? Sophie znów potrząsa głową, że nie.

Długo nie wypuszcza jej z objęć. Wtulona w jego ramiona jak małe przestraszone zwierzątko Sophie przestaje płakać. Jest tak niewiarygodnie lekka. I taka chuda... Frantz zachodzi w głowę, dokąd pojechała, co robiła przez tyle czasu. W końcu o

wszystkim mu powie, jej życie nie ma już przed nim żadnych sekretów. Ale teraz, w tych chwilach milczenia, kiedy się znów odnaleźli, Frantz przede wszystkim uświadamia sobie, jak okropnie się bał.

Objąwszy spadek po ojcu, był przekonany, że nareszcie będzie mógł się bez reszty zająć doktor Catherine Auverney. Dlatego też wieść o jej śmierci odebrał jako zdradę. Życie okazało się jednym wielkim oszustwem. Ale dzisiaj czuje tę samą dojmującą ulgę, jaka ogarnęła go w dniu, kiedy odkrył istnienie Sophie i zrozumiał, że zastąpi ona doktor Auverney. Że poniesie śmierć zamiast niej. Tymczasem w ciągu tych trzech dni był o krok od utraty swojego skarbu.

Przytula ją do siebie z uczuciem nieopisanego szczęścia. Pochyla głowę i wdycha zapach jej włosów. Sophie lekko się odsuwa, patrzy na niego.

Opuchnięte powieki, brudna twarz. Lecz jest piękna. Co do tego Frantz nie ma żadnych wątpliwości. I nagle bez osłonek, w całej swej oczywistości objawia mu się prawda: kocha ją. Ale nie to go najbardziej zaskakuje, bo kocha ją już od dawna. Nie, najbardziej wzruszające jest to, że za sprawą wszystkich jego starań, dzięki temu, że tak ją urabiał, pilotował, prowadził, formował, Sophie wygląda teraz dokładnie jak Sarah. Pod koniec życia Sarah też miała takie zapadnięte policzki, takie bezkrwiste usta, takie puste spojrzenie, takie kościste ramiona, była tak samo wychudzona. I tak jak dzisiaj Sophie, wpatrywała się z miłością we Frantza, jakby był jedynym lekarstwem na wszystkie nieszczęścia świata, jedyną nadzieją, że któregoś dnia Sarah zdoła odnaleźć bodaj namiastkę spokoju ducha. To podobieństwo między dwiema kobietami ogromnie go porusza. Sophie jest doskonała. Sophie jest egzorcyzmem, odczynieniem zła; czeka ją cudowna śmierć. Frantz będzie ją bardzo opłakiwał. Będzie za nią bardzo tęsknił. Bardzo. I będzie bardzo nieszczęśliwy, że wyleczy się, a jej już nie będzie...

Sophie wciąż patrzy na Frantza przez cienką zasłonę łez, ale wie, że specyfik wywołujący łzawienie nie działa długo. Trudno odgadnąć, co mu chodzi po głowie. Dlatego musi dalej tak stać, nie ruszać się, pozwalać się obejmować... Czekać. Frantz

położył ręce na jej ramionach, przytula ją i w tym momencie Sophie czuje, że coś w nim - nie wie co - słabnie, zapada się, topnieje. Przytulają, a ją zaczyna ogarniać strach, ponieważ w jego oczach dostrzega dziwną szklistość. Tak jakby nad czymś intensywnie medytował.

Sophie nie odrywa od niego wzroku, jakby chciała go swoim spojrzeniem sparaliżować. Przelyka ślinę, szepcze: „Frantz...”. I podaje mu usta, na których on momentalnie składa pocałunek. Pocałunek powściągliwy, sztywny, trochę machinalny, mimo to jest w nim jakaś drapieżność. Władczość. A na wysokości podbrzusza Frantza Sophie wyczuwa sztywniejącą wypukłość. Koncentruje się.

Chciałaby szybko zastanowić się bez tego prężerza strachu, ale nie potrafi.

Czuje się zobowiązana, zniewolona. Frantz jest silny fizycznie. Sophie boi się śmierci. Więc przytula się do niego, przywiera biodrami do jego podbrzusza, wyczuwa jego gotowość i to ją uspokaja. Przytula policzek do jego twarzy i spuszcza wzrok. Odzyskuje oddech. A wtedy rozluźnia jeden po drugim wszystkie mięśnie ciała i powoli osuwa się w jego ramiona. Frantz ją podtrzymuje. Ciągnie ją do sypialni i kładzie na łóżku. Mogłaby tak zasnąć...

Słyszy, jak Frantz oddala się, wchodzi do kuchni, a wtedy Sophie na krótko otwiera oczy i zaraz z powrotem zamyka. Charakterystyczny brzęk łyżeczki o szkło. Potem znów nad nią staje. Mówi: „Teraz prześpisz się trochę, odpoczniesz. Najważniejsze, żebyś odpoczęła”. Unosi jej głowę, a ona powoli przelyka płyn. Dla zneutralizowania smaku dodaje zawsze dużo cukru. Potem wraca do kuchni. Sophie szybko przewraca się na bok, odchyła prześcieradło, wkłada dwa palce do gardła. Gwałtowny skurcz żołądka i za jednym razem zwraca płyn. Potem naciąga prześcieradło i znów kładzie się na wznak. Frantz jest już przy niej. Przykłada dłoń do jej czoła, szepcze: „Śpij spokojnie” i muska ustami jej wyschnięte wargi. Podziwia tę piękną twarz. Kochają. Ta twarz jest jego własnością. Już teraz lęka się chwili, kiedy jej zabraknie...

- Przyszli żandarmi...

O tym Sophie nie pomyślała. Żandarmi. Jej spojrzenie natychmiast zdradza niepokój. Frantz dobrze wie, do jakiego stopnia prawdziwa Sophie może bać się policji. Rozegrać to z wyczuciem.

- To nieuniknione - dodaje. - Szpital miał obowiązek ich zawiadomić.

Byli tu...

Przez chwilę napawa się paniką Sophie. Potem przytula ją i mówi:

- Nie bój się, wszystkim się zająłem. Nie chciałem, żeby cię szukali.

Wiedziałem, że wrócisz.

Przez tyle czasu udawało jej się unikać wszelkich kontaktów z policją. A teraz wpadła. Bierze głęboki oddech, próbuje szybko zebrać myśli. Frantz będzie musiał ją z tego wyciągnąć. W ich wspólnym interesie. Rozegrać to z wyczuciem.

- Będziesz musiała podpisać jakieś papiery. Ale ponieważ wróciłaś...

Powiedziałem im, że byłaś w Besancon. U przyjaciółki. Najlepiej mieć to jak najszybciej z głowy.

Sophie potrząsa głową. Przecząco. Frantz jeszcze mocniej ją przytula.

Ściany korytarza w komisariacie pokrywają zblakłe afisze z powiększeniami dowodów osobistych, wezwaniami do zachowania ostrożności, numerami dyżurnymi na każdą możliwą okoliczność. Żandarm Jondrette spogląda na Sophie z pogodną dobroduszością. Chciałby mieć taką żonę.

Neurotyczkę. Przy takiej żonie mężczyzna musi czuć się użyteczny. Potem przenosi spojrzenie na Frantza. Grube palce, którymi bębni po stole, w końcu nieruchomieją na jakimś formularzu.

- No więc tak ni stąd, ni zowąd uciekamy ze szpitala...

Tak Jondrette wyobraża sobie dyplomatyczne zagajenie

sprawy. Siedzi przed nim kobieta, która próbowała się zabić, a on nic innego nie potrafi wymyślić. Sophie instynktownie czuje, że należy schlebić próżności tego mężczyzny. Spuszcza wzrok. Frantz obejmuje ją za ramię. Uroczą parą.

- I była pani...

- W Bordeaux - odpowiada cicho Sophie.

- No właśnie, w Bordeaux. Tak powiedział pani mąż. W rodzinie...

Sophie zmienia strategię. Unosi wzrok i wlepia spojrzenie w Jondrette'a.

Żandarm jest człowiekiem prostym, ale pewne sprawy potrafi wyczuć. I wyczuwa, że pani Berg to kobieta z charakterem.

- Rodzina, dobra rzecz... - ciągnie. - To znaczy dobra w takich sytuacjach...

- Podobno trzeba coś podpisać...

W ich pełen niedomówień dialog głos Frantza wprowadza nieco rzeczywistości. Jondrette otrząsa się.

- Owszem. To...

I obraca formularz w stronę Sophie. Sophie rozgląda się za czymś do pisania. Jondrette podaje jej długopis z logo jakiegoś garażu. Sophie podpisuje.

Berg.

- Teraz już wszystko będzie dobrze - mówi Jondrette. Nie wiadomo, czy to pytanie, czy stwierdzenie.

- Będzie dobrze - potakuje Frantz.

Dobry mąż. Jondrette odprowadza wzrokiem objętych małżonków, którzy opuszczają komisariat. Taka kobieta to z pewnością dobra rzecz, ale też jak nic źródło ciągłych problemów.

Cierpliwie uczyła się oddychać jak osoba śpiąca. Wymaga to wielkiego skupienia i nieustannej kontroli, ale teraz potrafi już bardzo dobrze symulować głęboki sen. Tak dobrze, że kiedy dwadzieścia minut później Frantz wchodzi do sypialni i patrzy na śpiącą Sophie, jest całkowicie pewny swego. Pieści ją przez

ubranie, kładzie się na jej bezwładnym ciele i ukrywa twarz w poduszce. Sophie otwiera oczy, widzi jego ramiona, czuje, jak w nią wchodzi. Mało brakowało, a uśmiechnęłaby się...

Sophie zapadła w sen, który potrwa wiele godzin, a jemu da trochę wytchnienia. Tym razem, uszczęśliwiony, że ją odzyskał, zaaplikował jej hojną dawkę środka nasennego; Sophie śpi jak kamień. Przez dłuższą chwilę przy niej czuwa, nasłuchuje jej oddechu, widzi przebiegające po jej twarzy drobne nerwowe tiki. Wreszcie wstaje, zamyka drzwi mieszkania na klucz i schodzi do piwnicy.

Podsumowuje sytuację, a ponieważ zdjęcia domu ojca Sophie nie są mu już do niczego potrzebne, postanawia je skasować. Szybko je przegląda i jedno po drugim usuwa. Dom, okna, samochód, Auverney wychodzący z domu, Auverney kładący kopertę na kosiarce, pracujący przy ogrodowym stole, przenoszący worki z ziemią, usuwający rdzę z ogrodzenia... Jest druga nad ranem. Podłącza kabel i przerzuca kilka obrazów na komputer, żeby jeszcze raz obejrzeć je na ekranie. Wybiera tylko cztery. Na pierwszej fotografii Auverney idzie przez ogród; tę zachował, bo widać na niej wyraźnie jego twarz z przodu.

Jak na mężczyznę ponadsześćdziesięcioletniego nieźle się trzyma. Kwadratowa szczęka, energiczne rysy, żywe spojrzenie. Frantz robi powiększenie o 80%. Inteligentny. O 100%. Przebiegły. O 150%. Taki człowiek potrafi być niebezpieczny. To dzięki tej właśnie, zapewne dziedzicznej, cesze charakteru Sophie jeszcze żyje. Na drugim zdjęciu Auverney pracuje przy ogrodowym stole. Ponieważ siedzi odwrócony plecami, Frantz powiększa o 100% mały fragment zdjęcia, na którym widać ekran jego komputera. Obraz jest niewyraźny. Poddaje go więc obróbce i dla uzyskania większej dokładności stosuje filtr wzmacniający. Wydaje mu się, że widzi pasek narzędzi edytora tekstu, ale całość pozostaje nadal nieczytelna. Przenosi obraz

do kosza. Trzecie zdjęcie zostało zrobione ostatniego dnia. Auverney ma na sobie garnitur. Idzie przez ogród, żeby położyć na kosiarce kopertę, pewnie dla mechanika. Napisu na kopercie nie da się odczytać, zresztą to bez znaczenia. Ostatnią fotografię Frantz zrobił pod koniec swojego czatowania. Auverney zostawił drzwi garażu szeroko otwarte i Frantz ogląda teraz z uwagą wnętrze, które już wcześniej długo obserwował przez lornetkę: duży owalny stół, nad nim dość nisko opuszczona lampa bilardowa, w głębi wieża hifi wbudowana w bibliotekę z imponującą kolekcją płyt kompaktowych. Frantz przenosi obraz do kosza. W chwili, gdy ma już zamknąć program, w ostatnim odruchu ciekawości przywraca z kosza zdjęcie przybudówki i kilkoma kliknięciami powiększa fragment, na którym widać w głębi stojące w półmroku kartony, worki z ziemią, sprzęt ogrodniczy, skrzynki z narzędziami, walizki. Na stos kartonów pada ukośny cień drzwi. Te na spodzie są częściowo oświetlone; górne toną w półmroku. 120%. 140%. Próbuje odczytać wykonane czarnym flamastrem napisy na boku jednego z kartonów. Stosuje filtry ostrości, manipuluje kontrastem, jeszcze bardziej powiększa. Udaje mu się odcyfrować kilka liter. W pierwszej linijce: A, potem V i na koniec S. W następnej jakieś słowo zaczynające się na D, potem C, potem U, a potem część następnego: „AUV...”, więc zapewne „Auverney”. W ostatniej linijce widać wyraźnie informację: „od H do L”. Ten karton znajduje się na samym spodzie. To, co napisane jest wyżej, przecina linia światła: dół jest oświetlony, góra niewidoczna. Ale kawałek tekstu, który widzi, gwałtownie go stopuje. Przez dłuższą chwilę siedzi oszołomiony tym, co zobaczył, i tym, co to dla niego oznacza. Ma przed sobą kartony z archiwami doktor Auverney. W jednym z nich znajduje się historia choroby jego matki.

Obrót klucza w zamku. Nareszcie sama. Natychmiast wstaje, podbiega do szafy, wspina się na palce, łapie swój klucz i drżąc z napięcia, otwiera drzwi.

Nasłuchuje kroków Frantza na akustycznej klatce schodowej. Podbiega do okna, ale nie widzi, żeby opuszczał budynek.

Chyba że wyszedł przez pomieszczenie z kontenerami na śmieci, ale to mało prawdopodobne, bo jest w samej koszuli.

Musi być gdzieś w budynku. Sophie błyskawicznie wkłada buty na płaskim obcasie, zamyka po cichutku drzwi i schodzi na dół. W tej części klatki schodowej nie słychać już telewizora. Sophie uspokaja oddech, zatrzymuje się na parterze, podchodzi bliżej... Znajdują się tu tylko jedne drzwi wyjściowe.

Powoli je otwiera, modląc się w duchu, żeby nie zaskrzypiały. Ciemności za nimi rozprasza dobiegające z dołu schodów dość odległe światło. Sophie nastawia ucha, ale słyszy tylko bicie własnego serca i pulsowanie krwi w skroniach. Ostrożnie rusza na dół; światło dobiega z prawej strony. To piwnice.

W głębi jedne z drzwi są uchylone. Nie musi iść dalej, byłoby to nawet niebezpieczne. Frantz w pęku kluczy do motoru ma trzy klucze, Sophie już wie, do czego służy trzeci. Na palcach wraca na górę. Poczeka na lepszą okazję.

Sądząc po smaku, wyraźnie bardziej gorzkim niż zwykle, musiała to być końska dawka. Na szczęście Sophie jest już na wszystko przygotowana. Przy łóżku trzyma garść zmiętych papierowych chusteczek, w które może wszystko wypluć, i za każdą wizytą w toalecie przynosi nowe. Nie zawsze zdaje to egzamin. Przedwczoraj Frantz siedział przy niej zbyt długo. Nie odszedł nawet na sekundę. Czują, jak płyn toruje sobie drogę w jej gardle. Zanim zaczęła kasłać, czego nigdy dotąd nie robiła i co z pewnością go zaniepokoiło, zdecydowała się przełknąć płyn, markując podryg ciała w niespokojnym śnie.

Kilka minut później poczuła, że cała drętwieje, że słabną jej mięśnie. Przypominało to ostatnie sekundy przed operacją, kiedy anestezjolog każe pacjentowi policzyć do pięciu.

Wtedy się nie udało, ale ma już dopracowaną technikę i jeśli tylko są po temu warunki, wszystko przebiega jak trzeba. Potrafi, trzymając płyn w ustach, przełykać ślinę. Jeśli w ciągu następnych kilku minut Frantz wyjdzie z sypialni, szybko przewraca się na bok, łapie garść chusteczek i wypluwa. Ale specyfik trzymany zbyt długo w ustach wnika do organizmu

przez błonę śluzową, miesza się ze śliną... A jeśli już musi go przełknąć, zostaje jeszcze ta możliwość, że włoży palec do ust i zwymiotuje, tyle że musi to zrobić w ciągu kilku pierwszych sekund.

Tym razem powiodło się; wypluła. Kilka minut później symuluje już oddech osoby głęboko uśpionej i kiedy Frantz się nad nią pochyla, zaczynają pieścić i do niej mówić, porusza głową w prawo i w lewo, jakby chciała uciec przed jego słowami. Niespokojnie kręci się, najpierw trochę, potem coraz szybciej zaczyna wymachiwać rękami, podrygiwać, czasami jak ryba w sieci miota się po posłaniu, udając paroksyzm sennego koszmaru. Frantz również ma swój rytuał. Najpierw pochyla się, spokojnie do niej przemawia, przez chwilę pieści jej włosy, usta, szyję, a potem już całkowicie koncentruje się na słowach.

Mówi i obserwuje jej twarz. Treść jego słów bywa różna, zależnie od tego, czy chce nią wstrząsnąć, czy też uspokoić. Ale stałym punktem programu są zmarli. Dzisiaj: Veronique Fabre. Sophie bardzo dobrze to pamięta. Kanapę, o którą udało jej się oprzeć łokciem, ciało dziewczyny w kałuży krwi. Kuchenny nóż, który Frantz musiał jej wetknąć w rękę.

- O co wam poszło, Sophie? - pyta Frantz. - O kłótnię? Tak, musiało chodzić o kłótnię...

Sophie próbuje przewrócić się na bok, uciec przed jego słowami.

- Wyraźnie widzisz tę dziewczynę, prawda? Przypomnij sobie. Jest ubrana w szary, smętny kostium. Pod szyją... wystaje tylko biały okrągły kołnierzyk... Teraz już ją widzisz, dobrze. Na nogach ma pantofle na płaskim obcasie...

Głos Frantza brzmi poważnie, powoli wymawia słowa.

- Niepokoiłem się, Sophie. Spędziłaś u niej prawie dwie godziny... nie widziałem, żebyś wychodziła...

Sophie cicho pojękuje, nerwowo potrząsa głową. Jej dłonie bezładnie wędrują po prześcieradle.

-...i wtedy na ulicy widzę tę dziewczynę. Biegnie do apteki. Mówi, że źle się poczuła... Wyobrażasz sobie, mój aniele, jak się przejąłem?

Sophie próbuje wyzwolić się spod władzy tego głosu,

gwałtownym ruchem przekręca się na bok. Frantz wstaje, obchodzi łóżko, przykłęka i, z twarzą tuż przy jej poduszce, ciągnie:

- Nie zdążyła się tobą zająć. Ledwie wróciła do mieszkania, zadzwoniłem do drzwi. Otworzyła mi, trzymając jeszcze w ręku torebkę z apteki. Z tyłu za nią zobaczyłem ciebie, Sophie, mój aniele, leżałaś na kanapie, spałaś tak głęboko jak teraz, maleńka... Ujrzawszy cię, od razu się uspokoilem... Byłaś taka śliczna, wiesz... Taka śliczna.

Frantz przesuwając palcem po ustach Sophie, która mimowolnie z odrazą cofa głowę. By zatrzeć wrażenie, zaciska gwałtownie powieki, wykrzywia usta w spazmatycznym grymasie...

- Zrobiłem dokładnie to, co ty byś zrobiła, moja słodka Sophie... Ale najpierw ją ogłuszyłem. Niezbyt mocno, upadła tylko na kolana, a ja w tym czasie zdążyłem porwać ze stołu kuchenny nóż. Potem zaczekałem, aż się podniesie. W jej oczach malowało się zdumienie, a także popłoch, dla niej to było za dużo wrażeń naraz, i trudno jej się dziwić. Nie rzucaj się tak, aniele.

Jestem przy tobie, wiesz, że nic złego ci się nie może stać.

Sophie znów podskakuje jak złowiona ryba, obraca się, podnosi ręce do szyi, jakby chciała zatkać sobie uszy, ale nie wiedziała, jak to zrobić; jej ruchy są nieskoordynowane i daremne.

- Zrobiłem to, co ty byś zrobiła. Podeszłabyś do niej, prawda?

Popatrzyłabyś jej prosto w oczy. Pamiętasz jej spojrzenie? Tyle wyrażające...

Nie czekając, złapałabyś ją i jednym silnym ciosem wpakowałabyś nóż w jej brzuch. Zobacz, jakie to uczucie, kiedy wbijasz nóż w brzuch dziewczyny.

Pokażę ci.

Frantz nachyla się, łagodnie ujmując jej nadgarstek. Sophie opiera się, ale on już ją mocno trzyma. Powtarzając ostatnie słowa, wykonuje zamach i uwięziona dłoń Sophie przecina powietrze, jakby napotykając jakąś miękką przeszkodę...

- Już wiesz, jakie to wrażenie, Sophie... Jednym mocnym

ciosem zatapiasz w ciele nóż, a potem nim obracasz...

Sophie zaczyna krzyczeć.

- Patrz na twarz Veronique. Patrz przede wszystkim, jak cierpi, jaki jej zadajesz ból. Ten ból pali ją w brzuchu... Spójrz na jej wytrzeszczone oczy, na jej usta rozdziawione z bólu, kiedy wciąż trzymasz nóż w jej brzuchu. Jesteś bezlitosna. Zaczyna krzyczeć. A wtedy ty, chcąc ją uciszyć, wyciągasz nóż - ociekający już krwią, widzisz, jaki jest teraz ciężki? - i znowu go wbijasz.

Trzeba cię powstrzymać, Sophie...!

Ale mówiąc to, Frantz nadal wymierza ręką Sophie ciosy w pustkę.

Sophie drugą ręką łapie się za nadgarstek, ale Frantz jest zbyt silny, Sophie zaczyna krzyczeć, szarpie się, próbuje podciągnąć kolana, ale nogi ma bezwładne, to tak, jakby dziecko walczyło z dorosłym...

- Więc nic nie może cię powstrzymać? - ciągnie Frantz. - Jeden cios, drugi i jeszcze jeden, i następny, nie przestajesz wbijać noża w jej brzuch, i jeszcze raz, i za chwilę obudzisz się z nożem w dłoni i z Veronique leżącą obok w kałuży krwi. Jak można coś takiego zrobić? Sophie! Jak może nadal żyć ktoś zdolny do takich czynów?

Jest kilka minut po drugiej. Od wielu dni dzięki wybuchowej mieszance witaminy C, kofeiny i glucuronamidu Sophie udaje się sypiać tylko po kilka godzin na dobę. O tej porze nocy Frantz zapada w najgłębszy sen. Sophie mu się przygląda. Nawet kiedy śpi, jego stanowcza twarz tchnie niezwykłą energią i siłą woli. Powolny wcześniej oddech staje się teraz bardziej nieregularny.

Chrząka przez sen, jakby miał trudności z oddychaniem. Sophie jest naga, jest jej zimno. Ze skrzyżowanymi na piersi ramionami wpatruje się w niego ze spokojną nienawiścią. Potem idzie do kuchni. Za znajdującymi się w niej drzwiami mieści się maleńkie pomieszczenie, przez administrację domu nazywane nie wiedzieć czemu „suszarnią”. Klitka wielkości

niecałych dwóch metrów kwadratowych z małym okienkiem, w której panuje przeraźliwy chłód i gdzie trzyma się różne nieprzydatne rzeczy; pośrodku króluje zsypany śmieć.

Sophie odchyła ostrożnie wieko zsypu, wsuwa rękę głęboko do szuflady.

Wydobywa małą torebkę plastikową, szybko ją otwiera, wyjmując strzykawkę i fiolkę z lekiem, które kładzie na stole. Torebkę z resztą zawartości odkłada do szuflady zsypu i na wszelki wypadek zagląda na palcach do sypialni. Frantz nadal głęboko śpi, lekko pochrapując. Sophie otwiera lodówkę, wyjmując zgrzewkę z czterema słoiczkami płynnego jogurtu, który jada tylko Frantz.

Wkłada igłę strzykawki pod miękki kapsel; zostawia ona tylko maleńki otwór, ukryty pod plastikowym wieczkiem. Wstrzykuje po dawce do każdego słoiczka, potrząsa nimi, żeby szybciej wymieszać zawartość, i odstawia je do lodówki.

Kilka minut później plastikowa torebka wraca na swoje miejsce i Sophie wślizguje się do łóżka. Każdy kontakt z ciałem Frantza budzi w niej niewysłowioną odrazę. Najchętniej zamordowałaby go we śnie. Na przykład kuchennym nożem.

Frantz ocenia, że Sophie powinna spać około dziesięciu godzin. Jak dobrze pójdzie, to mu w zupełności wystarczy. W przeciwnym razie będzie musiał ponowić próbę później, ale jest tak podekscytowany, że nie bierze tego nawet pod uwagę. W środku nocy do NeuvilleSainteMarie powinien dojechać w niecałe trzy godziny.

Noc zapowiada się na deszczową. To by go niezwykle urządziło.

Zostawia motor na skraju małego zagajnika - najbliżej, jak może podjechać.

Kilka minut później spotykają go jednocześnie dwie miłe niespodzianki: dom Auverneya tonie w ciemnościach i spadają pierwsze krople deszczu. Stawia sportową torbę na ziemi, zrzuca szybko kombinezon motocyklowy, pod którym ma na sobie lekki dres. Wkłada tenisówki, zamyka torbę i już po

chwili schodzi z niskiego pagórka oddzielającego zagajnik od ogrodu Auverney. Jednym skokiem pokonuje ogrodzenie. Wie już, że Auverney nie ma psa. W chwili, gdy dotyka drzwi przybudówki, na piętrze w oknie sypialni zapala się światło.

Frantz przywiera plecami do drzwi. Auverney nie może go dostrzec, chyba że wyszedłby do ogrodu. Frantz sprawdza godzinę. Dochodzi druga w nocy. Ma sporo czasu, ale targa nim też wielka niecierpliwość; to stan ducha sprzyjający popełnianiu błędów. Wciąga głęboko powietrze w płuca. Z okna sypialni pada prostokąt światła, który przenika przez zasłonę drobnego deszczyku i wydłuża się aż po trawnik. Przez ten prostokąt światła przesuwa się jakiś cień i znika. W czasie tych nocy, kiedy Frantz go obserwował, Auverney nie sprawiał wrażenia cierpiącego na bezsenność, ale nigdy nie wiadomo... Frantz zakłada ręce, patrzy na deszcz okratowujący noc i przygotowuje się na długie czekanie.

W dzieciństwie nocne burze, jak ta dzisiejsza, bardzo ją ekscytowały. Otwiera na oścież okna i wdycha głęboko powietrze, którego chłód przenika jej płuca. Potrzebuje tego. Nie zdołała zwymiotować całego leku Frantza i jest trochę zamroczone, lekko się zatacza. Efekt ten nie powinien potrwać długo, na razie jednak Sophie znajduje się w fazie narastającej senności, a Frantz tym razem zwiększył dawkę. Skoro się na coś takiego zdecydował, to by oznaczało, że przez dłuższy czas będzie nieobecny. Wyszedł koło dwudziestej trzeciej.

Sophie przypuszcza, że wróci nie wcześniej jak o trzeciej lub czwartej nad ranem. Nie mając jednak pewności, przyjmuje, że będzie to druga trzydzieści.

Przytrzymując się mebli, żeby nie upaść, otwiera drzwi łazienki. Zdążyła się już przyzwyczaić. Ściąga Tshirt, wchodzi do wanny, łapie głęboko powietrze i szerokim strumieniem puszcza lodowatą wodę. Po chwili jest już zgrabią z zimna. Wyciera się energicznie ręcznikiem, który następnie rozkłada na suszarce pod oknem w dachu. Robi bardzo mocną herbatę (której zapachu, odwrotnie niż kawy, nie wyczuwa się w

oddechu) i czekając, aż się zaparzy, wykonuje ćwiczenia rozciągające ramion i nóg, potem kilka pompek dla pobudzenia krążenia i powoli zaczyna czuć, że senność ustępuje i wracają jej siły. Wypija małymi łyżkami gorącą herbatę, myje i wyciera filiżankę. Potem cofa się i rozgląda po kuchni, sprawdzając, czy nic nie zdradza jej bytności.

Wreszcie wchodzi na krzesło, unosi jedną z płytek obniżonego sufitu i wyjmuje mały płaski kluczyczek. Przed zejściem do piwnicy zakłada lateksowe rękawiczki i zmienia obuwie. Zamyka powoli drzwi i schodzi na dół.

Deszcz nieprzerwanie pada. Z oddali dobiega stłumiony szum ciężarówek jadących autostradą. Drepczącemu na kilku centymetrach kwadratowych Frantzowi zaczyna się robić zimno. W momencie, gdy po raz pierwszy kicha, światło w sypialni gaśnie. Jest dokładnie pierwsza czterdzieści cztery. Frantz daje sobie jeszcze dwadzieścia minut. Czeka dalej, zastanawiając się, czy nie skończy się to wizytą u lekarza. W oddali rozbrzmiewa pierwszy grzmot, niebo przecina zygzak błyskawicy, na krótką chwilę oświetlającej całą posesję.

Dokładnie pięć po drugiej Frantz opuszcza stanowisko, obchodzi spokojnym krokiem dom i wymacuje futrynę niewielkiego okna, za którym w świetle latarki wyraźnie widać wnętrze. Futryna jest stara, wilgotne zimy wypaczyły drewno. Frantz wyjmuje torbę z narzędziami, przykładając dłoń pośrodku okna, żeby sprawdzić, jak stawia opór, ale ledwie zdążył lekko pchnąć, okno gwałtownie się otwiera, z hukiem uderzając o ścianę. Ryzyko, że pośród deszczu i burzy hałas ten usłyszy ktoś na piętrze po drugiej stronie domu, jest niewielkie. Frantz zamyka torbę z narzędziami, kładzie ją na parapecie, podciąga się na rękach, skacze i miękko ląduje po drugiej stronie. Podłoga wewnątrz jest wybetonowana. Zdejmuje buty, żeby nie zostawić śladów. Kilka sekund później z latarką w ręku jest już przy pudłach z archiwami doktor Auverney. Wyciągnięcie kartonu oznaczonego literami A - G zajmuje mu nie więcej niż pięć minut. Czuje ekscytację tak wielką, że traci zwykłą zimną

krę. Zmusza się, żeby z rękami luźno opuszczonymi wzdłuż tułowia kilkakrotnie powoli i głęboko zaczerpnąć powietrza...

Kartony, zabezpieczone jedynie grubym skoczem, są bardzo ciężkie. Frantz obraca do góry nogami ten, który go interesuje. Dno jest po prostu zaklejone. Wystarczy przesunąć ostrzem noża, żeby rozdzielić cztery tekturowe klapy, i oto ma przed sobą okazały stos papierowych teczek. Na chybił trafił sięga po jedną: na okładce niebieskim flamastrem wypisano dużymi literami nazwisko „Gravetier”. Wkładają z powrotem do kartonu. Potem wyjmuje następne, czując zbliżającą się chwilę wyzwolenia. Baland, Baruk, Benard, Belais, Berg! Pomarańczowa tezcza, duże litery wypisane tą samą ręką. Tezcza jest cienka. Frantz nerwowo ją otwiera. Wewnątrz znajdują się tylko trzy dokumenty. Pierwszy zatytułowany jest „Bilans kliniczny”; dotyczy pacjentki Sarah Berg. Drugi jest zwykłą notatką z danymi administracyjnymi i osobowymi. Ostatni to kartka z wypisanymi odręcznie, w większości nieczytelnie, zaleceniami odnośnie do leków. Frantz wyjmuje bilans kliniczny, składa go na cztery i wsuwa pod bluzę. Pozostałe odkłada na miejsce, odwraca karton, za pomocą kilku kropli ultramocnego kleju lepi dno i tak zamknięty odkłada na miejsce. Chwilę potem znów przerzuca nogę przez parapet i zeskakuje do ogrodu. Niecałe piętnaście minut później jedzie już autostradą, zmuszając się do przestrzegania ograniczeń prędkości.

Sophie weszła i momentalnie ogarnął ją strach. A przecież wie, kim jest Frantz. Jednak to, co zobaczyła w jego piwnicy, sprawiło, że poczuła się, jakby... wkroczyła w jego podświadomość. Ściany od góry do dołu pokrywają fotografie. Do oczu Sophie napływają łzy, a kiedy jej wzrok napotyka powiększone zdjęcia Vincenta, zbliżenia jego pięknej, tak okropnie smutnej twarzy, ogarnia ją bezgraniczna rozpacz. Są tu cztery lata jej życia. Sophie idzie ulicą (gdzie zostało zrobione?), wielkie kolorowe zdjęcia z Grecji, które kosztowały ją utratę posady w domu aukcyjnym Percy's w tak żenujących

okolicznościach. Znowu ona wychodząca z supermarketu, to rok 2001, ich dom w Oise... Sophie przygryza pięść. Chciałaby krzyczeć, chciałaby obrócić w perzynę tę piwnicę, ten budynek, cały świat. Czuje się po raz kolejny sprofanowana. Na tym zdjęciu trzyma ją za ramię sklepowy strażnik, tam wchodzi na komisariat. Liczne zdjęcia z czasów, kiedy była ładna. Tu z kolei, na fotografii zrobionej w Oise, jest brzydka jak noc, idą pod rękę z Valerie przez ogród... Już wtedy miała smutną minę. A tu... Tutaj Sophie trzyma za rękę małego Leo - i w tym momencie wybucha płaczem, to silniejsze od niej, nie jest już w stanie zastanawiać się, nie może już jasno myśleć, może tylko płakać.

Potrząsa głową w obliczu nieodwracalnego nieszczęścia, jakim jest jej życie, wyeksponowane na tych ścianach. Zaczyna jęczeć, dławi ją szloch, jej łzy zalewają zdjęcia, piwnicę i jej życie, pada na kolana, unosi oczy w górę, jej wzrok napotyka leżącego na niej, nagiego Vincenta - zdjęcie zrobione przez okno ich mieszkania, jak to w ogóle możliwe? - zbliżenia należących do niej rzeczy, portfela, torebki, listka pigułek, tu znów ona z Laurę Dufresne, tam z kolei... Sophie jęczy, opiera czoło o podłogę, nie przestając płakać, Frantz może teraz przyjechać, to już bez znaczenia, jest gotowa umrzeć.

Ale Sophie nie umiera. Unosi głowę. Z wolna jej rozpacz ustępuje na rzecz nieopanowanego gniewu. Wstaje, ociera policzki, wściekłość jej nie mija.

Frantz może teraz przyjechać, to już bez znaczenia, jest gotowa go zabić.

Podobizny Sophie są wszędzie oprócz ściany po prawej stronie, na której wiszą tylko trzy zdjęcia. Po dziesięć, dwadzieścia, może po trzydzieści odbitek tych samych trzech ujęć, różnie skadrowanych, jednych kolorowych, innych w sepii; trzy wizerunki tej samej kobiety. Sarah Berg. Sophie widzi ją po raz pierwszy. Podobieństwo z Frantzem jest uderzające, te same oczy, usta... Na dwóch pierwszych jest młoda, koło trzydziestki. Ładna. Nawet bardzo ładna.

Trzecie musiało zostać zrobione pod koniec. Siedzi na nim na ławce przed trawnikiem, na którym zwiesza swe gałęzie

wierzba płacząca. Z pustym wzrokiem. Z twarzą, która nic nie wyraża.

Sophie wyciera nos, siada przy stole, unosi wieko laptopa i go włącza.

Chwilę potem pojawia się okienko z hasłem. Sprawdza godzinę, daje sobie czterdzieści pięć minut na szukanie i zaczyna od haseł najbardziej oczywistych: sophie, sarah, mama, jonas, auverney, catherine...

Trzy kwadransy mijają i musi zrezygnować.

Starannie zamyka wieko i zaczyna szperać w szufladach. Znajduje w nich mnóstwo rzeczy należących do niej, nieraz tych samych, które widać na zdjęciach przypiętych pineskami do ściany. Zostaje jej już tylko kilka minut z czasu, który sobie wyznaczyła. Przed samym wyjściem otwiera jeszcze kratkowany zeszyt i czyta:

Trzeci maja 2000 roku

Przed chwilą zobaczyłem ją pierwszy raz. Ma na imię Sophie.

Wychodziła od siebie z domu. Mignęła mi tylko jej sylwetka. Widać, że to kobieta żyjąca w pośpiechu. Wsiadła do samochodu i ruszyła tak szybko, że ledwie za nią nadążyłem na motorze.

POUFNE

Dr Catherine Auverney, Klinika ArmandBrussieres

do:

*dr. Sylvaina Lesgle'a, dyrektora Kliniki ArmandBrussieres
16 listopada 1989 roku*

BILANS KLINICZNY

Pacjentka: Sarah Berg, z domu Weiss

Adres: patrz fiszka administracyjna

Rok urodzenia: 22 lipca 1944 roku, Paryż

Zawód: bez

Zmarła: 23 września 1989 roku w Meudon

Pani Sarah Berg po raz pierwszy została przyjęta do szpitala we wrześniu 1982 roku (Szpital Pasteura).

Jej karty szpitalnej nie otrzymaliśmy. Z przeprowadzonego wywiadu wiemy, że skierował ją tam jej lekarz prowadzący na usilne naleganie jej małżonka, Jonasa Berga, lecz za zgodą pacjentki. Jej pobyt w szpitalu prawdopodobnie nie potrwał dłużej, niż wymagały okoliczności. Po raz drugi pani Sarah Berg została hospitalizowana w 1985 roku. W klinice du Parc zajmował się nią dr Roudier.

Pacjentka wykazywała wówczas symptomy głębokiej depresji chronicznej, której pierwsze objawy wystąpiły już bardzo dawno temu i sięgały połowy lat sześćdziesiątych. Jej pobyt w szpitalu, spowodowany próbą samobójczą wskutek przedawkowania barbituranów, trwał od 11 marca do 26 października.

Sarah Berg trafiła pod moją opiekę podczas swojej trzeciej hospitalizacji (zakończonyj 24 lutego 1988 roku). Dopiero później dowiedziałam się, że próba samobójcza, której skutkiem trafiła do szpitala, była również powodem dwóch jej wcześniejszych hospitalizacji w latach 1985-1987. W owym czasie modus operandi tych prób samobójczych, przedawkowanie leków, można było uznać za stałe. Stan pacjentki pozwalał na zastosowanie terapii całościowej, jedynej mogącej skutecznie przeciwdziałać podej-256 mowaniu nowych prób samobójczych. Efekt owej terapii: dopiero pod koniec lipca roku 1987 możliwe było nawiązanie rzeczywistego kontaktu z pacjentką.

Kiedy udało nam się to osiągnąć, Sarah Berg, w owym czasie czterdziestotrzyletnia, okazała się kobietą o żywej i otwartej inteligencji, dysponującą bogatym, a nawet skomplikowanym słownictwem. Jej życie naznaczyła oczywiście deportacja rodziców oraz ich śmierć w Dachau niedługo po jej urodzeniu. Pierwsze objawy depresji o charakterze delirycznym, zapewne bardzo wczesne, zdają się

wyrażać silne poczucie winy - częste w takiej konfiguracji - o wyraźnym zabarwieniu narcystycznym. W czasie naszych rozmów Sarah nieustannie wspominała rodziców, stawiając często pytanie o usprawiedliwienie historyczne (dlaczego właśnie oni?). Pytanie to ukrywa oczywiście wymiar psychicznie bardziej archaiczny, związany z utratą miłości bliskich i utratą szacunku dla siebie. Sarah, co muszą podkreślić, jest osobą niezwykle wzruszającą, czasem wręcz rozbrajającą w tej wylewnej szczerości, z jaką gotowa jest się obwiniać. Często szokuje, kiedy wspomina aresztowanie rodziców, odrzucenie żałoby - ledwie odsuniętej w czasie na skutek równie absorbujących, co ukradkowych poszukiwań tych, którzy przeżyli... Jest jednostką niebywale wrażliwą, naiwną, a zarazem przenikliwą. Pierwiastek neurotyczny wpisany w jej dzieciństwo wyraża poczucie winy i własnej marności, spotykane u wielu sierot, które podświadomie interpretują „odejście” rodziców jak dowód, że były nie dość interesującymi dziećmi.

W tej analizie uważamy, że do choroby Sarah Berg mogły się przyczynić czynniki genetyczne, siłą rzeczy nam nieznane. Nasze zalecenia poszłyby z pewnością w kierunku objęcia ścisłą obserwacją bezpośredniego potomstwa pacjentki, u którego można obawiać się wystąpienia symptomów depresji przyjmującej postać chorobliwych fiksacji oraz zachowań obsesyjnych...

Frantz wrócił w środku nocy. Otwieranie drzwi obudziło Sophie, ale natychmiast zapadła z powrotem w udawany sen, który teraz tak dobrze potrafi symulować. Z odgłosu jego kroków po mieszkaniu, ze sposobu, w jaki zamknął

drzwi lodówki, domyśliła się, że jest bardzo rozemocjonowany. On, zwykle tak opanowany... Wyczuła, że stanął w drzwiach sypialni. Potem zbliżył się i uklęknął przy łóżku. Poglaskał ją po głowie. Sprawiał wrażenie zamyślonego.

Mimo późnej nocy nie położył się, tylko wrócił do salonu, a potem poszedł do kuchni. Wydawało jej się, że słyszy szelest

papieru, jakby otwierał kopertę.

Rano zastała go w kuchni, siedzącego na krześle z zagubionym spojrzeniem. I znów uderzyło ją jego niesamowite podobieństwo do Sarah, tyle że sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zrozpaczonego. Jakby nagle postarzał się o dziesięć lat. Popatrzył na nią niewidzącym wzrokiem.

- Źle się czujesz? - zapytała Sophie, otulając się szlafrokiem. Frantz nie odpowiedział. Przez dłuższą chwilę trwali tak, nic nie mówiąc. To dziwne, ale Sophie odniosła wrażenie, że to całkiem nowe i nieoczekiwane milczenie umożliwiło im nawiązanie pierwszego odkąd się poznali prawdziwego kontaktu.

Nie bardzo rozumiała, na czym to polega. Wpadające przez kuchenne okno światło dnia oświetlało stopy Frantza.

- Wychodziłeś? - zapytała Sophie.

Popatrzył na swoje zabłocone nogi takim wzrokiem, jakby należały do kogo innego.

- Tak... To znaczy nie...

Zdecydowanie coś było nie tak. Sophie podeszła i zmusiła się, żeby położyć mu rękę na karku. Frantz skrzywił się na jej dotyk, ale udała, że tego nie widzi. Nastawiła wodę.

- Napijesz się herbaty?

- Nie... To znaczy tak...

Dziwna sytuacja. Tak jakby ona wychodziła z mroku, a on w niego wkraczał.

Jest bardzo blady. Mówi tylko: „Kiepsko się czuję”. Od dwóch dni prawie nic nie je. Sophie doradza mu coś z nabiału; zjada trzy starannie przez nią przygotowane jogurty, wypija herbatę. A potem dalej tkwi przy kuchennym stole zapatrzony w ceratowy obrus. Coś rozpamiętuje. Jego ponura mina budzi w niej strach. Przez dłuższą chwilę siedzi zatopiony w myślach. A potem nagle ni stąd, ni zowąd zaczyna płakać. Jego twarz nie wyraża smutku, po prostu spływają po niej łzy i skapują na ceratę. I tak od dwóch dni.

Nieporadnym gestem ociera oczy i mówi: „Jestem chory”. Głos ma słaby, drżący.

- Może to grypa... - podpowiada Sophie.

Niemądra odzywka, tak jakby lzy były objawem grypy. Ale Frantz i płacz... To takie nieoczekiwane.

- Połóż się - radzi. - Zrobię ci coś ciepłego do picia.

Frantz mamrocze coś jakby: „Tak, dobrze...”, ale nie jest pewna.

Naprawdę dziwna atmosfera. Wstaje, idzie do sypialni i kładzie się w ubraniu na łóżku. Sophie robi mu herbatę. Wymarzona okazja. Sprawdza, czy Frantz wciąż leży, a potem otwiera zsymp...

Nie uśmiecha się, ale czuje głęboką ulgę. Przed chwilą dynamika wydarzeń uległa odwróceniu. Dopomógł jej los; przynajmniej tyle mogła od niego oczekiwać. Przy pierwszej jego słabości była zdecydowana przejść do działania. Od tej chwili, obiecuje sobie, już go nie wypuści z uścisku.

Dopiero martwego.

Kiedy wchodzi do sypialni, Frantz patrzy na nią dziwnym wzrokiem, jakby ujrzał osobę, której się tu nie spodziewał, i chciał jej powiedzieć coś ważnego. Lecz milczy. Opiera się na ramieniu.

- Powinieneś się rozebrać... - mówi Sophie, udając wielkie przejęcie.

Poklepuje poduszki, wygładza prześcieradło. Frantz wstaje, powoli się rozbiera. Sprawia wrażenie całkowicie przybitego. „Wyglądasz, jakbyś już spał...”, mówi z uśmiechem Sophie. Frantz sięga po kubek, który mu przyniosła.

„To ci pomoże zasnąć...” Frantz mówi: „Wiem...” i zaczyna pić.

...W 1964 roku Sarah Weiss wychodzi za mąż za Jonasa Berga urodzonego w 1933 roku, starszego więc od niej o jedenaście lat. Wybór ten potwierdza poszukiwanie symbolicznej rodziny, mającej, na tyle, na ile to możliwe, zrekompensować jej brak rodziny naturalnej. Jonas Berg jest człowiekiem bardzo czynnym, obdarzonym wyobraźnią, ogromnie pracowitym, biznesmenem z wielką intuicją. Wykorzystując

okres ekonomicznej prosperity lat powojennych, w 1959 roku tworzy pierwszą sieć minimarketów we Francji.

Piętnaście lat później jego firma, wtedy już udzielająca franczyzy, liczy nie mniej jak czterysta trzydzieści sklepów, zapewniając rodzinie Bergów fortunę, którą przezorność założyciela pozwoliła w okresie kryzysu ekonomicznego lat siedemdziesiątych zachować, a nawet pomnożyć, głównie drogą nabywania domów czynszowych. Jonas Berg zmarł w 1999 roku. Dzięki swojej solidności oraz szczeremu uczuciu, jakim darzył żonę, Jonas Berg stanowił dla niej niezawodną podporę. Pierwsze lata małżeństwa upłynęły pod znakiem początkowo niezbyt wyraźnych, z czasem jednak coraz bardziej odczuwalnych symptomów depresji u Sarah, wykazującej stopniowo objawy pogłębiającej się prawdziwej melancholii.

W 1973 roku Sarah po raz pierwszy zachodzi w ciążę. Młodzi małżonkowie przyjmują nowinę z ogromną radością. Jonas Berg zapewne w cichości ducha marzy o synu, ale Sarah ma nadzieję na urodzenie dziewczynki (bez wątplenia mającej stać się „idealnym obiektem zadośćuczynienia” orazpaliatywem, umożliwiającym wypełnienie pierwotnej narcystycznej luki).

Hipotezę tę potwierdza niezwykle szczęście małżonków w czasie pierwszych miesięcy ciąży oraz niemal całkowite ustąpienie symptomów depresyjnych u Sarah. Drugie przełomowe wydarzenie w życiu Sarah (po utracie rodziców) ma miejsce w czerwcu 1973 roku, kiedy przedwcześnie wydaje na świat martwą dziewczynkę. Z powrotem otwarta otchłań spowoduje w jej psychice spustoszenia, które za sprawą drugiej ciąży staną się nieodwracalne...

Upewniwszy się, że Frantz śpi, Sophie zeszła do piwnicy i przyniosła na górę zeszyt z jego dziennikiem. Zapala papierosa, kładzie zeszyt na kuchennym stole i zaczyna czytać. Od

pierwszych słów jest w nim wszystko, wszystko pasuje, mniej więcej tak, jak sobie to wyobrażała. Z każdą kolejną stroną narasta w niej nienawiść, zaczyna ją dławić. Słowa w zeszycie Frantza są odbiciem fotografii, którymi wytapetował ściany swojej piwnicy. Tam parada portretów, tutaj - nazwisk. Jako pierwsi Vincent i Valerie... Od czasu do czasu Sophie unosi wzrok znad zeszytu, gasi papierosa, zapala następnego. Gdyby w tym momencie pojawił się Frantz, bez zmruczenia oka zadłgałaby go nożem, tak go nienawidzi. Z łatwością mogłaby go zamordować w czasie snu. Ale ponieważ aż tak go nienawidzi, nie robi nic. Ma do wyboru kilka rozwiązań. Jeszcze nie zdecydowała, które wybierze.

Wyjęła z szafy koc i położyła się na kanapie w salonie.

Po dziesięciu godzinach snu obudził się Frantz, który czuje się tak, jakby nadal spał. Porusza się powoli, chwiejnym krokiem, jest przeraźliwie blady.

Spogląda na kanapę, na której leży koc zostawiony przez Sophie. Nie komentuje tego. Patrzy na nią.

- Jesteś głodny? - pyta Sophie. - Mam wezwać lekarza? Potrząsa głową, że nie, ale Sophie nie wie, czy nie jest głodny, czy nie chce lekarza. Może jedno i drugie.

- Jeśli to grypa, to minie - mówi Frantz bezdźwięcznym głosem. Nie tyle siada, ile opada na krzesło naprzeciwko niej. Kładzie dłonie na kolanach bezwładnie jak przedmioty.

- Powinieneś coś zjeść - stwierdza Sophie. Frantz kiwa głową. Mówi: „Jak uważasz...”.

Sophie wstaje, idzie do kuchni, wkłada mrożone danie do mikrofalówki i czekając na dzwonek, zapala następnego papierosa. Frantz nie pali i dym mu generalnie przeszkadza, lecz teraz jest tak słaby, że chyba nawet nie zauważa, że Sophie pali, że gasi niedopałki w filiżankach po śniadaniu. On, zwykle taki pedant.

Frantz siedzi plecami do kuchni. Kiedy danie jest gotowe, Sophie nakłada je na talerz. Szybko sprawdza, czy Frantz nie zmienił pozycji, i dodaje do sosu pomidorowego środek

nasenny.

Frantz kosztuje, podnosi na nią wzrok. Nic nie mówi. Jego milczenie sprawia, że Sophie czuje się nieswojo.

- Dobrze - stwierdza w końcu.

Próbuje lasagne, robi przerwę, próbuje sosu.

- Jest chleb? - pyta.

Sophie znów wstaje i przynosi z kuchni plastikową torebkę z krojonym, produkowanym przemysłowo chlebem. Frantz macza kromkę w sosie. Je chleb mechanicznie, bez apetytu, sumiennie, do końca.

- Co ci właściwie jest? - pyta Sophie. - Czy coś cię boli? Frantz niewyraźnym gestem wskazuje na swoją klatkę piersiową. Ma opuchnięte oczy.

- Coś ciepłego dobrze ci zrobi...

Wstaje, idzie do kuchni. Kiedy wraca z herbatą, widzi, że Frantz znowu ma wilgotne oczy. Pije herbatę powoli, ale wkrótce odstawia filiżankę, z trudem się podnosi. Idzie do toalety, a potem znów wraca do sypialni. Oparta o futrynę drzwi Sophie patrzy, jak kładzie się do łóżka. Jest koło trzeciej po południu.

- Pójdę zrobić zakupy... - rzuca na próbę.

Frantz nigdy nie pozwala jej wychodzić. Tym razem otwiera tylko oczy, wlepia w nią spojrzenie, a potem jego ciało zdaje się ogarniać odrętwienie. Nim Sophie zdążyła się ubrać, zapadł w głęboki sen.

... W lutym 1974 roku Sarah Berg po raz drugi zachodzi w ciążę. W głęboko depresyjnym stanie, w jakim jest w owym czasie, ciąża ta znajduje oczywiście silny oddźwięk w sferze symbolicznej; jako że do nowego poczęcia doszło niemal równo rok po poprzednim, Sarah dręczą lęki o charakterze magicznym (dziecko, które ma się urodzić, „zabiło” poprzednie, żeby móc samemu zaistnieć) oraz samooskarżycielskim (zabiła własną córkę, tak jak wcześniej zabiła własną matkę) i wreszcie poczucie własnej marności (uważa się za niegodną

macierzyństwa, z całą pewnością niezdolną do wydania dziecka na świat). Cięży tej, która będzie cierniową drogą dla małżonków oraz torturą dla Sarah, towarzyszą niezliczone incydenty; terapia zdoła ujawnić tylko niektóre ich aspekty. Sarah wielokrotnie i w tajemnicy przed mężem próbuje doprowadzić do poronienia. O potężnej psychicznej potrzebie aborcji dają wyobrażenie bezwzględne metody, do jakich się w tym celu ucieka... W owym okresie podejmuje również dwie próby samobójcze, będące przejawem niezgody na ciążę u tej młodej kobiety, która mające narodzić się dziecko - nie wątpi, że będzie to chłopiec - odbiera w coraz większym stopniu jako intruza, „istotę jej obcą”, w której dopatruje się cech otwarcie destrukcyjnych, okrutnych, wręcz diabolicznych. Cudem donoszona ciąża kończy się urodzeniem w terminie - 14 listopada 1974 roku - chłopca, któremu nadano imię Frantz.

Dziecko, będące symbolicznym obiektem zastępczym, szybko odsunie żalobę rodziców na drugi plan, samo zaś stanie się przedmiotem agresji ze strony Sarah, agresji przyjmującej liczne, wyraźnie nienawistne formy.

Pierwszym jej przejawem będzie mauzoleum, które w pierwszych miesiącach życia syna stworzy Sarah na pamiątkę swojej martwo urodzonej córki.

Magiczny i sekretny charakter owych „czarnych mszy”, które - jak sama się przyznała - w tym okresie potajemnie odprawiała, dowodzi metaforycznego aspektu jej podświadomego pragnienia: wzywa swoją „zmarłą córkę, która przebywa w niebie”, by jej żyjącego syna strąciła „w ogień piekielny”...

Po raz pierwszy od długich tygodni Sophie wychodzi na zakupy. Przedtem przegląda się w lustrze i stwierdza, że wygląda okropnie, za to z przyjemnością maszeruje ulicą. Czuje się wolna. Mogłaby wyjechać. I zrobi to, kiedy wszystko załatwi. Przynosi do domu torbę pełną jedzenia. Wystarczyłoby

go na wiele dni. Ale instynktownie czuje, że nie będzie to konieczne.

Frantz śpi. Sophie usiadła na krześle obok łóżka. Przygląda mu się. Nie czyta, nie odzywa się, siedzi nieruchomo. Sytuacja się odwróciła. Aż trudno jej w to uwierzyć. Więc byłoby to aż tak proste? I dlaczego teraz? Dlaczego Frantz tak zniemacka stracił grunt pod nogami? Sprawia wrażenie człowieka zdruzgotanego. Kręci się, coś mu się śni. Płacze przez sen. Sophie obserwuje go jak insekta. Nienawidzi go do tego stopnia, że czasami przestaje już cokolwiek czuć, i wtedy Frantz staje się dla niej tylko ideą. Konceptem. Wkrótce go zabije.

Już go zabija.

Dokładnie w chwili, kiedy myśli: „Już go zabijam”, Frantz niespodziewanie otwiera oczy. Jak za naciśnięciem wyłącznika. Wlepia wzrok w Sophie. Jak to możliwe, żeby się obudził po tym, co mu podała? Musiała się pomylić... Wyciąga rękę i chwytają za nadgarstek. Mocno. Sophie instynktownie się cofa. Frantz wpatruje się w nią, trzymając za rękę i nadal nic nie mówi. W końcu pyta: „Jesteś tu?”. Sophie przełyka ślinę. „Tak”, odpowiada szeptem. I jakby to był zwykły przerywnik we śnie, Frantz z powrotem zamyka oczy. Nie śpi. Płacze. Spod zamkniętych powiek łzy powoli spływają mu po policzkach, na szyję, na poduszkę. Sophie siedzi przy nim jeszcze przez chwilę.

Frantz gwałtownym ruchem odwraca się twarzą do ściany. Jego ramionami wstrząsa szloch. Kilka minut później jego oddech staje się powolniejszy, zaczyna cicho pochrapywać.

Sophie wstaje, siada przy stole w salonie i znowu otwiera zeszyt.

Przerażający klucz do wszystkich zagadek. Frantz szczegółowo opisuje swój pokój naprzeciwko ich mieszkania, mieszkania jej i Vincenta. Każda strona jest gwałtem, każde zdanie upokorzeniem, każde słowo okrucieństwem.

Wszystko, co utraciła, ma teraz tu, przed sobą, wszystko, co

jej skradziono, całe swoje życie, swoją miłość, swoją młodość... Idzie do sypialni, żeby znów spojrzeć na śpiącego Frantza. Staje nad nim, zapala papierosa. Zabiła tylko raz w życiu, kierownika fastfoodu, wspomina to bez strachu i bez wyrzutów sumienia. A to jeszcze nic. Mężczyzna śpiący w tym łóżku - kiedy jego zabije...

W dzienniku Frantza pojawia się korpulentna postać Andree. Kilka stron dalej, w czasie, kiedy Sophie jest pogrążona w narkotycznym śnie, matka Vincenta spada u siebie w domu ze schodów. Śmierć na miejscu... Andree wypada przez okno... Dotąd Sophie bała się jego egzystencji. Ale nie miała bladego pojęcia, ile horroru mogą ukrywać mroczne kulisy jego życia. Jest oniemiała i wstrząśnięta. Zamyka zeszyt.

Zapewne tylko dzięki zimnej krwi Jonasa Berga, jego odporności psychicznej i fizycznej oraz bezsprzecznie pozytywnym miejscu, jakie zachował w życiu swojej żony, nienawiść Sarah względem syna nigdy nie doprowadziła do dramatu sądowomedycznego. Niemniej należy zaznaczyć, że dziecko jest w owym czasie ofiarą maltretowania przez matkę - wspominającej zwłaszcza o szczypaniu, biciu po głowie, wykręcaniu rąk, przypalaniu itp. - która wszakże bardzo dba, by to znęcanie się nad synem nie wyszło na jaw. Sarah mówi, że musi toczyć z sobą heroiczną walkę, by nie uśmiercić tego dziecka, na którym skupia się teraz cały jej żal i uraza wobec życia.

Jak już mówiliśmy, ojciec stanowi dla dziecka jedyną ochronę pozwalającą mu uniknąć śmierci z rąk matki, potencjalnej dzieciobójczyni.

Obecność i czujność ojca doprowadzą Sarah do wykształcenia w sobie postawy schizofrenicznej; za cenę ogromnego wysiłku woli udaje jej się prowadzić podwójną grę: odgrywać kochającą i troskliwą matkę wobec dziecka, któremu po cichu życzy śmierci. To ukryte pragnienie przejawia się w licznych snach, w których dziecko na przykład ma przykazane, by odnaleźć

dziadków w Dachau i zostać w obozie zamiast nich. W innych znów jej onirycznych wizjach chłopczyk zostaje wykastrowany, wypatroszony, ukrzyżowany bądź też ginie utopiony, w pożarze lub wypadku, najczęściej w okrutnych mękach, które działają na matkę pokrzepiająco i ogólnie wyzwalająco. Wprowadzanie w błąd otoczenia oraz samego dziecka wymaga od Sarah Berg utrzymania niesłabnącej uwagi. Wydaje się, że ta właśnie koncentracja, niezbędna w udawaniu, ukrywaniu, hamowaniu nienawiści do syna, powoduje wyczerpanie się jej energii psychicznej, włącznie z wpuśdzeniem jej w latach osiemdziesiątych w fazy zdecydowanie depresyjne.

Za sprawą paradoksu to właśnie jej rodzony syn, przechodząc od stadium ofiary (nieświadomej) do pozycji kata (mimowolnego), poprzez samo swe istnienie oraz niezależnie od swojego zachowania, stanie się prawdziwym czynnikiem sprawczym śmierci matki...

Dwadzieścia godzin później Frantz wstał. Oczy ma zapuchnięte od snu i od płaczu. Kiedy pojawia się w drzwiach sypialni, Sophie stoi w oknie, pałac papierosa, i patrzy w niebo. Przy śródkach, które mu aplikuje, zrobienie tych kilku kroków wymaga od niego heroicznego wysiłku woli. Sophie definitywnie jest górą. W ciągu tych dwudziestu czterech godzin wygrała molekularny wyścig, do którego oboje stanęli. „Istny z ciebie bohater”, stwierdza zimno, kiedy Frantz na chwiejnych nogach człapie do toalety. Szczęka zębami, całym jego ciałem wstrząsają gwałtowne dreszcze. Zabicie go teraz, od razu, byłoby zwykłą formalnością... Sophie staje w drzwiach toalety i patrzy na siedzącego na sedesie Frantza. Jest tak słaby, że bez trudu mogłaby mu bile czym rozwalić czaszkę... Pali papierosa i z powagą mu się przygląda. Frantz unosi wzrok.

- Płaczesz - stwierdza Sophie, zaciągając się papierosem.

Frantz posyła jej bezradny uśmiejch i opierając się o ściany,

wstaje z sedesu. Potem, zataczając się, wraca do sypialni. W drzwiach sypialni znowu się spotykają. Przytrzymując się futryny, pochyla głowę, jakby się nad czymś zastanawiał. Wpatruje się w tę kobietę o lodowatym spojrzeniu i się waha.

Potem spuszcza głowę i bez słowa wyciąga się na łóżku z rozrzuconymi ramionami. Zamyka oczy.

Sophie wraca do kuchni i wyjmuje dziennik Frantza, który schowała do górnej szuflady. Znowu zaczyna czytać. Wypadek Vincenta, jego śmierć... Teraz już wie, w jaki sposób Frantz dostał się do kliniki, w jaki sposób po porze posiłku poszedł po Vincenta, jak pchając fotel, minął pokój pielęgniarek, jak otworzył drzwi wychodzące na monumentalne schody. W ułamku sekundy Sophie wyobraża sobie przerażoną twarz Vincenta, całą sobą odczuwa jego bezsilność. I wtedy nagle stwierdza, że reszta dziennika już jej nie interesuje.

Zamyka zeszyt, wstaje, otwiera szeroko okno: jest żywa.

I gotowa.

Frantz znowu śpi przez następne sześć godzin. To daje łącznie ponad trzydzieści godzin bez jedzenia i picia w stanie bliskim śpiączki. Sophie myśli nawet, że po prostu tak umrze. Z przedawkowania. Ilość leku, jaką pochłonił, kogoś słabszego już by z pewnością uśmierciła. Dręczyły go koszmary, często słyhać było jego płacz. Ona sama spała na kanapie. Otworzyła również butelkę wina. Potem zeszła na dół kupić papierosy oraz kilka innych rzeczy.

Po powrocie zastaje Frantza siedzącego na łóżku; jego głowa, jakby zbyt ciężka, chwieje się na obie strony. Sophie spogląda na niego z uśmiechem.

- Nareszcie jesteś gotowy... - mówi.

Frantz odpowiada bezradnym uśmiechem, lecz nie ma siły otworzyć oczu. Sophie podchodzi, popycha go otwartą dłonią. Frantz przytrzymuje się łóżka, udaje mu się zachować pozycję siedzącą, ale jego ciało nadal balansuje, jakby próbując utrzymać chwiejną równowagę.

- Całkowicie gotowy... - stwierdza Sophie.

Pchnięciem ręki w klatkę piersiową bez trudu przewraca go na łóżko i tak zostawia. Potem opuszcza mieszkanie z wielką plastikową torbą na śmieci.

To już koniec. Jej ruchy są teraz spokojne, proste, zdecydowane. Pewna część jej życia dobiega końca. Obrzuca ostatnim spojrzeniem fotografie, a potem po kolei zaczyna zrywać je ze ścian i wrzucać do torby. Zajmuje jej to prawie godzinę. Czasami zatrzymuje się na chwilę przy tym czy innym zdjęciu, lecz nie sprawia jej już to takiego bólu jak za pierwszym razem. Tak jakby oglądała zwykły album ze zdjęciami, napotykać przy okazji niektóre zapomniane sceny z własnego życia. Na tym zdjęciu Laurę Dufresne się śmieje.

Pamięta jej twardą i zaciętą twarz, kiedy położyła przed Sophie anonimowe listy autorstwa Frantza. Trzeba będzie zrekonstruować prawdę, trzeba będzie naprawić krzywdy, oczyścić się z zarzutów, lecz to życie jest już daleko za nią.

Jest znużona. Czuje ulgę i dystans. Tu znów Valerie, która wsunąwszy rękę pod ramię Sophie, z podekscytowanym uśmiechem szepcze jej coś do ucha. Twarzy Andree Sophie nie pamięta. Nie odegrała większej roli w jej życiu - do dzisiaj.

Na zdjęciu wygląda na dziewczynę szczerą i nieskomplikowaną. Jakże inny to obraz od obrazu jej ciała wypadającego przez okno. Potem Sophie już się nie zatrzymuje. Do drugiej torby pakuje wszystkie przedmioty: zegarek, torebkę, klucze, notes, zeszyt... ich odnalezienie było dla niej jeszcze większym wstrząsem niż widok zdjęć... Kiedy wszystko jest już w torbach, zabiera laptop.

Wrzuca do wielkiego zielonego kontenera najpierw komputer, a potem torbę z rzeczami. Idzie jeszcze raz do piwnicy, zamyka drzwi na klucz i z torbą ze zdjęciami wraca do mieszkania.

Frantz nadal śpi, lecz wydaje się zawieszony między snem a jawą. Sophie stawia na balkonie wielki żeliwny rondel i

najpierw pali dziennik, garściami wyrywając jego strony. Po nim przychodzi czas na zdjęcia. Czasem ogień strzela tak wysoko, że musi cofnąć się i poczekać, zanim będzie mogła znów podjąć dzieło. Zapala wtedy w zamyśleniu papierosa i obserwuje, jak kolejne obrazy nikną w płomieniach.

Skończywszy, starannie czyści rondel i odstawia na miejsce. Potem bierze prysznic i przystępuje do pakowania torby podróżnej. Nie weźmie wiele. Tylko to, co konieczne. Wszystko musi zostawić za sobą.

Skrajne wyczerpanie, nieruchomość spojrzenia, wyraz smutku, strachu, niekiedy przerażenia na twarzy, fatalizm w obliczu śmierci, poczucie winy, magiczne myśli, pragnienie kary - to niektóre aspekty obrazu klinicznego Sarah, kiedy w 1989 roku znowu trafia do szpitala.

Na szczęście zaufanie, które zrodziło się między Sarah i mną podczas jej poprzedniego pobytu, umożliwia odtworzenie pozytywnego klimatu, który wykorzystuję, by wyciszyć - co jest celem nadrzędnym - objawy awersji, wstrętu i odrazy, jakie potajemnie żywi wobec syna; objawy o tyle bardziej wyczerpujące, że dotąd zawsze udawało jej się ukrywać je przed otoczeniem, w każdym razie do kolejnej próby samobójczej, w której wyniku na nowo znalazła się pod opieką lekarzy. Mijało wówczas ponad piętnaście lat, od kiedy, udając kochającą matkę, tłumila zwierzęcą nienawiść i mordercze pragnienia wobec własnego syna...

Stawia torbę podróżną w korytarzu pod drzwiami. Niczym gość opuszczający pokój hotelowy obchodzi po raz ostatni mieszkanie; to poprawi, tamto przełoży, klepie poduszki na kanapie, przeciera gąbką koszmarną ceratę na kuchennym stole, odkłada na miejsce ostatnie zmyte naczynia. Potem otwiera szafę, wyjmuje karton, zanosz go do salonu i stawia na

stole. Sięga do swojej torby podróżnej po flakon z błękitnymi kapsułkami. Z kartonu wyjmując ślubną suknię Sarah, idzie do sypialni i zaczyna śpiącego nadal głęboko Frantza rozbierać. Zadanie jest trudne, jego bezwładne ciało jest ciężkie jak ciało nieboszczyka. Wiele razy musi go przetaczać z boku na bok. Kiedy jest wreszcie zupełnie goły, unosi najpierw jedną jego nogę, potem drugą, wsuwając przez nie suknię, potem znów przewraca go na bok i wciąga suknię do wysokości bioder.

Od tego punktu operacja staje się trudniejsza, tors Frantza jest zbyt potężny, nie mieści się w sukni.

- To nie problem - mówi z uśmiechem Sophie. - Nie masz się co bać.

Dopiero po prawie dwudziestu minutach udaje jej się uzyskać zadowalający rezultat. Musiała rozpruć szwy po bokach.

- No widzisz - mruczy Sophie - nie było powodu do strachu. Cofa się, by ocenić ostateczny efekt. Bardziej okryty spłowiła suknią ślubną niż w nią ubrany Frantz siedzi na łóżku z przechyloną głową, nieprzytomny. Znad owalnego dekoltu wystają włosy na jego piersi. Widok jest przejmujący i głęboko patetyczny. Sophie zapala ostatniego papierosa i opiera się o futrynę drzwi.

- Wyglądasz pięknie - stwierdza z uśmiechem. - Jeszcze trochę, a pstryknęłabym ci kilka zdjęć...

Ale czas już kończyć. Idzie po butelkę wody mineralnej i szklanekę, wyjmując z fiołki barbiturany i po dwie, po trzy tabletki wkłada Frantzowi do ust, zmuszając go do popicia...

- Tak lepiej się wchłona...

Frantz krztusi się, czasami je wypluwa, ale w końcu zawsze i tak przełyka. Sophie podaje mu dwunastokrotność śmiertelnej dawki.

- Trochę to trwa, ale naprawdę warto...

Na koniec łóżko jest mokre, ale Frantz połknął wszystkie pigułki. Sophie robi krok do tyłu. Patrzy na ów obraz i stwierdza, że to cały Fellini.

- Czegoś mi tu jeszcze brakuje...

Wyjmując ze swojej torby podróżnej czerwoną szminek i

podchodzi do Frantza.

- Odcień może nie jest idealnie dobrany, ale cóż... Starannie obmalowuje usta Frantza grubą kreską wychodzącą daleko poza kontur warg. Jeszcze raz się cofa, by ocenić efekt: twarz śpiącego klauna w ślubnej sukni.

- Znakomicie.

Frantz mamrocze, stara się otworzyć oczy, z trudem rozchyła powieki.

Próbuje coś powiedzieć, lecz szybko rezygnuje. Zaczyna nerwowo gestykulować, a potem się przewraca.

Nie spojrzawszy za siebie, Sophie bierze torbę i wychodzi z mieszkania.

W trakcie terapii większość wypowiedzi Sarah obraca się właśnie wokół osoby syna: wyglądu chłopca, jego umysłu, jego manier, jego słownictwa, jego upodobań... wszystko w nim uzasadnia odrazę, jaką w niej wzbudza. Stąd konieczność długiego przygotowywania wizyt syna w szpitalu, w czym bardzo pomaga jego ojciec, bardzo już naznaczony udreką ostatnich lat. Skądinąd to właśnie odwiedziny syna staną się czynnikiem sprawczym samobójstwa, które pacjentka popełniła 23 września 1989 roku. Na długo przed jego wizytą wielokrotnie wyraża pragnienie, „by nie musieć już nigdy znosić jego (syna) widoku...”. Stwierdza, że fizycznie niezdolna jest już dłużej ciągnąć tego upiornego oszustwa. Tylko ostateczne rozstanie z nim - jak tłumaczy - pozwoli jej dalej żyć. Mimowolny nacisk ze strony lekarzy, poczucie winy, naleganie Jonasa Berga sprawiają, że Sarah godzi się w końcu na tę wizytę. Jednak w odruchu gwałtownego zwrócenia agresji przeciwko sobie, w chwilę po wyjściu syna z jej pokoju, Sarah wkłada swoją suknię ślubną (symboliczny hold pod adresem męża, zawsze będącego dla niej niezawodnym oparciem) i rzuca się z okna piątego piętra.

Raport policyjny sporządzony 23 września 1989 roku o

godzinie 14.53 przez brygadiera J. Bellerive'a z posterunku żandarmerii w Meudon został włączony do akt szpitalnych Sarah Berg pod numerem JBGM 1807.

Doktor Catherine Auverney

Sophie stwierdza, że już od dawna nie zwracała uwagi na pogodę na dworze. A ta jest piękna. Wychodzi przez oszklone drzwi z budynku i na moment zatrzymuje się na podeście zewnętrznych schodów. Jeszcze tylko pięć stopni w dół i wkroczy w nowe życie. Nowe i ostatnie. Stawia torbę przy nogach, zapala papierosa, ale zaraz rozmyśla się i go gasi. Przed nią trzydzieści metrów asfaltu i zaraz potem parking. Spogląda w niebo, chwyta torbę, schodzi po schodach i rusza przed siebie. Mocno bije jej serce, oddycha z trudem jak ktoś, kto cudem uniknął wypadku.

Nie zdążyła daleko odejść, kiedy nagle, w górze, słyszy swoje imię.

- Sophie!

Odwraca się, unosi wzrok.

Nad nią, na balkonie piątego piętra, ubrany w ślubną suknię, stoi Frantz.

Przekłada nogę przez balustradę i lewą ręką trzymając się poręczy, zawisa nad próżnią.

Chwieje się, niezdecydowany. Patrzy na nią. Powtarza ciszej:
- Sophie...

A potem z gwałtowną determinacją, jak nurek, skacze. Jego ciało z rozpostartymi ramionami, w całkowitej ciszy, rozbija się na asfalcie u stóp Sophie z przerażającym posępnym łoskotem.

KRONIKA WYDARZEŃ

Trzydziestoletni mężczyzna, Frantz Berg, wyskoczył przedwczoraj z okna piątego piętra rezydencji PetitsChamps, gdzie mieszkał. Zginął na miejscu.

W momencie samobójstwa ubrany był w ślubną suknię należącą do jego matki, która, co ciekawe, w 1989 roku poniosła śmierć w identycznych okolicznościach.

Cierpiący na przewlekłą depresję mężczyzna rzucił się z okna na oczach swojej młodej żony, w chwili gdy ta opuściła mieszkanie, udając się na weekend do swojego ojca.

Autopsja wykazała, że przed śmiercią mężczyzna połknął wielką dawkę środków nasennych oraz barbituranów. Jego małżonka, Marianne Berg z domu Leblanc, stała się spadkobierczynią rodzinnej fortuny Bergów. Mąż jej był

bowiem nikim innym jak synem Jonasa Berga, założyciela sieci minimarketów PointFixe. Kilka lat temu Frantz Berg sprzedał rodzinną firmę międzynarodowej spółce.

S.T.

zielona...myszka@msn.fr - jesteśpodłączony

wielki...manitou@neuville.fr - jesteś podłączony.

- Tato?

- Moja zielona myszko... Więc już postanowiłaś...

- Tak, musiałam działać szybko, ale nie żałuję: zostaję przy nazwisku Marianne Berg. Unikam procedur, wyjaśnień, usprawiedliwień i prasy.

Zachowuję pieniądze. Zamierzam zacząć zupełnie nowe życie.

- W porządku... Kiedy cię zobaczę?

- Kończę teraz załatwianie formalności, jeszcze dzień lub dwa. Zgodnie z umową spotykamy się w Normandii?

- Tak. Jak już wspominałem, po drodze muszę wstąpić do Bordeaux, to na pewno. Posiadanie córki oficjalnie uznanej za zaginioną zmusza mnie do wygibasów już nie na mój wiek...

- Twój wiek, twój wiek. Mówisz, jakbyś był naprawdę stary.

- Nie próbuj mi schlebiać...

- W tej dziedzinie najważniejsze jest już zrobione.

- To prawda...
- Hej, tato, jeszcze tylko jedno...!
- Tak?
- Chodzi mi o archiwa mamy... Było tylko to, co mi przekazałeś?
- Tak. Ale... przecież już ci tłumaczyłem.
- Owszem. I...?
- I... I... i była tam ta notka, „karta szpitalna”, nic poza tym. Tylko ta jedna strona, którą ci dałem... Zresztą nawet nie wiedziałem, że tam jest...
- Jesteś pewny?
- ...
- Tato?
- Tak, jestem pewny. Normalnie nawet tej karty nie powinno tam być; twoja matka na kilka dni przed ostatnim pobytem w szpitalu przyjechała tutaj popracować i zostawiła wtedy małe pudełko z tekturowymi fiszkami, które wszędzie z sobą wozila. Powinienem był odesłać to jej współnikom, ale zapomniałem, a potem już wyleciało mi z głowy. Do czasu, kiedy mi o tym wspomniałaś...
- Ale... jej archiwa, te PRAWDZIWE, relacje z sesji z pacjentami - gdzie się to wszystko podziało???
- ...
- Gdzie się to podziało, tato?
- Hmm... Przypuszczam, że po śmierci twojej matki zostało u jej współników... Nawet dokładnie nie wiem, jak to wygląda... Dlaczego pytasz?
- Bo w rzeczach Frantza znalazłam coś dziwnego. Dokument mamy...
- ...czego dotyczący?
- Dokument opisujący przypadek Sarah Berg. Szczegółowo. To dość ciekawe. Nie notatki robocze, tylko raport. Nie wiedzieć czemu adresowany do Sylvaina Lesgle'a. Sporządzony pod koniec 1989 roku. Nie wiem, jakim sposobem trafił w ręce Frantza, ale musiała to być dla niego bardzo bolesna lektura... a nawet więcej...!
- Naprawdę nic ci to nie mówi, tato?

- Nie, zupełnie nic.
- I nie pytasz, o czym w nim mowa?
- Przecież powiedziałaś, że dotyczył choroby Sarah Berg...
- Rozumiem. Prawdę mówiąc, to bardzo dziwne ze strony mamy.

-...?

- Przeczytałam go BARDZO uważnie i tyle ci powiem, że na pewno nie wyszło to spod ręki profesjonalisty. Zatytułowane jest „Bilans kliniczny” (słyszałaś o czymś takim?). Na pierwszy rzut oka brzmi fachowo, zresztą jest całkiem niezłe napisane, ale jak się lepiej przyjrzeć... to zupełne bzdury...!

-...?

- Ma to być opis przypadku Sarah Berg, ale w sumie stanowi przedziwny galimatias pseudopsychiatryczny, słowa i wyrażenie niewątpliwie ściągnięte z różnych encyklopedii i pozycji popularnonaukowych. Na przykład część dotycząca biografii pacjentki, oprócz tego, co można znaleźć w Internecie na temat jej męża, jest tak ogólnikowa, że z powodzeniem mogła to napisać osoba, która jej nawet nie spotkała; wystarczyło znać dwa, trzy fakty z jej życia, żeby spłodzić taki psychomelodramat...

- No nie...

- To ZWYKŁE FANTAZJE dyletanta, ale dla kogoś, kto się na tych rzeczach nie zna, wygląda wiarygodnie...

- ...

- Moim zdaniem (ale mogę się mylić!) ta biografia Sarah Berg jest od początku do końca czystą konfabulacją...

- ...

- Jak uważasz, tato?

- ...

- Nic nie mówisz...

- Cóż, no wiesz... nigdy się nie wyznawałem na języku psychiatrów... moja działka to raczej architektura i tematyka techniczna...

- A więc?

- ...

- Hej, tato!

- No cóż... Posłuchaj, zielona myszko... Zrobiłem, co mogłem...

- Och, tato!

- Tak, zgadzam się, trochę to ogólnikowe...

- Tato, powiedz prawdę!

- Z owych niewielu informacji, jakie znaleźliśmy w „karcie szpitalnej”, dowiedzieliśmy się najważniejszego: Frantz od dawna marzył, żeby pomścić śmierć swojej matki, zabijając twoją. A ponieważ stało się to niemożliwe, całą nienawiść przeniósł na ciebie.

- No tak.

- Pomyślałem, że można by użyć tego jako instrumentu zdalnego sterowania. Stąd pomysł z raportem. Żeby chłopakowi trochę podkopać morale... Potrzebowałaś pomocy.

- Ale... jak Frantz to znalazł?

- Powiedziałaś, że bardzo uważnie mnie obserwuje. Ułożyłem stos kartonów zawierających jakoby archiwa twojej matki. Potem zostawiłem drzwi garażu wystarczająco szeroko otwarte... Trochę się natrudziłem ze sfabrykowaniem archiwów, które wyglądałyby na stare. Pod literą B umieściłem dokument spreparowany na jego użytek. Przyznaję, że sformułowania były trochę... ogólnikowe.

- Ogólnikowe, lecz BARDZO skuteczne! Taki dokument załamałby każdego syna, co dopiero tak związanego z matką! I dobrze o tym wiedziałaś!

- Powiedzmy, że było to logiczne.

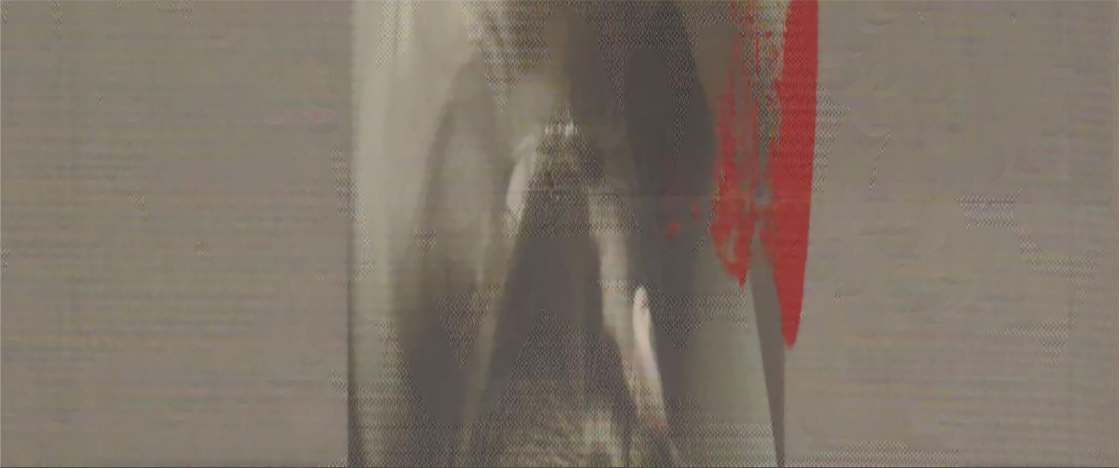
- Nie mogę uwierzyć... Naprawdę to zrobiłaś?

- Bardzo to nieładnie, wiem...

- Tato...

- A... co z nim zrobiłaś? Pokazałaś go policji?

- Nie, tato. Nie zachowałam go. Nie jestem wariatką.



Od pewnego czasu spokój Sophie zakłócają drobne, lecz przykre incydenty: gubi klucze, książki, zapomina, gdzie zaparkowała samochód, mylą jej się godziny spotkań. Ta uporządkowana i zorganizowana dziewczyna zastanawia się, czy nie zwariowała. Ostatecznie trafia do szpitala psychiatrycznego. Wkrótce zostaje zamieszana w morderstwa i jest jedyną podejrzaną. Przerażona ucieka, wymyka się policji, postanawia zmienić tożsamość. Kiedy myśli, że ułożyła już sobie życie z nowym mężem, znowu pojawiają się luki w pamięci, robi różne dziwne rzeczy i popada w depresję. Gdy zaczyna myśleć o samobójstwie, nagle odkrywa, że mąż prowadzi wobec niej podwójną grę...

Pierre Lemaitre

uznany za mistrza francuskiego kryminału, zadebiutował w 2006 roku i od razu został zauważony przez czytelników i krytyków literackich. Pierwsze wydanie *Ślubnej sukni* (2009) okazało się sukcesem wydawniczym (m.in. główna nagroda czytelników Goutte de Sang d'Encre, Wiedeń 2009). Planowana jest filmowa adaptacja książki. Wkrótce nakładem wydawnictwa MUZA SA ukażą się *Czarne kadry*, wyróżnione nagrodą za najlepszy europejski kryminał w 2010 roku.

www.muza.com.pl

Cena 29,99 zł

ISBN 978-83-7758-169-8



9 788377 581698

lesiojot